

JACEK DĄBAŁA

NAJWIĘKSZA  
PRZYJEMNOŚĆ  
ŚWIATA

REDHOUSE



Postacie i zdarzenia w tej powieści są fikcyjne,  
a wszelkie podobieństwa przypadkowe.

## PROLOG

Kiedy obudziłem się ze śpiączki, pojawił się strach. Przede wszystkim o to, ile mam na koncie i czy nie ożeniłem się z dziewczyną o wyglądzie trzonka od łopaty? Tfu! Czułem, że nie jestem tym facetem, którego pamiętałem ze snu. Tamten przynajmniej się nie bał. Najpierw ostrożnie otworzyłem oczy i rozejrzałem się wokoło. Znajdowałem się na szpitalnym łóżku w pobliżu sprzętu, jaki dawno temu widziałem na oddziale intensywnej terapii, czyli pół metra od prosektorium. Nade mną pochylała się mama, co ostatecznie przekonało mnie, że żyję, ale może być jeszcze gorzej.

- Kochanie, słyszysz mnie? - Głos mamy brzmiał znajomo, jak skrzypienie podłogi w sali gimnastycznej. Musiałem się napiąć, żeby odgonić wspomnienia. Zza pleców mamy wyjrzał mężczyzna w białym fartuchu ze stetoskopem na szyi. Wypisz, wymaluj Woody Allen. Nieźle się zaczynało. Trzymaj ręce przy sobie, cholerny konowale.

- Czy ja mam żonę? - zapytałem, bo moje sprawy stanęły na głowie, a jeszcze przed chwilą jakoś się układały.

- Nigdy jej nie miałeś - odparła mama. - Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

- A dzieci? Córkę? - Nie ustępowałem. Mama rzuciła znaczące spojrzenie na doktora, po czym spokojnie odpowiedziała:

- O dzieciach też nic nie wiem...

- Czy ja jestem lekarzem? - naciskałem, bo we łbie wciąż mi się kotłowało i bałem się, że zacznę robić bokami. Jak koń.

- Lekarzem? - Mama uśmiechnęła się, jakby nadchodziła pora karmienia. - Jesteś dziennikarzem... Pracujesz w telewizji, piszesz scenariusze do seriali i kręcisz reportaże. Boże, ty chyba straciłeś pamięć...

- Nie straciłem - uspokoiłem ją. - Musiałem się tylko upewnić, że obudziłem się w moim świecie.

- Miał pan wypadek - odezwał się lekarz. Położył mi rękę na czole, ale na szczęście trwało to krótko. Jeszcze chwila i oskarżyłbym szpital o molestowanie.

- Jaki wypadek? - Tego naprawdę nie pamiętałem.

- Samochodowy - wtrąciła mama. Trzymała mnie za rękę i widać było, że jest w swoim żywiole. Znów byłem jej małym, kochanym synkiem. - Jechałeś z tą dziewczyną i wpadła na was ciężarówka. Akurat od twojej strony, kochanie...

- Co z nią? - przypomniałem sobie, że istniała na świecie Sonia Riter i moje serce zabiło mocniej. Gdyby nie osłabienie, dziewczyna już teraz mogłaby nacierać się jedwabiem i poprawiać poduszki.

- Żyje. Nic jej się nie stało - odpowiedziała mama. - Tylko samochód poszedł do kasacji. Nie przejmuj się, synku, ona już kupiła sobie drugi.

- Czegoś mi nie mówisz - stwierdziłem podejrzliwie. Doktor pokiwał głową ze zrozumieniem. Najwyraźniej on też coś wiedział, ale wolał się nie wychylać. Poza tym widział we mnie „synka”, co wcale nie ułatwiało nam rozmowy.

- Leżałeś tu dwa tygodnie. - Mama powiedziała to dziwnym tonem. Miałem wrażenie, że za chwilę będę musiał wypić rumianek, a pan doktor posypie mi pupę talkiem.

- Czuję się dobrze, możesz mi o wszystkim opowiedzieć - powiedziałem mocnym głosem. Nie kłamałem - nic mnie nie bolało i byłem pewien, że w tym momencie mógłbym pokonać na rękę samego ordynatora.

- Sonia odeszła, kiedy usłyszała, że nie odzyskasz przytomności - poinformowała mnie mama.

- Była tutaj? - zacisnąłem szczękę. A więc zostawiła mnie, pomyślałem. Przypomniałem sobie moment, kiedy wyjeżdżaliśmy jej subaru spod budynku telewizji.

- Tylko raz. - Mama potrafiła być konkretna jak młot pneumatyczny. - A na ulicy widziałam ją dwa razy w dwuznacznej sytuacji.

- Czyli w jakiej? - wyrwało mi się, bo tak naprawdę wcale nie chciałem tego wiedzieć.

- Z innym mężczyzną. - Mama punktowała mnie bez litości. - Całowali się w samochodzie, a potem objęci udali się do restauracji.

- Jak mi jeszcze powiesz, że byłaś przy ich łóżku, kiedy się kładli spać, to...

- Teraz proszę odpocząć - odezwał się nagle lekarz. - Później zrobimy panu badania. Miał pan dużo szczęścia. Niewielu ludzi budzi się ze śpiączki. W dodatku w tak dobrej formie...

- Teraz, panie doktorze, to ja pójde do łazienki i sprawdzę, jak wyglądam - przerwałem mu. - Czegoś jeszcze nie wiem?

- Proszę spróbować. - Lekarz stanął bliżej łóżka i chwycił mnie za łokieć. Oj, lubił się gość ocierać, lubił, ale niech mu tam. W końcu uratował mi życie.

Wstałem z łóżka bez niczyjej pomocy, a mama i doktorek uznali to za kolejny cud. Nawet nie zakręciło mi się w głowie. Co prawda czułem słabość w nogach, ale bywało gorzej. Zanim zrobiłem krok, mała i gruba pielęgniarka odłączyła mnie od kroplówki. Zrobiła to mechanicznie i bardzo szybko. Potem obrzuciła mnie surowym wzrokiem, co mogło oznaczać, że przez ostatnie dwa tygodnie ani razu nie próbowałem się do niej dobrać.

- Podać panu kule? A może wózek? - zapytał lekarz. Stałem przed nim na własnych nogach, a on chciał wiedzieć, gdzie mnie pochować. Miał facet łeb do interesu, nie ma co. Gdzieś ty się człowieku chował? W Moskwie? Zaprzeczyłem ruchem głowy i ruszyłem do drzwi oddalonych o kilka metrów od łóżka.

Potem wszystko potoczyło się szybciej niż kąpanie stuletniej babci. Kiedy wróciłem z toalety, dowiedziałem się, że pani Ryfka zmarła i została pochowana przed dwoma dniami. Mama powiedziała mi też, że w telewizji pojawił się nowy prezes, a moi wielbiciele zasypali mnie listami i kartkami pocztowymi. Najlepsze zostawiła na koniec. Okazało się, że wykorzystała pełnomocnictwo i sprzedała moje mieszkanie. Znów miałem zamieszkać w rodzinnym domu na Mokotowie, w pokoju, w którym wiele lat temu bawiłem się klockami, a na ścianach nadal wisiały moje rysunki z przedszkola. Innymi słowy, mama obłożyła mnie lodem na co najmniej trzydzieści lat. Na szczęście wykrzesalem z siebie resztki sił i szybko kupiłem sobie nowe mieszkanie. Też w Śródmieściu, ale wśród obcych ludzi. Byłem facetem po przejściach i postanowiłem zmienić swoje życie. Kiedy po dwóch tygodniach rehabilitacji doszedłem do formy Chucka Norrisa, mama otrzymała ze Stanów Zjednoczonych list i okazało się, że musi wyjechać na pół roku do kuzynki. Bóg istniał. O mojej amerykańskiej dobrodziejce wiedziałem tylko tyle, że kiedyś używały z mamą tego samego nocnika. Bliska rodzina, można powiedzieć.

Po wypadku trochę zdziwaczałem, jak wyraził się mój stary znajomy z telewizji, Roman Czomski. Kiedy spotkaliśmy się „na kebabie” w pobliżu Chmielnej, przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

- Lepiej wyglądasz, schudłeś...

- Dziesięć kilogramów - odparłem. - Ważę teraz tyle, ile przed maturą.

- Nie ma tego złego... - dorzucił, ale kryło się za tym coś jeszcze. - Idzie nowe i chyba nas pozwalniają. - Milczałem i obserwowałem jego ręce. Nerwowe i duże. Wtedy jeszcze nie myślałem, że mój czas w telewizji dobiega końca. Wydawało mi się, że Czomski po prostu marudził dla zasady. Jednak wkrótce moje życie przewróciło się do góry nogami...

## ROZDZIAŁ 1

Mężczyzna w białej podkoszulce à la Soprano czekał na odpowiedni moment. Mimo klimatyzacji pot lał się z niego strumieniami; w ogóle nie czuł zmęczenia. Był podniecony i chciał, żeby dziewczyna jak najszybciej skierowała się do wyjścia. Przed kilkoma godzinami wypatrzył ją w tańczącym tłumie i od razu zrozumiał, że nadszedł właściwy czas. W kolorowych, migocących światłach dyskoteki przyciągała wzrok i działała na wyobraźnię. Miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, była bardzo zgrabna i ubrana tak, jak lubił: w czerwone tenisówki, obcisłe dżinsowe szorty i czarną koszulkę z napisem „Crazy”. Ciemne włosy nosiła zaczesane blisko głowy i spięte gumką w kucyk. Jej twarz wydawała się idealnie proporcjonalna, a wyraziste oczy i duże pomalowane na czerwono usta obiecywały niewyobrażalną rozkosz. Od początku tańczyła tylko ze swoim chłopakiem, ale dla mężczyzny nie miało to żadnego znaczenia. Siedział przy barze, sączył coca-colę z lodem i patrzył, jak czarnowłosa piękność po kolei odrzucała zaloty nawet najbardziej przystojnych podrywaczy. Po kilku nieudanych próbach rezygnowali i z żalem odchodzili w stronę innych dziewcząt. Mężczyzna przez cały czas uśmiechał się nieznacznie, bawił widokiem drgających piersi, odsłoniętego brzucha, ud i kształtnych pośladków. Od czasu do czasu pocierał na ramieniu swój tatuaż: chińską literę alfabetu.

Dochodziła trzecia i pierwsi goście zaczęli opuszczać dyskotekę. Pojedynczo, parami lub głośno śmiejącymi się grupkami. Po trzydziestu dwóch dniach blisko czterdziestostopniowego upału sierpniowa noc była nieznośnie parna. W powietrzu unosił się lepki zapach asfaltu. Nawet światła latarni sprawiały inne niż zwykle wrażenie. Były rozedrgane, pozbawione ostrości i jakby nierealne. Cała ulica wydawała się rozleniwiona i senna. Mężczyzna jednak mógłby przysiąc, że w rzeczywistości była naelektryzowana jakąś tajemniczą siłą. Wszędzie na świecie w takie noce nie działo się absolutnie nic albo działo się zbyt dużo. Najlepiej wiedzieli o tym policjanci.

Dziewczyna i jej chłopak byli pijani. Wsiedli do taksówki, odnajdując z trudem kłamkę. Wydawało się, że dziewczyna zniknie i pożądanie mężczyzny z tatuażem na zawsze

pozostanie tylko wspomnieniem. Po chwili jednak czarne volvo cross country włączyło się do ruchu i niemalże majestatycznie zaczęło sunąć za taksówką. O tej porze Warszawa przypominała smak gorącej czekolady. Rozpływała się w oczach, wywoływała błogostan i kryła w sobie przyjemne oczekiwanie. Mijane wystawy sprawiały wrażenie przyczajonych niespodzianek. W którymś z otwartych okien rozległ się dźwięk zegara. Wyleciał w gorącą noc, wpadł przez uchylone okno do wnętrza taksówki i przez sekundę wywołał na twarzy dziewczyny ciepły uśmiech. Nie zdołał się jednak przebić do jadącego z tyłu volvo. Rozbił się o szczelnie zamknięte szyby.

Jazda w małym ruchu, wśród świateł latarni i snujących się sennie par, była dla mężczyzny ukoronowaniem wieczoru w dyskotecce. Właśnie na ten moment czekał. Kiedy taksówka zatrzymała się przed jedną z kamienic w cichej uliczce w centrum miasta, volvo znajdowało się zaledwie kilkanaście metrów z tyłu. Mężczyzna wyłączył silnik, zgasił światła i wysiadł. Wyglądał inaczej niż w dyskotecce. Na podkoszulkę nałożył ciemną marynarkę, na nos okulary w grubej oprawie, a na głowę perukę z długimi włosami. Zgarbił się i włożył ręce do kieszeni marynarki. Teraz mógł od biedy uchodzić za podpitego artystę. Taksówka odjechała, nie omiatając go światłami.

Dziewczyna i chłopak zaczęli się całować w półcieniu wielkiego drzewa. Najpierw powoli, ostrożnie, jakby nie chcieli czegoś zepsuć. Potem szybciej i coraz bardziej nerwowo. Wkrótce zapomnieli, gdzie się znajdują. Piersi dziewczyny odsłoniły się jak obrane ze skórki pomarańcze. Były jędrne i jaśniejsze od reszty ciała. Mężczyzna zbliżył się niepostrzeżenie. Wyjął rękę z kieszeni marynarki i prysnął obojgu w twarz gazem usypiającym. Nie raz, nie dwa i nie trzy. Robił to długo i bez emocji. Tak, żeby mieć pewność. Zaatakowana para nie była w stanie nawet krzyknąć. Chłopakowi dostało się dużo więcej, osunął się na ziemię pod drzewem i znieruchomiał. Dziewczyna usiłowała uciekać, złapać oddech, krzyczeć, ale mężczyzna dogonił ją i przyłożył do szyi ząbkowany, żołnierski nóż.

- Cicho, bo cię zarżnę - szepnął.

Objął ją w pasie i opiekuńczo podprowadził do samochodu. Powoli traciła przytomność. Potem otworzył bagażnik i wepchnął tam swoją ofiarę. Przestraszona i osłabiona nie protestowała, ułożyła się na boku, próbując rozpoznać rysy swojego prześladowcy. Potem raz jeszcze usłyszała syk gazu i straciła przytomność. Mężczyzna najpierw owinał jej ręce i nogi taśmą, a potem zakleił usta. Cudowna noc, pomyślał, zamykając bagażnik. Cudowna letnia noc. Dziewczyna należała do niego. Na zawsze. Niewyobrażalnie piękna.

## ROZDZIAŁ 2

Stara sekretarka nowego prezesa telewizji zachowywała się inaczej niż zwykle. Zamiast szczebiocącego: „co podać?”, „kawkę czy herbatkę, panie Arturze?” lub „dawno pana nie widziałam”, pokazała mi krzesło i mruknęła niedbale:

- Niech pan usiądzie. Prezes ma naradę...

Oj, klępo przebrzydła, zapomniałaś, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Coś mi się widzi, że mózg ci się zlasował od tysięcy papierochów i hektolitrów kawy. Znałem te sekretariatowe powiedzonka na pamięć. Każdy dupek pojawiający się w telewizji z księżycą natychmiast starał się udowodnić, że jest zajęty aż po pachy albo i bardziej. Najpierw odbywała się wymiana lub edukowanie sekretarki. Zapoznawała się z osobnikami, których prezes lubił widywać, chciał widywać i z tymi, których starannie unikał. Słowa: „pan prezes ma spotkanie”, „proszę zadzwonić później” czy „oddzwonimy”, uświadamiały każdemu petentowi miejsce w hierarchii. Oczywiście dzwoniący doskonale wiedział, że za określeniem „spotkanie” kryło się przeważnie zwykle gładzenie o niczym, wzajemne lizanie sobie tyłków lub po prostu knucie - kogo, gdzie i jak załatwić.

Pamiętałem te okazy lepiej niż zdjęcia w rodzinnym albumie. Jeden z nich uwielbiał otaczać się dziennikarzami w wieku poborowym. Ba, najbardziej cenił moment, kiedy zaczynali na wizji popuszczać w majtki. Drugi, jakby mógł, siałby we wszystkich programach żyto. Najdziwniejsze było to, że umiał mówić i cieszył się tym jak dziecko. Trzeci tak bardzo lubił się ze wszystkimi, iż po robocie, zamiast do domu, trafiał na bankiety. A tam, wiadomo, podrabiany alkohol, nieświeże jedzenie i nędza, straszna nędza, która musiała go kłuć w oczy, biedaka. Był jeszcze taki, o którym mówiono, że kule się go nie mają, bo jest wyłożony orderami od stóp do głów. Dźwigał ten ciężar i prawdopodobnie codziennie modlił się o wściekłą dziennikarkę, która zamiast wygarnąć z giwery, kopnie go po prostu w dupę w pobliżu stromych schodów. W mojej pamięci szczególne miejsce zajmował prezes, który udawał, że przyrósł do fotela. Na dowód tego prezentował cholernie efektowne pośladki, bezwstydnik jeden. W telewizyjnym barku mówiono o nim, że stale podrywa się do lotu, ale



nie idzie mu. Wszystkie te prawie historyczne postaci łączyło jedno - wysoka pensja i wiara w nieśmiertelność.

I w takiej oto sytuacji, z ciężkim bagażem w pamięci, znalazłem się kilka minut po dziesiątej w najważniejszym sekretariacie telewizji. Trzeba zaznaczyć, że przed nosem miałem tabliczkę z rewelacyjnym napisem: „Andrzej Rosocha. Prezes Zarządu”.

Po jakiejś godzinie z gabinetu prezesa wynurzyli się dwaj goście przypominający wieprze. Prezes odprowadził ich do drzwi i pomachał łapką, jakby zegnał dziewczynę przed wyjazdem na front. Obrzucił mnie pospiesznie wzrokiem i zapytał ni w pięć, ni w dziewięć:

- Pan do mnie?

A do kogo, palancie? Przecież nie do spowiedzi, pomyślałem.

- Tak, zaprosił mnie pan na dziesiątą - odparłem, kierując się bez ceregieli do jego gabinetu. Wcześniej bywałem tam częściej, niż mógł to sobie wyobrazić. Udał, że coś sobie przypomina, pokiwał głową, co miało oznaczać, że stałem się kimś ważniejszym, niż byłem przed kilkoma sekundami. Kiedy usiedliśmy w fotelach przy niskim stoliku, prezes popatrzył na mnie śmiertelnie poważnie i zaczął:

- Ile lat pracuje pan w telewizji?

- Prawie sto - odpowiedziałem, przeczuwając z jego strony brak dobrych intencji. Udał, że tego nie usłyszał. Co on mógł wiedzieć o prawdziwej pracy dziennikarskiej, o ryzyku, napięciu i niepewności jutra? Gdyby naprawdę posmakował tego chleba, natychmiast dałby mi kontrakt na co najmniej sto tysięcy euro rocznie. I daję słowo honoru, żebym go podpisał. Dożywotnio, żeby uniknąć biurokracji. Prezes jednak niczego takiego nie zaproponował. Pogrywał ze mną, wierząc, że będzie siedział na tym stołku aż do ostatniej hemoroidy. Aż się prosił, żeby mu pokazać dół, w którym chowano telewizyjne marzenia.

- Poprosiłem pana, ponieważ osobiście chciałem panu powiedzieć, że rozwiązujemy redakcję reportażu... - Chciał mi to powiedzieć „osobiście”, dobre, prawda? Doskonale się nadawał do czytania bajek w przedszkolu. Robiłby to zawodowo.

- Czy to oznacza, że telewizja nie będzie już robić reportaży? - przerwałem mu głosem żałobnika.

- No, będzie... Z tym że musimy to wszystko zrestrukturyzować - odparł, nie patrząc mi w oczy. - Nowa redakcja, nowi ludzie, nowe spojrzenie, nowe czasy, panie Arturze - wyrecytował. No, no, gnida przypominała sobie nagle moje imię. O nowych ludziach wiedziałem sporo. Przeważnie przypominali jesienną pogodę - śmiertelnie poważnie informowali pozostałych, że świat to dla nich za mało. Czasami trafiały do redakcji panie w stylu „kawa, papieros i nic”, innym razem panowie zakochani we własnym głosie. Panie

zaprzyjaźniały się wyłącznie w celach programowych, a panowie nie zaprzyjaźniali się wcale. Za to jedni i drudzy bez przerwy nasłuchiwali. Właściwie można było odnieść wrażenie, że w telewizji pracują sami laryngolodzy. Nowi prezesi znajdowali ich w miejscach, których nie było nawet w Internecie.

- A co ze starymi ludźmi? - zapytałem. - Mam nadzieję, że dostaną podwyżkę i zostaną szefami nowych redakcji. - Znokautowałem gnoja jednym pociągnięciem. Wyprostował się, nastroszył piórka, znów pokiwał głową i odrzekł:

- Rozumiem pana rozgoryczenie, ale nie mamy wyjścia. Telewizja musi się zmieniać...

- Co mi pan proponuje? - wtrąciłem, bo nie chciałem, żeby zaczął mnie lizać po rękach.

- Może pan oczywiście zostać i składać swoje projekty, ale po rozwiązaniu redakcji będzie trudniej je realizować. No, chyba że sam pan odejdzie i zostanie niezależnym producentem...

- A zagwarantuje mi pan, że moje propozycje zostaną kupione? - To pytanie było gorsze niż wizyta u proktologa. Jegomość zaczął się nerwowo wiercić - tylko patrzeć, jak fotel zacznie dymić.

- Sam pan wie, że w takiej firmie trudno mówić o gwarancjach. - Uspokoił mnie z błyskiem w ślepiach. - Każda dobra propozycja zostanie kupiona - dorzucił szczerze jak złoto.

- A kto będzie decydował, która jest dobra? - Zanurzyłem go ponownie w szambie. Przebierał łapkami aż miło. Widać było, że jest to jego naturalne środowisko.

- To wszystko, co miałem do powiedzenia - urwał nagle z wyraźną irytacją. Nie pasowałem do układanki i właśnie mnie wyrzucali. Przystawały się liczyć moje osiągnięcia, moja pozycja w środowisku, zdolności, wiedza i kreatywność. Teraz już jako były dziennikarz śledczy, były znany reporter i scenarzysta seriali, mogłem tylko powiedzieć, co myślę o moim zwolnieniu. Gdybym jednak naraził prezesa na taki stres, pracownicy telewizji mogliby w tym miesiącu nie dostać wypłaty. Z nerwów odłożyłby długopis i poszedł na najdłuższe zwolnienie w historii nowoczesnej Europy. I kto by go zastąpił? Na świecie był tylko on jeden. Może dlatego nic nie powiedziałem. Wiedziałem, że wcześniej czy później się spotkamy, bo karuzela wróci do punktu wyjścia. Wtedy mu podziękuję. Olejek kamforowy na goły brzuch co pięć minut, a potem nacieranie i sauna. Wtedy dowie się, że są na tym świecie ludzie, którzy dobrze pamiętają historię.

## ROZDZIAŁ 3

Biuro Detektywistyczne otworzyłem nie dlatego, że swędziało mnie pod pachami i nie miałem co ze sobą zrobić, ale po to, żeby ochłonać po zwolnieniu z telewizji i przygotować materiał do nowego filmu. Wyobraziłem sobie, że kolejny serial może wyrastać wprost z moich doświadczeń. Oczywiście innych niż te związane z reportażem o guamie, który o mało nie zrobił ze mnie czubka. Poza tym czułem, że powinienem zrobić coś całkowicie nieprzewidywalnego, coś, co wyrwie mnie z objęć frustracji. Dla widzów nadal byłem sławnym scenarzystą, ale nie miałem pewności, czy dla nowych szefów telewizji będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie. Producenci zawsze musieli liczyć się z obstrukcją cięższą od lądowania w Normandii. Nadal sporo mogłem, miałem dobrych kolegów, znajomości i nazwisko, ale do pieszczochów losu było mi daleko. No i kupiłem sobie nowe subaru, żeby moja dawna dziewczyna, Sonia Riter, przez pomyłkę do niego wsiadła. Feminizm musiał dostać nauczkę i gotów byłem się poświęcić.

Usadoviłem się w moim wynajętym biurze z mosiężną tabliczką: „Artur Brandt. Prywatny detektyw - były dziennikarz śledczy. Przyjęcia 9.00-17.00” i czekałem. Oczywiście dwa tygodnie wcześniej zamieściłem w kilku dziennikach stosowne ogłoszenie. Jak na razie tłoku nie było, a telefon nie dzwonił. Żywiłem głęboką nadzieję, że interes zacznie się kręcić po wakacjach, we wrześniu.

Moje biuro miało dwa pokoje, kuchnię i niezwykle przyjazną toaletę z widokiem na ogródek. Toaleta była olbrzymia i w dodatku urządzona z takim przepychem, że śmiało mogła stanowić moją wizytówkę. Stare warszawskie budownictwo zadbało o to, żebym poczuł się w centrum miasta, przy ulicy Wspólnej, bardzo komfortowo. W pokoju blisko wejścia znajdowało się biurko dla mojej przyszłej sekretarki, regał i szafka na dokumenty. Dalej, w moim gabinecie, do głosu dochodził już powiew luksusu i dobrego smaku. Klient po wejściu widział otoczenie rasowego detektywa, człowieka, który od urodzenia węszy i uszczęśliwia ludzi: stare biurko, lekko sfatygowany fotel, krzesła ze skórzanymi obiciami, duży stół dla co najmniej dziesięciu osób, żyrandol sprzed wojny, lampkę, regał z książkami po poprzednim

właścicieli, spory barek z alkoholem i packę na muchy. Fajne warunki pracy, że tak powiem. Telefon i komputer też były, ale powiedzmy szczerze - pasowały tu jak młoda żona do starego zgreba.

Zadzwoń do mamy, bo gotowa była opuścić Stany i najechać mnie z obiadem. Odebrała osobiście, co mogło oznaczać, że przejęła władzę w Białym Domu.

- Jak ci tam jest, mammo? - zapytałem dla przyzwoitości.

- To piękny kraj - usłyszałem w słuchawce. - Ludzie są tutaj mili, a policja szybko reaguje...

- Ktoś cię napadł? - przestraszyłem się.

- Ciągłe kogoś napadają, ale tutaj nikt się tym nie przejmuje - podniosła mnie na duchu.

- Słyszałem, że dzieciaki strzelają tam do siebie w szkołach - zagałem, przyznaję, dość złośliwie.

- Źle się odżywiają. Ich mózgi inaczej pracują - wyjaśniła mama. Jej komentarz z pewnością mógł kandydować do Nagrody Nobla z biochemii.

- Kiedy wracasz? - zapytałem z duszą na ramieniu.

- Za kilka miesięcy. Maria potrzebuje opieki i nie mogę jej zostawić - odparła mama. - Może chcesz do nas przyjechać?

- Nie mogę - odpowiedziałem. - Muszę pracować... - dodałem mniej przekonująco, ale błyskotliwie. - Zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu. I nie daj się okraść Murzynom.

- Tak nie można mówić. - Mama nagle się ożywiła. - To niepoprawne politycznie.

- Chcesz mi powiedzieć, że określenie „Murzyn” jest niepoprawne? - udałem zaskoczenie. - Przecież język służy do komunikacji, a nie do ozdoby. Mam nadzieję, że nie dałaś się tam ogłupić.

- Opowiem ci, jak wrócę - ucięła mama, ale ja dobrze wiedziałem, że obawiała się podsłuchu. Prawnicza podejrzliwość dawała o sobie znać. - Dbaj o siebie - dodała i rozłączyła się. Nie martw się, mammo, w tych sprawach twój syn zawsze był praktyczny.

Machina ruszyła w pierwszym tygodniu września. Najpierw zacząłem odbierać telefony od różnych wariatów, prawdopodobnie konkurencji, potem od podejrzliwych mężów i żon, w końcu pojawiły się sprawy kryminalne, czyli zbieranie dowodów, podsłuchiwanie i takie tam załatwianie bliźnich aż po grób. Kapitalne ludzkie podejście do życia, powiedzmy szczerze. Kiedy pewnego dnia dotarłem do faceta, który regularnie okradał skarbonkę własnych dzieci, zrozumiałem, że sporo się jeszcze muszę nauczyć. Innym razem natrafiłem na żonę, która zdradzała męża, dyrektora dużego banku, bo nie chciała go fizycznie

przemęczać. Zdarzył się też klient, niejaki Zygmunt Tannen, który zamknął się w biurze na dziesiątym piętrze i straszyl, że skoczy z okna, jak nie dostanie awansu na kierownika. Był podejrzany o malwersacje i jego szefowie zlecili mi dokładne sprawdzenie gościa. Okazało się jednak, że Tannen nie kradł, nie kombinował, nie działał na szkodę firmy, ale z wielką pieczołowitością hodował w sobie złość, która w końcu eksplodowała. Moja rozmowa z tym panem przeszła do historii negocjacji. Przy okazji otarłem się o więzienie, bo zrobiłem to nielegalnie.

- Dlaczego pan jeszcze nie skoczył? - zapytałem go zza drzwi. Za mną stali prezesi firmy i kilku urzędników o bardzo niskich czołach.

- A kto mówi? - Tannen miał szczebiotliwy głos, o wiele za cienki. Według mnie facet zasługiwał na samobójstwo. Na jego miejscu dawno bym skądś skoczył.

- Prywatny detektyw Artur Brandt - przedstawiłem się. - Przyszedłem tu, żeby załatwić sprawę.

- A gdzie jest policja? - Pytanie zabrzmiało całkiem przytomnie. No właśnie, gdzie jest policja?

- Nie ma. Ja jestem - uspokoiłem gościa na tyle, że wrzasnął:

- Niech pan powie zarządowi, że mają mnie awansować i dać podwyżkę! Inaczej skoczę...

- Zarząd ma pana w dupie - powiedziałem mu szczerą prawdę. - Właśnie składają się na wieniec. Ja wpadłem tylko zapytać, jakie chce pan kwiaty? - skłamałem.

Zapadła cisza. Wyobrażałem sobie, że dojdzie do najgorszego, a tu nagle drzwi się otworzyły i z gabinetu wyrzwał niedoszły samobójca. Chudy, blady, łysawy i w garniturze w sam raz do trumny. Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, po czym najzwyczajniej na świecie wyszedł ze swojego biura. I tyle go widziałem. Oczywiście honorarium za robotę wziąłem.

Inni klienci mojej agencji umawiali się, przychodzili albo zapominali przyjść, wpłacali zaliczkę albo obiecywali wpłatę, zachowywali się przyzwoicie lub po prostu chcieli się wyrzeszczyć. Niektóre sprawy przyjmowałem, inne odrzucałem, nie bacząc na płacz i zgrzytanie zębów zainteresowanego.

Współpracowałem z dwoma ludźmi - Janem Walewskim, emerytowanym inspektorem policji, i Markiem Borgiem, zwolnionym z policyjnej jednostki antyterrorystycznej, oględnie mówiąc, ze względów psychologicznych. Obaj panowie mieli trudne charaktery, ale garnęli się do roboty jak do jedzenia. Walewski sprawiał wrażenie powolnego i trochę sennego. Rzadko pachniał wodą kolońską, golił się od przypadku do przypadku, przeważnie chodził w

zapoconych garniturach i butach kupionych w najtańszym hipermarkecie. Zwierzył się mi, że w komunistycznej Polsce podglądał i przesłuchiwał obywateli. Fakt, mógł to robić dobrze, bo ślepia miał wredne niczym żona po rozwodzie. Dla mnie jednak liczyły się tylko jego kontakty i spryt.

Borg był całkiem inny. Duży, barczysty i umięśniony jak Rambo. Ubierał się sportowo i gdyby nie to, że u mnie pracował, wziąłbym go za boksera z ambicjami. Pojawiał się i znikał w najmniej spodziewanych momentach. Właściwie od początku chodził własnymi drogami, nie pozostawiając mi złudzeń, że albo muszę to zaakceptować, albo go zwolnić. Na szczęście mówił mało i do rzeczy. Poza tym parzył sobie mocną kawę, po której normalni ludzie wymagali przeszczepu serca lub skakali po ścianach. Krótko mówiąc, udali mi się współpracownicy i nie zamieniłbym ich na nikogo innego.

Kiedy w końcu sytuacja finansowa biura unormowała się, a mnie zabolęły ręce od odbierania telefonów, postanowiłem przyjąć sekretarkę. Miała być wierna jak pies, mądra jak Einstein, przebiegła jak Machiavelli i ładna jak Salma Hayek.

Casting zaczął się o ósmej rano w środę. Po ośmiu godzinach tłum pod drzwiami zmałał i sąsiedzi w kamienicy przestali mnie przeklinać. Przychodziły panie w różnym wieku, o różnej urodzie i przeróżnych możliwościach intelektualnych. Zdarzały się kolubryny o wadze, dajmy na to, sto pięćdziesiąt kilogramów, przychodziły chwiejące się ze zmęczenia anorektyczką jakby pomyliły mnie z doktorem Kilderem, prezentowały się matki z dziećmi i absolwentki szkół prywatnych z miejscowości, o których wiedziała tylko książka telefoniczna. Do tego trzeba dodać osoby podstawione, alkoholiczki z okolicznych melin, kilka przechodzonych prostytutek, sporo studentek prawa i polonistyki, a także sekretarki wyrzucone z naprawdę szacownych instytucji.

Zanim rozpocząłem przesłuchania, podszedłem cicho pod drzwi oddzielające mój gabinet od sekretariatu i zacząłem podsłuchiwać kandydatki. Trafiłem na moment, w którym jedna z nich opowiadała o swoich wizytach w salonie fitness.

- Bez maseczki nie wyłażę na ulicę - tokowała panienka. - Potem kopie my w powietrze i...

- Nigdy nie byłam w takim miejscu - przerwała jej druga, chyba mniej rozgarnięta. Nie zdziwiłem się, bo sam bym wymiękł, gdyby mi ktoś powiedział, że płaci za kopanie w powietrze.

- Gadasz? - Cwana była zaskoczona.

- Naprawdę. - Potwierdzenie zabrzmiało jak czkawka.

- Nie masz kasy? Przygruchaj sobie kogoś i niech za wszystko buli...

- Nie umiałabym tak...

- Boże, słyszycie, dziewczyny? Za nią nikt nie płaci - zawołała ta cwana.

- Widzisz moje włosy? - Zainteresowałem się tą rozmową jeszcze bardziej, bo nie odgadłem, o jakie włosy chodziło. Miałem nadzieję, że nie te tam, szuru-buru. W końcu znajdowaliśmy się w moim sekretariacie.

- No, widzę.

- Mam boba. Fajny?

- Jakiego boba? - odpowiedziała pytaniem ta skromniejsza. Sam byłem w kropce, bo wyobraziłem sobie, że panienka przylazła z chłopakiem, który nazywał się... Bob.

- To fryzura. Nazywa się bob - wyjaśniła ta z fitnessu. - Oj, dziewczyno, daleko to ty nie pojedziesz - podsumowała.

Podśluchiwałem jeszcze pół godziny, bo mnie wciągnęło. Gdybym nadal pisał scenariusze, miałbym tutaj kopalnię tematów. Poza bobem, dotarło do mnie, za co musiałbym zapłacić, gdybym wpadł w ręce jakiegoś sprytnego chromosomu X. Sam zestaw do pielęgnacji włosów mógł człowieka zamienić w bankomat: szampon, odżywka, lakier, pianka, farba, wosk i żel. A potem zaszumiało mi pod sufitem od rodzajów szminek, cieni do powiek, błyszczyków, pomadek, pudrów, tuszów, lakierów do paznokci, kredek, różów i podkładów. Przerwałem podśluchiwanie, kiedy dowiedziałem się, że wystarczy wziąć kredyt i to wszystko sobie kupić. Po tym fascynującym odkryciu zdecydowałem się stanąć z kandydatkami oko w oko i przeprowadzić wywiad. Naprawdę potrzebowałem odpoczynku po podśluchiwaniu.

Jedna z pań tak bardzo chciała u mnie pracować, że nabrałem podejrzeń co do jej motywacji. Wyglądała, owszem, owszem, jak reklama proszku do prania dla przeciętnego obywatela: brzydka twarz, brzydkie ubranie, brzydki makijaż, ale za to mniemanie o sobie, że ho, ho. Miała około trzydziestu lat, blond loczki świeżo po trwałej ondulacji, paznokcie długie na kilometr i buty z czubem jak z westernu. Usiadła przede mną i zademonstrowała sięganie po papierosa. Pokazałem jej ruchem głowy, że tutaj nie palimy. Skrzywiła się, co chyba oznaczało irytację.

- Jakie ma pani wykształcenie? - zapytałem.

- Licencjat z marketingu i zarządzania - odpowiedziała rezolutnie.

- Gdzie pani pracowała?

- W dwudziestu trzech firmach - pochwaliła się, a we mnie serce zamarło. Takie doświadczenie się marnowało. - Jestem naprawdę dobra, szefie - zaczęła mnie tytułować. - Mam oko na wszystko, nie dam się przewalić i zrobię w tym interesie trochę ruchu. Będziemy

wysysać frajerów z forsy jak trzeba...

- O jakim interesie pani mówi? - Nie ma co, panienka miała konkretne zainteresowania.

- No o podglądaniu ludzi - wyjaśniła mi, co powinienem robić w mojej agencji. - Wytrzepiemy towarzystwo z kasy, że aż miło, szefie. Nawet nie zipną. - No, no, no, zanosilo się na naprawdę spore zarobki.

- A więc pani uważa, że w agencji detektywistycznej podglądamy ludzi i potem ich szantażujemy, tak?

- A nie? - zdziwiła się bardziej niż ja po zdanej maturze.

Pożegnałem ambitną kandydatkę, ale pozostałe były jeszcze lepsze. Ich wyobrażenie o pracy przypominało operę mydlaną. Coś tam chciały robić, ale tak naprawdę interesowała je tylko pensja, czas pracy i klienci z walizkami pieniędzy. Właściwie powinienem je wszystkie zatrudnić i w ten sposób wyręczyć państwo w walce z bezrobociem.

Po dwóch dniach zmagania z chętnymi paniami wybrałem trzy, z którymi chciałem się ostatecznie rozmówić. Zaprosiłem je na sobotę, miały wchodzić co pół godziny. Trzeba zaznaczyć, że wszystkie były ładne; jak mawiał mój przedwojenny wuj - „w dechę babki”. Nic nie mogłem poradzić, że chciało mi się gadać tylko ze zdrowymi towarami. Ten mocny charakter prześladował mnie, od kiedy na koloniach przytuliła mnie do swoich piersi panna Zuzanna. Piersi były duże i gorące jak świeże drożdżówki. I tak mi już zostało, panna Zuzanna załatwiła mnie do końca życia.

Pierwsza kandydatka przypominała Mount Everest - miała długie nogi, sterczące przytulanki, wydęte usta, długie czarne włosy i pupę kształną jak melon. Dobre metr osiemdziesiąt siedem wzrostu. I to spojrzenie... Inteligentne, bo przypominało cztery tysiące dolarów za noc. Do tego dochodziły trzy języki, dwa kierunki studiów, doświadczenie w public relations i zielony pas w karate. I jak tu z nią pracować? Z kimś takim za ścianą nie miałbym spokoju, to pewne. W końcu okazałoby się, że to ja pracuję u niej, a nie ona u mnie. Musiałem szybko znaleźć coś, co mnie od niej odrzuci. Cokolwiek, byle tylko zniesmaczyło panienkę w moich oczach. Kiedy już myślałem, że się nie uda, dziewczyna wstała i podeszła do okna. Sunąłem wzrokiem po jej figurze tak chętnie, że o mało nie odkleiła mi się siatkówka. Kiedy już traciłem nadzieję, kiedy brała mnie w niewolę i zamykała w złotej klatce, zobaczyłem jej stopy. No, nareszcie! Mój zachwyty umarł śmiercią naturalną. Kandydatka miała stopę większą od przystanku autobusowego. Można było na niej biwakować i jeszcze znalazłoby się miejsce na wybudowanie skoczni. Pa, pa, kochanie. Idź sobie. Nie mógłbym się skupić, widząc, że pod twoim biurkiem stoją buty nurka. A



kompetencje? Kto o nich tak naprawdę myśli?

Druga kandydatka założyła obcisły kostium w kolorze turkusowym i od razu poinformowała mnie, jakie nosi majtki. Jej spódnica była bardziej obcisła od chirurgicznej rękawicy. No i zobaczyłem, co miałem zobaczyć: majtki tak głęboko ukryte, jakby ich nie było. Dekolt też mnie zachwyił. Jolanta, bo tak to cudo miało na imię, nie nosiła bluzki i ufała samemu żakietowi. Przez chwilę miałem wrażenie, że Fashion TV instaluje się w moim biurze. Potem zauważyłem błyszczące miedziane włosy, istną reklamę szamponu, a na końcu zęby tak bardzo wybielone, że można je było pomylić z ośnieżonym alpejskim stokiem. Kobieta nie była ani za niska, ani za wysoka. Miała wzrost pasujący do każdego łóżka. Potrząsała włosami, przekładała nogi jak w *Nagim instynkcie*, uśmiechała się pod nosem i tajemniczo milczała. Ideal? Prawie, bo przecież coś mówić powinna. W jej curriculum vitae przeczytałem, że skończyła studia prawnicze z wyróżnieniem i za pieniądze zagranicznych uniwersytetów zwiedziła pół świata. Czego więc oczekiwała po pracy sekretarki w mojej agencji? Coś mi tu nie grało. Wszystko wyjaśniło się w ciągu kilku sekund. Kiedy zapytałem ją: „dlaczego akurat u mnie?” - czar prysł. Zaczęła mi się dziwnie przyglądać, o wiele za długo i za bardzo przenikliwie. Z takim spojrzeniem pasowała bardziej do prosektorium niż do mojego sekretariatu. Postanowiłem jak najszybciej się jej pozbyć. Na nic uroda, na nic wdzięk i dyplomy uniwersytetów, na nic wszystko, jeśli wzrok pracownika działa jak skalpel. Dziewczyna jednak nie studiowała medycyny, a więc była skazana na zatrudnienie w branży, o której prawdziwi faceci przypominali sobie w weekend.

Najbardziej spodobała mi się ostatnia kandydatka. Wysoka, kształtna i ubrana chyba przez redakcję jakiegoś kolorowego magazynu. Blondynka, a jakże, z nogami do szyi i pupą, którą powinni podawać na deser w hotelach pięciogwiazdkowych. Proporcjonalne zaokrąglenia i cholernie obiecujące spojrzenie sprawiały, że człowiek był pewien, iż ma do czynienia z krzyżówką Moniki Bellucci z Marilyn Monroe. Piersi tej kandydatki także zwracały uwagę - niemałe, ale i nie za duże, odsłonięte na tyle, żeby korzystnie dla zdrowia przyspieszyć puls. Poza tym patrzyłem na dłonie z pięknymi czerwonymi paznokciami, które wprost prosiły się o misia do głaskania. No i nazywała się bosko: Susan Smith. Była Amerykanką, która wyszła za mąż za Polaka w Nowym Jorku, nauczyła się polskiego, po czym mąż zachorował na raka i szybko zmarł. Pogrzeb, depresja i wyjazd do Polski, kraju, który Susan naprawdę pokochała. Dziewczyna miała trzydzieści lat i uczyła języka w jednej z warszawskich szkół. Trafiała do mnie, ponieważ jej ojciec był policjantem i - jak twierdziła - wężenie miała we krwi. Nasze pierwsze spotkanie przebiegło w atmosferze co najmniej dziwnej.

- A więc chciałyby pani pracować jako sekretarka? - odezwałem się niezbyt inteligentnie. Siedziałem za biurkiem w swoim gabinecie, a ona na fotelu naprzeciwko.

- O tak, bardzo bym chciała - potwierdziła z rozbrajającym filmowym uśmiechem. Już mnie miała, paradnica jedna. - Myślę o biurze detektywa. Tu są przynajmniej jakieś dzieje... - dodała trochę enigmatycznie.

- A nie boi się pani, że może być niebezpiecznie? Groźby, szantaże, obserwacja... - wtrąciłem uczciwie.

- Nie boję się. Mam gazy - odparła chyba szczerze. Połapałem się, że język polski w jej ustach naprawdę kwitł.

- Gaz... Chciała pani powiedzieć, że ma przy sobie gaz łzawiący, tak? - naprowadziłem ją na cel. Blond loki zafalowały mi w oczach, a nogi wykonały przekładkę.

- Dam sobie radę, pan detektyw - uparła się Susan. - Jestem uczciwa i nie będzie tu żadnej korupcji.

- A, to dobrze - podsumowałem, chociaż podniosła mi się sierść na plecach i omal nie przebiła koszuli. - Pracowała już pani jako sekretarka?

- O tak, na studiach i zaraz potem - potwierdziła. - Jestem dobra, znam języki i jestem miła...

- To doskonałe referencje - powiedziałem na wpuł do siebie. Kiedy na chwilę zawiesiłem głos, Susan wstała nagle, podeszła do mnie i pochyliła się nad biurkiem. Teraz miałem ją na wyciągnięcie ręki. Zajrzałem w dekolt, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na jej temat. Dotknęła mnie chusteczką higieniczną tuż przy uchu. Siedziałem sztywno i czekałem na rozwój sytuacji. Zanosilo się na ostrą jazdę z gadżetami.

- Miał pan krem na goleniu - wyjaśniła mi Susan i wdzięcznie opadła na fotel. Niech będzie „na goleniu”, przynajmniej skorzystałem z okazji i po raz pierwszy od wielu lat obejrzałem sobie łydki. Gdzie im tam było do kremu? Włosy ledwo mieściły się w nogawkach spodni.

- Dziękuję - odparłem. Podrapałem się w głowę, jakbym podejmował decyzję o wojnie secesyjnej. Fajna jesteś, mała, dumałem, gabaryty masz pod kozik, ale jest jedno „ale”... Nie wiadomo, jak ułożą się nasze stosunki. Kto w tym związku będzie tatą, a kto mamą? I tak w ogóle, co na to moja koncentracja uwagi?

- Pan myśli? - Jej głos przeciął moje wątpliwości.

- Jest pani przyjęta. - Zdecydowałem, patrząc na blat biurka. Niby przedmiot martwy, a gadał do mnie całkiem przytomnie: „no już, dawaj, stary, nie szczyp się, co będziesz czekał, szkoda czasu”. - Na razie na próbę, na miesiąc, a potem zobaczymy.

- Dobrze. - Ucieszyła się i oblizwała usta. - A ile będę brać pieniądze?

- Pyta pani o swoją pensję - stwierdziłem rzeczowo. - Na razie tysiąc na rękę. Odpowiada pani?

- Tysiąc dolarów, tak? - zaświergotała jak ptaszek, a ja połapałem się, że babka położyła właśnie rączkę na moim portfelu.

- Tysiąc złotych, czyli nie mniej niż 300 dolarów miesięcznie - wyjaśniłem. Nawet nie posmutniała. Bawiła się zamkiem od torebki i - nie ukrywajmy - miało to swój urok.

- Wiem - zaśmiała się. - To był żart.

A niech cię, kobro jedna, dałaś mi do wiwatu tym tysiącem baksów, nie ma co. Pożegnaliśmy się jak pracodawca z pracownikiem i zostałem sam. Od jutra miała zacząć. Wstałem i popatrzyłem sobie na nią przez okno. Bóg tylko wiedział, co wydarzy się w biurze w ciągu najbliższego miesiąca. Byłem akurat wolny, a Susan znalazła się w moim obozowisku. Postanowiłem jednak, że będę chłodny jak czoło nieboszczyka i nic nie zmusi mnie do przekroczenia granicy dobrego smaku. Spojrzałem w dół. Ten drugi, Pan Wielki Majster, nie był już tego taki pewny. Wysyłał sygnały, na których najlepiej znają się Chińczycy. Z marzeń wyrwał mnie dźwięk telefonu.

- Słucham, Artur Brandt. Biuro Detektywistyczne - odezwałem się sztywno.

- Mówi Stefan Radwan. Mam wielki problem i chciałbym się z panem zobaczyć. - W słuchawce zadudnił gruby głos.

- Kiedy?

- Zaraz, jeśli to możliwe - odparł nieznajomy. Wyczułem zdenerwowanie, a nawet gwałtowną chęć podzielenia się ze mną oszczędnościami.

- Zna pan adres? - zapytałem na wszelki wypadek. Gość dobrze wiedział, gdzie mnie szukać; zanim słuchawka opadła, już do mnie gnał. Powinien zjawić się za pół godziny. Miałem tylko nadzieję, że nie przybywa rozejrzeć się po biurze, skorzystać z toalety i zostawić drobną monetę. Wcześniej, i owszem, zdarzało się, że klienci w ten sposób się zachowywali.

Do wizyty przygotowałem się bardzo starannie. Umyłem zęby, posmarowałem włosy żelem, wykonałem kilka przysiadów i popsikałem się wodą kolońską. Niech klient wie, że w mojej agencji wszystko zaczyna się od higieny. Poza tym uporządkowałem rzeczy na biurku i otworzyłem okno. Co tu dużo gadać, cieszyłem się, że będę mógł komuś pomóc.

Nigdy przedtem nie widziałem tak przystojnego mężczyzny. Miał około pięćdziesiątki, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, idealnie obcięte włosy, garnitur nie gorszy od mojego, buty o niebo lepsze i zegarek, jaki widuje się tylko na filmach o jubilerach.

Przywitał się ze mną, patrząc mi w oczy, a jego sygnet o mało nie zmiądzzył mi serdecznego palca. Skądś go znałem, ale na pewno nie ze szkoły. Poruszał się nerwowo i jak na mój gust za szybko. Pokazałem panu Radwanowi fotel i sam usiadłem za swoim biurkiem.

- Wie pan, kim jestem? - zaczął tajemniczo mój klient. Ładnie pachniał, warto dodać.

- Nie przypominam sobie...

- Branża komputerowa - pomógł mi.

Przypomniałem sobie. Przedemną siedział jeden z najbogatszych ludzi w kraju, właściciel fortuny, którą gazety określały słowem „bajeczna”. Teoretycznie Stefan Radwan mógł mnie ogolić sekatorem na zero, skopać tyłek aż do krwi, wybić zęby, napluć w twarz i jeszcze otrzymać za to podziękowanie. Na piersi poczułem ciężar jego forsy. Boże, ratuj, bo się uduszę. Poza tym, facet miał problem, o którym czytałem w prasie i słyszałem w radiu.

- Już kojarzę. - Zastygłem w pozie Sherlocka Holmesa skrzyżowanego z innymi detektywami. - W czym mogę panu pomóc?

- Zaginęła moja córka i nikt nie wie, gdzie jest - powiedział z wysiłkiem pan Radwan.

- Przed trzema tygodniami, tak?

- Prawie się zgadza. Dokładnie dwudziestego sierpnia. Policja twierdzi, że jej szuka, ale jak na razie nic z tego nie wychodzi - wyjaśnił magnat komputerowy. - Żona odchodzi od zmysłów, ja nie wiem co robić, bo nikt nie zgłosił się po nagrodę... To znaczy zgłaszają się, ale wariaci i cwaniaczki. Sam pan wie, jak to jest, kiedy można dostać milion euro...

Nie wiedziałem, ale chętnie bym zadzwonił, gdybym wiedział, gdzie szukać panny Nany Radwan. Sama myśl o milionie euro mogła człowieka na zawsze wyleczyć z patriotyzmu. Coś o tym wiedziałem, bo bywało, że zarabiałem naprawdę duże pieniądze. Niestety, sporo już wydałem, a moje możliwości znacznie zmały.

- Kto ją widział po raz ostatni? - zapytałem, udając, że patrzę mojemu klientowi w oczy.

- Jej chłopak, Sylwek... Sylwester Niegocki - poprawił się pan Radwan.

- Gdzie?

- W dyskotecie, a właściwie na ulicy... Na Koszykowej - dopowiedział smętnie.

- Nie zauważył, że porywają mu dziewczynę? - zapytałem cynicznie.

- Dostał gazem po oczach i było po sprawie - wyjaśnił pan Radwan. - Z tego co wiem, zrobił to jeden człowiek. Niestety, Sylwek nie potrafi nic o nim powiedzieć. Noc, gaz, zaskoczenie... Sam pan wie, co o tym myśleć.

Oj, wiedziałem, dobrze wiedziałem. Raz oberwałem gazem przez przypadek i do dziś pamiętałem.

- Kogoś pan podejrzewa? - jęknąłem, aby wiedział, że na swoje honorarium ciężko pracowałem.

- Nikogo konkretnego - pokręcił głową. - Mam wrogów, ale skutecznie się maskują. W interesach prawie każdy jest konkurencją, a ja nie prowadzę kiosku tylko obracam milionami. Zawsze się znajdzie ktoś, kto chciałby mi zaszkodzić.

- Żadnych wrogów? - dopytywałem się jak jakiś debil.

- Wszyscy albo nikt - odparł w filmowym stylu. - Widział pan kiedyś na własne oczy dziesięć milionów euro?

- Nigdy, ale bardzo bym chciał - poinformowałem go szczerze.

- Jest jeszcze coś gorszego - zaśmiał się trochę sztucznie.

- Nie rozumiem - przyznałem się.

- Otóż są ludzie, którzy nie chcieliby ich widzieć, ale zależy im na tym, abym i ja ich nie oglądał...

- Urząd Skarbowy - wtrąciłem pod nosem.

- Też - przytaknął. - Żyją na świecie ludzie, którzy chętnie niszczą wszystko, co ich drażni.

- Dlaczego pan mi to mówi?

- Cóż, powinien pan mieć pełny obraz moich wrogów...

- Chce pan, żebym odnalazł Nanę? - zapytałem na wszelki wypadek.

- Tak. Chcę, żeby pan ją odnalazł i sprowadził do domu - potwierdził pan Radwan. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i drżącymi palcami starał się ją rozpakować. - Można? Z tych nerwów znów zacząłem palić...

- Proszę. - Podsunąłem mu popielniczkę z XIX wieku. W końcu na coś się przydała. - Ma pan zdjęcie córki?

Wyjął z kieszeni plik zdjęć i położył przede mną. No, no, dziewczyna rzeczywiście wyglądała niezmiernie. Było się czego trzymać. Tatuś przyniósł fotografię z paszportu, w gronie rodzinnym i w kostiumie kąpielowym. Innymi słowy, komplet. Udałem obojętność, ale nie było to łatwe. Duże, wyraziste oczy, długie, proste, ciemne włosy, rysy tak regularne, że można było ustawiać według nich zegarki, kształtne kości policzkowe i nos stworzony nie tylko do wachania. O ustach mogłem powiedzieć tylko tyle, że nawet Scarlett Johansson mogłaby powiedzieć do nich „siostró”. Zdjęcie w kostiumie uczyniło ze mnie kalekę na całe życie - proporcje, kształt, a także wielkość tego i owego rzuciły mnie na kolana i tak już miało pozostać do końca moich dni. Nigdy wcześniej nie widziałem zdjęć, które były w stanie otworzyć portfel. Dzisiaj był ten pierwszy raz. Zrozumiałem, że cwana kandydatka na

sekretarkę mogła mieć rację. Dla Nany Radwan gotów byłem osobiście kopać powietrze i rozliczać się z tego w euro.

- Znajdzie ją pan?

- Dlaczego ja? - Udawałem zimnego, ale zdjęcia dziewczyny już zdążyły mnie przypieć.

- Byłem już u dwóch detektywów, wynająłem ich, ale nie zaszkodzi jeszcze jeden - odpowiedział zbolalym głosem. - Pan wzbudził moje zaufanie, ponieważ znam pana z telewizji, znam pańskie filmy i artykuły... Dziennikarz śledczy musi mieć swoje sposoby zdobywania informacji. Dlatego wybrałem pana. Milion euro honorarium plus koszty śledztwa. Proszę mi obiecać, że zajmie się pan tylko tą sprawą.

- A jeżeli jej nie znajdę? - upewniłem się.

- Zwrócę koszty i zapłacę, ile pan zechce... - odparł bez zająknięcia. - Ile tylko pan zechce.

- Ufa mi pan?

- Tak, bo nie może pan wiedzieć, czy nie wynająłem kogoś, kto będzie pana obserwował. - To stwierdzenie powiedziało mi o nim więcej, niż gdybyśmy razem dzielili łóżko. Bystrzak. Zasługiwał na swoje pieniądze.

- Chce pan powiedzieć, że będzie mnie pan sprawdzał - wypowiedziałem to zdanie, nie mając wątpliwości, że sprawdzanie już się zaczęło. - Zgoda. Jeśli jej nie znajdę w ciągu roku, zarobię sto tysięcy euro. Co pan na to? A jeśli znajdę, dostanę milion euro. Zaliczka w wysokości pięćdziesięciu tysięcy euro przy podpisaniu umowy - recytowałem słowa mojego księgowego i prawnika.

- Oczywiście - zgodził się natychmiast. Widać było, że sto tysięcy w prawo, sto tysięcy w lewo to dla tego gościa betka. - Gdzie jest umowa?

Podąłem mu plik kartek, a on podpisał je bez czytania. Ot tak, jakby wypełniał rewers w bibliotece. Dym z papierosa zaczynał mnie dusić, dlatego otworzyłem szerzej okno i wróciłem na swoje miejsce.

- Nie boi się pan, że mogę wpisać do umowy dowolną kwotę i oszukać pana? - wyrwało mi się trochę głupio, ale byłem pod wrażeniem. Obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem i wydawało mi się, że na jego ustach zadrzał lekki uśmiech.

- Mnie już nie można oszukać, panie Brandt - szepnął. - Ja mogę kupić każdego...

- Poza życiem córki - wyrwało mi się niezbyt ładnie. Nawet się nie zdenerwował. Pokiwał tylko głową, a ja wiedziałem, o co mu chodziło.

- Ma pan do dyspozycji wszystko - kontynuował mocniejszym tonem. - Moje

pieniądze, moje możliwości, znajomości, moich prawników i ludzi, jakich pan zechce. Mogę panu nawet zapewnić ochronę... Proszę mi tylko zwrócić moją córkę. Niech pan będzie skuteczny i nie waha się przed niczym. Życie mojego dziecka jest najważniejsze. Na policję raczej nie liczę, chociaż bardzo się starają...

Położył na biurku plik euro z napisem na banderoli: „50 tysięcy”, dorzucił swoją wizytówkę z numerem komórki, pożegnał się ze mną i wyszedł. Żadnych pokwitowań. Ufał mi. Stefan Radwan miał styl, dzięki któremu kręcił się przemysł filmowy, a ludzie wierzyli w jutro. Był odpowiedzią na brak wyobraźni i codzienność. Pojawiał się i jednym gestem pokazywał, że istnieje nieśmiertelność. Szkoda tylko, że ktoś włożył mu w szprychy coś brzydkiego. I w tym momencie zrozumiałem, że tak naprawdę wziąłem tę robotę z pobudek idealistycznych - dla forsy, bo podobał mi się jej styl.

## ROZDZIAŁ 4

Dziewczyna obudziła się, ale nie mogła odgadnąć, która była godzina. Znajdowała się w przytulnie urządzonej sypialni bez okien. Mogła tylko włączać i wyłączać światło. Obok dużego łóżka znajdowały się przyciski z napisami: muzyka i filmy na życzenie, samoobsługa. Musiała przyznać, że wystrój sypialni był na najwyższym poziomie. Poza kanapami, stolikami, obrazami, regałem z książkami, oświetleniem i stalowymi drzwiami z dużym wizjerem w pomieszczeniu znajdowało się jeszcze wejście do łazienki wielkości drugiego salonu. Tam także nie było okien. Klimatyzacja za to działała bez zarzutu.

Zbliżał się kolejny tydzień od porwania i właściwie nic się jeszcze nie wydarzyło. Nikt jej nie pobił, nie zgwałcił, nie morzył głodem i niczym nie straszył. Gdyby nie uwięzienie i brak kontaktu ze światem, można by powiedzieć, że znalazła się w luksusowym apartamencie na wakacjach. Obsługiwał ją jeden człowiek, który odzywał się tylko monosylabami i przedstawił się jako Ozi. Poznali się szybko i bez zbędnych grzeczności.

- Dlaczego mnie tu trzymacie? - zapytała Nana.

- Niedługo się dowiesz - odpowiedział.

- A co to zmieni, jeśli powiesz mi teraz? - zareagowała zbyt inteligentnie, bo osiłek popatrzył na nią przeciągle i odparł:

- Nie kumam, o czym gadasz, mała.

- Pytam, co to zmieni, jeśli odpowiesz mi teraz. Dlaczego tu jestem?

- Niedługo się dowiesz.

- Ty chyba mnie nie rozumiesz - zdenerwowała się. - To łatwe pytanie. Chcecie mnie zastrzelić, powiesić, sprzedać, okraść, przestraszyć? Przynajmniej bym wiedziała.

- Niedługo się dowiesz - odparł teatralnie i wyszedł.

- Hamlet się znalazł... - wyszeptała zrezygnowana.

Ozi regularnie przynosił jedzenie, picie, ubranie, po czym bez słowa wychodził. Wyglądał na obstawę kogoś ważnego - łysy i napakowany sterydami jak gąsior. Wystarczyło spojrzeć mu w twarz, aby człowieka przeszedł dreszcz strachu. Dla dziewczyny jednak był



bardzo grzeczny. Kiedy pytała go o cokolwiek, zawsze odpowiadał tak jak za pierwszym razem. Za to kiedy chciała się dowiedzieć, czy chodzi o okup, zaprzeczał. Do puszczenia pary z ust nie skusiła go nawet obietnica olbrzymich pieniędzy za uwolnienie. Wydawało się, że skruszyć go mogła tylko sztanga na siłowni. Musiała cierpliwie czekać.

W końcu pojawił się mężczyzna, który wydawał jej się skądś znany. Na jego ramieniu widniał tatuaż z chińską literą. Wszedł do salonu i cicho zamknął za sobą drzwi. Przystojny i wysportowany, mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia osiem lat, czysty i pachnący drogimi kosmetykami. Kiedy pierwszy raz na nią spojrzał, zwróciła uwagę na jego ciemne, lśniąco oczy. Zanim usiadł w fotelu, włączył przycisk z muzyką. Otoczyły ich delikatne dźwięki klubowej muzyki. Dziewczyna już wcześniej przekonała się, że nagłośnienie salonu i łazienki było na najwyższym poziomie. Leżała pod cienką kołdrą i obserwowała mężczyznę.

- Dzień dobry, Nano - odezwał się mężczyzna. Co za piękny głos, przemknęło jej przez myśl. - Możesz nazywać mnie Toni, tak jak Tony'ego Soprano - przedstawił się. W rzeczywistości od Tony'ego Soprano dzieliły go z wyglądu miliony lat świetlnych. Pomyślała, że mianował się tak ze względu na charakter. Doskonale pamiętała serial, a gangstera nawet na swój sposób polubiła. Mimo okrucieństwa było w nim coś sympatycznego, a nawet ludzkiego. Powolność, naburmuszenie, brzydota, kłopoty rodzinne i depresja budziły w niej współczucie. Dlatego uśmiechnęła się do Toniego, jakby usłyszała coś miłego. Porywacz jednak nie odpowiedział tym samym.

- Pewnie chciałabyś wiedzieć, dlaczego tu jesteś, prawda? - zapytał rzeczowo. Nana domyśliła się, że był człowiekiem wykształconym i nie wiedziała dlaczego, ale ten fakt naprawdę ją przeraził.

- Co ze mną zrobisz? - zapytała, siadając w kucki na łóżku. Zakryła się kołdrą aż pod szyję. Czowała, że jej ciało drży. Po raz pierwszy ktoś przyszedł z nią porozmawiać. Może nareszcie wszystko się wyjaśni i koszmar się skończy.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że spędzimy razem kilka godzin - wyjaśnił grzecznie Toni. - Ty i ja. Wykąpiemy się, zjemy dobrą kolację, posłuchamy muzyki i będziemy się bliżej poznawać...

- O Boże - jęknęła dziewczyna, a w jej oczach pojawił się śmiertelny strach.

- Możesz odmówić, ale wtedy stracisz swoją szansę - kontynuował bez emocji Toni. - Mogę cię na przykład przywiązać do łóżka i wpuścić do tego pokoju, dajmy na to, sto głodnych szczurów. Mogę wpuścić pytona albo kilku narkomanów chorych na aids. Poproszę, żeby się z tobą kochali przez całą noc. Nie muszę mówić, że wybiorę starych, bezzębnych, brzydkich i śmierdzących. Oczywiście potem wszystkich ich zabiję, a ty zostaniesz sprzedana

do tureckiego burdelu. Tam przykują cię łańcuchem do ściany i dopóki choroba się nie rozwinie, będą cię odwiedzać wszyscy zainteresowani. Jesteś bardzo atrakcyjna, więc chętnych będzie dużo...

- Zabiję się - krzyknęła dziewczyna, patrząc wyzywająco w oczy swojego prześladowcy. - Słyszysz, zabiję się i nikt mnie nie dotknie!

Mężczyzna uśmiechnął się, jakby usłyszał dobry żart.

- Coś ci pokażę - powiedział szeptem. Dał znak ręką i otworzyły się drzwi.

Do środka wszedł znany jej dobrze strażnik Ozi. Popychał przed sobą stół z płaskim dużym telewizorem i DVD. Na stoliku leżało kilkanaście płyt. Strażnik podłączył szybko sprzęt i wyszedł z salonu. Toni nacisnął pilota i na ekranie pokazała się dziewczyna w łóżku. Była naprawdę ładna i bardzo zmysłowa. Potem wszedł gruby, brzydki mężczyzna, zrzucił ubranie, uderzył ją w twarz i zaczął gwałcić. Robił to beznamiętnie, prawie automatycznie, tak, jakby kroił cebulę lub zakładał buty. Kazał jej zmieniać pozycje, bił ją otwartą dłonią po całym ciele i obrzydliwie lizał po twarzy. Pojawili się też następni, jeszcze bardziej odrażający. Jeden miał poraną bliznami twarz i skórę pokrytą dużymi krostami. Drugi zapomniał chyba wprawić sobie zęby, bo memlał jej piersi, śliniąc się jak buldog. Robił to wszystko, uśmiechając się do kamery. Szarpał dziewczynę za włosy i stosował różne gadżety. Duże, o wiele za duże. Trzeci z mężczyzn w trakcie stosunku bez przerwy jęczał i policzkował ofiarę. Czwarty kazał jej na sobie usiąść, robić TO jak najszybciej i rzeć. Cały czas trzymał w dłoni zapalniczkę, którą co pewien czas przypalał jej piersi. Dziewczyna rżała, krzyczała, próbowała uciekać, ale za każdym razem gwałciciel biciem zmuszał ją do uległości. Minuta po minucie jej zmysłowość gasła, a ciało i twarz zamieniały się w krwawą miazgę. W dodatku zbliżenia kadru pokazywały zepsute zęby, brudne paznokcie i kurczaki oprawców. Ktoś zadbał o to, żeby projekcja robiła mocne wrażenie. Kiedy ostatni z mężczyzn wziął młotek i zaczął wybijać dziewczynie zęby, Nana nie wytrzymała i zamknęła oczy.

- Wystarczy, proszę, niech pan przestanie... - szepnęła. Widać było, że miała dość. Mężczyzna wyjął płytę i włożył następną. Na ekranie pojawiła się ładna dziewczyna z przystojnym chłopakiem. Zaczęli się do siebie przytulać. Nana zamknęła oczy i próbowała nie słuchać. Film pornograficzny był w tym momencie ostatnią rzeczą, jaką chciała oglądać. Usłyszała nastrojową muzykę i zupełnie niewinną rozmowę. Otworzyła oczy. Rozpoznała wybrzeże Sardynii, zatokę i złotą piaszczystą plażę, dostrzegła też wielką motorówkę i kelnera przygotowującego jedzenie. Para zakochanych siedziała na pokładzie, obejmowała się i patrzyła w morze, niebo, na malowniczy brzeg. Sielanka, obraz marzenia. Nana nawet nie zauważyła, kiedy film ją wciągnął. Toni uśmiechał się pod nosem, patrząc na dziewczynę, jak

na ulubioną potrawę.

- Ładne miejsce, prawda? - odezwał się cicho.

- Po co pan mi to pokazuje? Bawi się pan mną? Mój ojciec jest dostatecznie bogaty, żeby mnie wykupić, słyszy pan?

- Wiem, daje za ciebie milion euro - przerwał Toni. - Szukają cię wszyscy. Tymczasem my sobie tutaj siedzimy i nikt o nas nie wie. Dogadaliśmy się?

- Dlaczego mi to robicie?

- To proste. Podobasz mi się - odpowiedział. Nie miała wątpliwości, że mówił szczerze. - Tak bardzo mi się podobasz, że chciałem cię poznać.

- Mógł mnie pan poznać normalnie, bez tych... - zawahała się. - Dlaczego nie zapoznaliśmy się normalnie?

- Masz chłopaka, prawda? - zabrzmiało to jak wyrzut. - On bardzo komplikował sprawę. Nie oszukujmy się, zapoznanie się nie byłoby takie proste. Przyznaj, że go kochasz...

- Kocham, ale to nie zmienia faktu, że mógł pan próbować mnie poznać - usiłowała go przekonać, ale nie zabrzmiało to wiarygodnie. Toni wyłączył telewizor, wstał i podszedł do Nany. Odruchowo cofnęła się do ściany. Prześladowca usiadł na łóżku i pochylił się do przodu.

- Nie lubię tracić czasu - szepnął. - Jeżeli dziewczyna mi się podoba, to po prostu ją biorę...

- Jest pan nienormalny - wyrwało się z gardła Nany. - Powinien się pan leczyć...

- Na pewno. Ale po co? Jest mi z tym dobrze.

- Ile ich już zabiłeś? Dziesięć, dwadzieścia, sto? - wyrzuciła mu w twarz swoją nienawiść. Odruchowo przeszła na ty. Wyobraziła sobie cierpienia swoich poprzedniczek, znęcanie się, tortury, filmowanie tego wszystkiego i na końcu mordowanie. Nie tak zwyczajnie, z pistoletu i po sprawie, lecz długo i wyjątkowo okrutnie. Dziewczyna wyglądała pięknie i dziko, Toni był zadowolony. Nie pomylił się, miała temperament i charakter.

- Jesteś jedyna...

- Kłamiesz - wrzasnęła i zaraz się przestraszyła. On jednak nie zareagował, patrzył i uśmiechał się. - Jesteś zboczony...

- To nie ma żadnego znaczenia. Przyjmujesz moją propozycję? - Teraz dostrzegła w jego oczach determinację.

- I co potem? Zabijesz mnie, sprzedasz Turkom, napuścisz na mnie szczury? Co potem ze mną zrobisz? - Te pytania najwyraźniej go nie interesowały. - Słyszysz? Możesz mi powiedzieć, co potem ze mną zrobisz? Potem, jak już zgodzę się z tobą kochać...

- Sama zdecydujesz - uspokoił ją. - Może mnie pokochasz i zostaniemy razem na zawsze? A może zechcesz odejść... Kto wie? Chcę być z tobą, chcę być szczęśliwy i tylko tyle. Wyobraź sobie, że poznaliśmy się i zakochałaś się we mnie do szaleństwa. Bierzemy najpiękniejszy ślub na świecie. Wybierasz miejsce, porę, godzinę, ubrania, gości i jedzenie. Kupujemy dom albo apartament w Paryżu, Rzymie, Madrycie lub gdzie indziej. Jemy, słuchamy muzyki i kochamy się w miejscach, o których nawet się nie śni zwykłym ludziom. Potem rodzą nam się dzieci... Wyobraź sobie, jakie będą ładne. Popatrz na siebie, na mnie. Czy tacy ludzie chodzą po ulicach? Ty i ja jesteśmy ładniejsi od większości aktorów na świecie. To oni mogą nam zazdrościć, a nie my im. Potem wychowujemy nasze potomstwo, chłopca i dziewczynkę, na dobrych i uczciwych ludzi. Ja jeszcze przed ślubem zrywam z tym, co teraz robię. Gram na giełdzie i pomnażam kapitał. Jesteśmy bogaci i dajemy naszym dzieciom wszystko. Chodzą do najlepszego przedszkola, najlepszej szkoły i na najlepsze studia. Są bezpieczne i zawsze mogą na nas liczyć. Nie wiedzą co to strach, bieda czy zwykła praca. Nasza krew, nasze ciała, kochanie, nasze dzieci... Czy ktoś inny może ci to wszystko dać? Ten leszcz, którego nazywałaś swoim chłopakiem? Ten leń, ten pieszczołek? On miałby ci to wszystko dać? Jeśli mnie pokochasz, będziesz szczęśliwa...

- A co z porwaniem? Z przetrzymywaniem mnie tutaj, straszeniem, tym całym praniem mózgu? Mam o tym zapomnieć? - Nana popatrzyła mu prosto w oczy.

- Oczywiście - przytaknął. - To wszystko potraktuj jak przygodę. Szaloną przygodę w filmowym stylu. Po prostu jako zabawę. Tak naprawdę ważne są nasze uczucia i przyszłość...

- Kłamiesz, prawda?

- To zależy od ciebie...

## ROZDZIAŁ 5

Sprawa zaginionej Nany Radwan była trudniejsza, niż myślałem. Zbliżała się połowa października i ani ja, ani policja nadal nic nie wiedzieliśmy. Świadkowie niczego nie widzieli, a mój dziennikarski nos na nic mnie nie naprowadził. Jeszcze trochę i będę musiał wyobrazić sobie najgorsze, czyli biedę, biedę i jeszcze raz biedę ze stu tysiącami euro. Straszne.

Dotychczasowe rozmowy z Sylwestrem Niegockim, chłopakiem porwanej dziewczyny, przypominały czyszczenie zlewu językiem - człowiek się męczył, ale nie było efektu. Kiedy odwiedziłem go po raz czwarty, spojrzał na mnie tak, jakbym zmienił orientację seksualną. Siedział na balkonie, popijał kawę i jadł drożdżówkę. Był w szortach i klapkach. Wykorzystywał wyjątkowo ciepłe październikowe popołudnie. Firmowe logo widniało nie tylko na drożdżówce. Zobaczyłem mięśnie ukształtowane w siłowni, do której karnet kosztował więcej niż miesięczna rata niejednego kredytu. Nie wiem dlaczego, ale byłem pewien, że pierwszy lepszy łobuz podczas bójki wbiłby Niegockiego po szyję w asfalt. Chłopak nigdy się ze mną nie witał i nie żegnał. Widać było, że rodzice dobrze go wychowali - interesował się wyłącznie sobą. Patrzyłem na najwyższy stopień nirwany, gdyby ktoś chciał wiedzieć.

Niegocki mieszkał w stumetrowym apartamencie przy Szucha, na ostatnim piętrze. Wystrój jego mieszkania naprawdę robił duże wrażenie: szkło, kanty, nisko, kolory, zimno, obco, wystawowo, jeszcze raz szkło i bardzo niewygodnie. Innymi słowy, gość zapewnił sobie bardzo bliski kontakt z wizją projektanta.

- Znów pan jest - stwierdził na mój widok. - Wszystko już powiedziałem...

- Przyszedłem utrwalić materiał - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Bez zaproszenia usiadłem na krześle obok niego. - Im częściej rozmawiamy, tym większa szansa, że coś pan sobie przypomni.

- Policja tak nie mówi - przerwał mi z rozbijającym uśmiechem. Ugryzł kawałek drożdżówki i zapił go kawą. Przytomny był z niego gość - wiedział, jak się sprawy mają. - Raz mnie przesłuchali i wystarczyło.

- Może pan zapamiętał kogoś z dyskoteki - zagailem. - Kogoś pozornie bez związku. Czasami nie zwracamy uwagi na ludzi, których zauważamy. Chcę, żeby pan spróbował sobie przypomnieć kogoś takiego...

- Pamiętam dziewczynę z ładnym brzuchem i tatuażem - zaśmiał się Niegocki. - Faceta w zielonej koszuli w kwiatki, gościa w czarnym, za ciasnym garniturze, trzy panienki, które zaczęły się rozbierać, barmana tańczącego z flaszkami... Co panu da, że ich zapamiętałem? W dyskoteci migają światła i ludzie się bawią. Nikt się nikomu długo nie przygląda. Nie mam pojęcia, kto mógł porwać Nanę...

- A przy barze? - kontynuowałem. - Barman nie wydał się panu podejrzany?

- Ten gość pracuje tam trzy lata - zaśmiał się chłopak i przełknął kawę. - Znał dobrze mnie i Nanę. Czasami wpadaliśmy tam po południu na piwo. Gdyby to on był porywaczem, zrobiłby to dużo wcześniej. Zresztą, znam jego dziewczynę. Jest tam kelnerką...

- Jak się nazywa ten barman?

- Tomek. Nazwiska nie znam. Niektórzy wołają do niego „Tomasini”, bo uczy się włoskiego i czyta książki o mafii. - Tym razem Niegocki był skrupulatny.

- Gdyby pan sobie coś przypomniał...

- To mam zadzwonić - dokończył za mnie z ironicznym uśmiechem. Nie polubiłem tego gościa, oj, nie polubiłem. - Pańską wizytówkę już mam.

- Nie mogę doczekać się telefonu - zażartowałem równie bezlitośnie. Gnój jeden musiał poczuć we mnie inteligenta. No i chyba poczuł, bo worał mnie w bruzdę jak obornik.

- Mógłby pan opowiedzieć, jak się poznaliście? - zmieniłem temat. Co nieco już wiedziałem, ale nie zaszkodziło posłuchać raz jeszcze.

- Nie ma pan nic innego do roboty? Co to da, że opowiem o naszym spotkaniu? - nastroszył się chłopak.

- Może na coś zwrócę uwagę i pomoże to w poszukiwaniach - odparłem spokojnie. - Nie tęskni pan za nią?

- Poznałem ją w dyskoteci - zaczął mówić, ale z łaski. - Przyszła z przyjaciółmi. Tańczyła, zobaczyłem ją, stanął mi i tak dalej...

- Łatwo z nią poszło? - warknąłem. Chętnie uderzyłbym go w podbródek, ale nie po to przyszedłem.

- Zawsze idzie łatwo - zaśmiał się. - Trochę się przy niej poruszałem, potem poprosiłem koleżankę, żeby mnie przedstawiła...

- Znał pan tę koleżankę?

- Znałem - odpowiedział, patrząc na mnie z politowaniem. - Ona nie знаła Nany, ale

szybko to nadrobiła. Sprzedała jej dobrą gawędę na mój temat i zrobiła wejście. No wie pan, że jestem uczciwy, spragniony miłości, że moja narzeczona zginęła w górach... Coś tam jeszcze było o kasie i układach w świecie. Każdy towar to kupi.

- Czyli oszukał ją pan... - stwierdziłem.

- Zakochała się we mnie i była szczęśliwa - podsumowałem. - Tylko to się liczy. Ja też byłem zadowolony. Coś jeszcze? - Chłopak sięgnął do kieszeni spodnek i wyciągnął torebkę z tytoniem. Chyba przestał mnie zauważać.

- Gdyby się panu coś przypomniało, proszę zadzwonić - poprosiłem, ale nie to mi chodziło po głowie, oj, nie to. - Jest szansa, że dziewczyna jeszcze żyje... - przerwałem, bo zadzwoniła jego komórka.

- Cześć, piękna - wyszeptał do słuchawki tak niskim głosem, że poczułem się jak prasa hydrauliczna. - Jestem sam i czekam na ciebie... Za ile? Przyjedź w samym płaszczu i szpilkach. Pa...

- Nowa dziewczyna? - rzuciłem na wabia.

- Nowa - skinął głową i zapalił skręta. - Panta rhei, jak mówili starożytni, wszystko płynie...

- Proszę pamiętać o telefonie - wycodziłem przez zęby i ruszyłem do wyjścia.

- Pomyślę o tym. - Pomachał mi ręką, nie odwracając głowy. - Wszystko pod kontrolą, szefie.

Wyszedłem bez słowa, bo nasza wymiana zdań zaczynała zagrażać porządkowi publicznemu. Na ulicy rozejrzałem się za kimś, kto mógłby mi przyłożyć i na tym stanęło. Mijali mnie tylko miejscowi emeryci, kilku urzędników z pobliskich firm, jakaś matka z dzieckiem i patrol policji.

Mój niebieski subaru zawył i włączyłem się do ruchu. Owładnęło mną cudowne uczucie niczym nieskrępowanej wolności. Miałem chwilę na rozmyślanie. Odkąd w moim biurze zagnieździła się Susan Smith, śliczna amerykańska sekretarka, zrobiło się znacznie przytulniej. Pojawiły się kwiaty, serwetki i różne takie kobiece fanaberie. Poza tym kusila mnie, a ja broniłem się ostatkiem sił. Chociaż, kto wie, może to ja ją kusilem, a ona się broniła? Moi współpracownicy, emerytowany inspektor Walewski i były antyterrorysta Borg, dali mi do zrozumienia, że czarno to wszystko widzą. Innymi słowy, byli przekonani, że jeszcze chwila i Susan zacznie smażyć naleśniki na moim brzuchu. Może tak, może nie - najważniejsze, że chciało mi się przychodzić do pracy, zrezygnowałem z wielu tanich zleceń i przestałem się martwić o pieniądze. Gdyby teraz prezes telewizji powiedział mi, że mogę wracać, kazałbym mu poprowadzić wieczorny serwis informacyjny. Po czymś takim na

pewno nie byłby już tym samym człowiekiem.

Właśnie miałem docisnąć gaz do dechy, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Zestaw głośno mówiący zadziałał jak należy.

- Walewski - usłyszałem przepity głos mojego współpracownika. - Mam coś ciekawego...

- Jadę do klubu, w którym bawiła się dziewczyna - wszedłem mu w słowo. - Zajedź tam. Muszę pogadać z barmanem.

Walewski nie odpowiedział. Po prostu się rozłączył. Gdybym go nie znał, pomyślałbym, że się śmiertelnie obraził. Bardziej komunikatywni byli tylko specjaliści od komputerów. Skierowałem się na Stare Miasto, aby ominąć korek, ale i tak się nie udało. Lud warszawski uwielbiał jeździć po mieście niekoniecznie w godzinach szczytu. Kiedy w końcu zaparkowałem w okolicach Teatru Narodowego, byłem spokojny jak sztyd zakładu pogrzebowego. Olbrzymi parking narażał mnie na nerwowe kręcenie głową. Przed nosem miałem restaurację, w której warto było zjeść nawet wycieraczkę. Obok trzy inne, przypominające człowiekowi, że może wybierać. Szczerze mówiąc, stare kamienice i stylizowane elewacje pozwalały uwierzyć w świat bez porwań. Dziwny październikowy upał sprawiał, że zaczynałem wierzyć w cuda. Oto za kilka minut wszystko się wyjaśni - barman pokaże, gdzie ukrył Nanę Radwan, a jej bogaty tatuś wybeceluje na moje konto melona w euro.

Walewski wyłonił się zza samochodów i ruszył w moją stronę. Wyglądał na faceta, który okradł właśnie bezdomnego i musi to uczcić. Jego marynarka i spodnie wołały o żelazko, krawat wpadł w anoreksję, a rozczłapane buty upodobniły się do pizzy na cieniutkim cieście.

- Dowiedziałem się, że policja jest na tropie gangu porywaczy młodych dziewcząt - zaczął obiecująco. Z trudem łapał oddech. Tylko patrzeć, jak któregoś dnia poprosi o podwyżkę na respirator.

- Tylko jednego? - wyrwało mi się, ale Walewski nie zwrócił na to uwagi.

- To nie jest zwyczajny gang - kontynuował. - Chodzi o dziewczyny, które nie trafiają do burdeli. Tak by się rzecz miała z grubsza.

- Nie rozumiem. - Teraz byłem naprawdę ciekawy. - Gang porywa dziewczyny, które nie trafiają do burdeli? Ani u nas, ani w Europie? - Walewski przytaknął skinieniem głowy. - To co się z nimi dzieje?

- Na tym właśnie polega problem - westchnął. - Nikt tego nie wie. Kumple z wydziału powiedzieli mi w zaufaniu, że znaleźli faceta ze zdjęciem jednej z porwanych dziewczyn...



- Co powiedział?

- Nic, bo to trup - odparł spokojnie Walewski. - Miał to zdjęcie w kieszeni. Policja znalazła gościa w śmieciach za miastem. Dostał dwa uderzenia nożem w serce. Żadnych śladów walki, siniaków, zadrapań, podartego ubrania... Musiał znać mordercę i nie spodziewał się, że tamten go zaatakuje. Na komendzie uważają, że to jeden z porywaczy. Ustalili, że nazywał się Adam Rokicki. Mieszkaniec Warszawy, student jakiejś prywatnej uczelni, nienotowany. Z wywiadu wiadomo, że nie sprawiał kłopotów i wszyscy bardzo go lubili.

Tak bardzo, że z tej sympatii pogilgotali go stalowym ostrzem w serce, pomyślałem. A swoją drogą, ciekawe, w jaki sposób chłopak zdobył zdjęcie.

- Kiedy ta dziewczyna zaginęła? - zapytałem, udając, że nie widzę, jak mój współpracownik przetyka z pragnienia ślinę. Poorana zmarszczkami twarz nosiła ślady wielu namiętności. Walewski już nie pił, ale przełknięcie nadal miał imponujące.

- Cztery miesiące temu - odpowiedział. - Beata Góraj z Gdańska... Nadal jej szukają, ale na mój nos już chyba jest po ptakach. Panienka prawdopodobnie nie żyje.

- Dlaczego policja uważa, że to gang?

- Nie powiedzieli mi tego. - Walewski zapalił papierosa, a jego oczy odzyskały młodzieńczy blask. - Obejrzałem zdjęcia kilkudziesięciu zaginionych dziewczyn i wybrałem najładniejsze. Takich panienek się nie zapomina... W żadnym burdelu w Polsce ich nie widziano, żaden sutener i handlarz żywym towarem o nich nie słyszał, nie zapamiętał żaden klient. Nie ma mowy, żeby je zapomnieli. To naprawdę górna półka, szefie. Bez bajeru.

Ktoś na nas zatrąbił i uprzejmie zeszedliśmy na bok. Dobry parking charakteryzuje się tym, że jest gdzie odskoczyć, kiedy jedzie samochód. Przez sekundę miałem wrażenie, że jesteśmy śledzeni. Zbagatelizowałem to, uznając, że odezwała się we mnie trauma dziennikarska. Walewski podrapał się w czoło, jakby chciał mi jeszcze coś powiedzieć. Kiwnąłem głową i na zachętę dorzuciłem przeciągłe mruknięcie.

- Na tym zdjęciu dziewczyna stoi przed jakimś klubem - odezwał się w końcu. - Nie bardzo rozpoznaję to miejsce, ale na pewno tam byłem...

- Mamy to zdjęcie? - Było to jedno z najmądrzejszych pytań, jakie kiedykolwiek zadałem, bo Walewski sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę. Zdjęcie zostało skserowane, ale było dość wyraźne, chociaż czarno-białe. Popatrzyłem na starego inspektora z szacunkiem. Kiepeł nadal miał nie od parady. Dziewczyna na zdjęciu rzeczywiście mogła rywalizować o pracę w najlepszej agencji modelek. Na sam widok chciało się człowiekowi ślubu, ślubu i jeszcze raz ślubu. Wychodziła z jakiegoś klubu. Za nią widać było drzwi, dwie dziewczyny w

towarzystwie starszego pana rozpiętego aż do pępka i bramkarza. W tle rysowało się coś jeszcze.

- To nocny klub - stwierdziłem, nie patrząc na Walewskiego.

- Gdzie? - Inspektor załapał, o co chodzi, ale - niestety - nic mu to nie mówiło. Trzeba było nieboraka wspomóc.

- Niedaleko placu Defilad - wyjaśniłem. W mojej głowie zaczynało się coś układać. Nareszcie było za co złapać. - Tam zrobiono to zdjęcie. Niech pan pogada z barmanami, bramkarzami i kim trzeba. Potrzebuję czegoś charakterystycznego. Może kogoś zapamiętali...

Walewski skinął głową i po prostu odszedł. Musiałem przyznać, że niektórzy ludzie starej daty naprawdę umieli się komunikować. Teraz przyszła kolej na mnie. W dyskotecce, gdzie bawiła się zaginiona Nana Radwan, znajdował się barman, który nawet nie przypuszczał, jak przyjemnie sobie za chwilę ze mną pogada. Zanim odjechałem z parkingu, raz jeszcze obrzuciłem wzrokiem pobliską restaurację, nie powiem, drogą jak F-16. Bawcie się beze mnie, tacy owacy, pomyślałem zawistnie i odjechałem.

Po drodze odwiedziłem cmentarz przy Powązkowskiej. Grób pani Ryfki przypomniał mi, że sprawy toczą się szybko i zanim się człowiek obejrzy, mrozą go w lodówce jak szampan. Zaczął padać deszcz, ale nie ruszyłem się z miejsca. Przypomniałem sobie niezwykłą żywotność starej sędzi i zaczęło mi jej brakować. Ponownie miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi, ale kiedy się rozejrzałem, nikogo nie zauważyłem. Pani Ryfka pewnie już dawno wywęszyłaby szpicla, ale ja byłem z innego pokolenia i zauważałem tylko duże rzeczy: Pałac Kultury, Zamek Królewski i budynki telewizji przy Woronicza. W końcu poczułem, że efekt cieplarniany to prawda, i zasłaniając twarz przed ciepłymi kroplami deszczu, pobiegłem do samochodu.

Na Mokotowskiej przy stoliku na piętrze zamówiłem sushi. Jeśli ktokolwiek wie, o czym mówię, to zestaw jednodeskowy mógł wyleczyć człowieka nawet z chorób dziedzicznych. Egzotyczny sos, zielony chrzan i cienkie płatki żółtego i czerwonego imbiru sprawiły, że Wyspy Kurylskie stały mi się bliższe od własnej rodziny. Nie zamówiłem śliwkowego wina, ale dobrze wiedziałem, co tracę. W zamian wypięm zieloną herbatę, obrzucając sennym wzrokiem przechodniów. Oj, nadawałem się teraz do roboty jak chłop po żniwach. Jednak trzeba było się zbierać. W moim mieszkaniu dostosowałem się do wymagań współczesności - wykapałem się, nasmarowałem jedwabnym olejkiem, nastroszyłem włosy przy pomocy żelu, założyłem buty, na widok których bramkarze przed klubami całowali klienta w rękę, do tego dorzuciłem koszulę, jaką kupiłem dzięki „Playboyowi”, i marynarkę w kolorze Etny w trakcie wybuchu. Wyglądałem jak zszyte razem wszystkie kolorowe

magazyny dla panów. Tak przynajmniej się czułem. Do tego dochodziła moja twarz: ogolona nowymi ostrzami, posmarowana balsamem i polana najnowszym zapachem męskich perfum. Wygiąłem się kilka razy przed lustrem jak do zdjęcia, napiąłem mięśnie, wypróbowałem magnetyzm spojrzenia, po czym wyszedłem na ulicę. Zanim dotarłem do samochodu, o mało nie zdeptałem kilku przechodniów. Owionęła ich świeżość, jaka ode mnie biła, i próbowali rzucić mi się pod nogi. Domyślałem się, że omdlewali, ponieważ byli w szoku. Nie wierzyli, że człowiek może żyć aż tak higienicznie. Wystarczał im jeden dezodorant na rok, szczoteczka do zębów na całe życie i strzyżenie, gdy zamieniali się w spaniela.

Był już wieczór, kiedy znalazłem się w dyskotecie. Impreza dopiero się rozkręcała, a więc goście jeszcze się wzajemnie słyszeli. Powoli zapełniały się miejsca przy barze. Ci dzielni ludzie przygotowywali się na najgorsze: głuchotę, arytmie i problemy z erekcją. W lokalu zanosilo się na wielką balangę - ostoję każdego cywilizowanego miasta. Otaczały mnie dziesiątki przytłumionych świateł, stoliki małe, duże i największe, wszystkie dyskretnie zamaskowane, a pod sufitem prawdziwa garmażerka - lampki ciepłe, zimne, duże, większe, płaskie, wypukłe, wklęsłe i pofałdowane, ruchome i tak sztywne jak kasa fiskalna za barem. Pracownicy dyskoteki szykowali się na wypompowanie gotówki nawet z dwutlenku węgla. Miękkie fotele i krzesła zachęcały do figlowania z czym popadnie, włącznie z pluszowym pokryciem. W takim miejscu i o tej porze bankierzy przestawali liczyć pieniądze, urzędnicy tracili rozum, a ambitne dziewczyny hartowały swoje ciała na rurach.

Barman „Tomasini” nosił na piersi identyfikator z imieniem i nazwiskiem. Był wysoki, szczupły i co chwila potrząsał długimi kręconymi włosami. Wchodził w uderzenie, to pewne. Na moje oko jeszcze nic nie łyknął, ale na pewno już o tym myślał. Wycierał szklanki i rozmawiał z drugim barmanem, otyłym rudzielcem z twarzą usianą piegami. Koło mnie usiadły dwie panienki z obwarzankami w miejscu ust. Dalej widać było już tylko różową gardziel. Piękno polegało tu na faszzerowaniu ust botoksem, bez opamiętania. Mimo tej obsesji dziewczyny przyjemnie się zachowywały. Rzadko widywałem tak zmyślne reakcje: nóżka na nóżkę - raz, perliste ha, ha, ha - dwa, oczka rozbiegane jak Chińczycy po pracy - trzy. Skinąłem na „Tomasiniego”, żeby podszedł. Łypnął na mnie czujnie i zanim się spostrzegłem, zapytał:

- Coś podać?
- Chciałem porozmawiać - odparłem tak samo inteligentnie.
- O czym? - Chyba się nawet nie zdenerwował.
- O zaginionej dziewczynie, Nanie Radwan...
- Pan z policji?

- Pomagamy sobie - wyjaśniłem enigmatycznie. - Pamięta pan kogoś, kto mógł się nią zainteresować? Kogokolwiek... Kobieta, mężczyznę... Cokolwiek wie pan w tej sprawie, proszę o tym opowiedzieć.

„Tomasini” znieruchomiał nad barem, co miało oznaczać, że intensywnie myśli. Słaby był z niego aktor, ale się starał. Panienki z boku udawały, że nic nie słyszą i nic nie widzą. Nadal przybierały różne ciekawe pozy, co szybko zaczęło zwracać uwagę niektórych samotnych mężczyzn. Czekałem cierpliwie na odpowiedź „Tomasiniego” i obserwowałem w lustrze salę.

- Nikt nie zwrócił pana uwagi? - przypomniałem się, bo gość zaczynał medytować.

- Był tu taki jeden - odezwał się w końcu. - Klient siedział przy barze i filował na salę. Za spokojny jak na moje oko. Nosił biały podkoszulek, a na ramieniu miał wytatuowaną jakąś chińską literę. No i kilka razy zamawiał colę z lodem. Z nikim nie gadał, olewał nasze dziewczyny, ale czuło się, że coś jest z nim nie tak. Wtedy myślałem, że się nałykał i dochodzi do siebie. Tutaj to normalka...

- Co to za litera? Mógłby ją pan narysować? - zachęciłem go do ambitniejszej pracy. - A może jego?

„Tomasini” sięgnął po serwetkę i szybko zaczął coś szkicować. Po chwili podał mi narysowaną literę. Rembrandt to nie był, ale na moje potrzeby wystarczyło. Barman przyglądał mi się w milczeniu. Mimo że nie wyglądał na lalucha, na wszelki wypadek podciągnąłem mocniej spodnie.

- Dobra robota - pochwaliłem go. - A on? Jak wyglądał?

- Przystojny. Typ latynosa... Czarny, z krótkimi włosami, ładnie pachniał... Bardzo charakterystyczny. Na oko miał ze trzy dychy.

- Opowiadał pan o nim policji? - Na wszelki wypadek postanowiłem sprawdzić, co u konkurencji.

- Nie pytali o to - odpowiedział z krzywym uśmiechem. Najwyraźniej nie darzył sympatią przedstawicieli tego zawodu. - Teraz dopiero sobie o nim przypomniałem.

- Gdyby pan wpadł na coś jeszcze, proszę zadzwonić. - Podałem mu wizytówkę. - Ta dziewczyna może jeszcze żyć...

Wyszedłem na ulicę i skierowałem się w stronę samochodu. Był październikowy wieczór, a powietrze pachniało mokrymi liśćmi. Warszawa odpoczywała po nietypowym o tej porze roku ciepłym dniu. Zadzwoniłem do Walewskiego.

- Za ile będzie pan w biurze? - zapytałem.

- Już jadę - odparł rezolutnie jak zawsze.

- W porządku. Czekam na pana - otworzyłem przed nim serce i uruchomiłem silnik.

Była najwyższa pora, abym odezwał się do Susan. Kiedy usłyszałem w telefonie jej głos, pedał gazu mojego subaru przywarował jak dobrze wyszkolony pies. Z radia sączyły się nastrojowe dźwięki, co sprawiało, że gotów byłem oddać tej dziewczynie ziemię po dziadkach... Trzymaj się, chłopie, ona nie jest tego warta! To tylko twoja sekretarka! W ten sposób próbowałem się bronić, ale to chyba była ta magiczna godzina, w której mężczyźni przegrywają.

- Zjemy razem kolację? - To pytanie miało mnie zaprowadzić wprost pod jej drzwi.

- Już śpię, ale zawsze jutro mogę - odpowiedziała, a ja nie miałem pojęcia czy się zgodziła.

- Dziś o dwudziestej trzydzięści w Trattorii Toscana, tak? - zagrałem ostro po bandzie. Nie ma to, jak udać głupiego, gdy robi się naprawę gorąco.

- W innym czasie, bo dziś nie jestem możliwa - odpowiedziała z właściwą sobie jasnością. Naprawdę miała talent do robienia błędów językowych. Czuję, że ktoś wchodził mi w paradę. Ani się obejrzałem, a moja droga Susan znalazła sobie amanta, który nie liczył się z uczuciami innych ludzi. Nie wybrała mnie, lecz obcego, a to bolało.

- Kto to jest? - Sam zdziwiłem się swoją szczerością. Teraz miała mnie na widelcu.

- Praca nie może nam przeszkodzić prywatnie, szefie. Dobranoc na jutro - pożegnała mnie słodkim głosem, w którym czaił się amerykański chłód i wyrachowanie. No, niech ja się tylko dowiem, kto za tym stoi, pomyślałem z wściekłością. W szachy na pewno o nią grać nie będę. Wydarzy się coś lepszego - facet nigdy już nie zainteresuje się żadną sekretarką.

Walewski czekał już w biurze. Wymięty i nieświeży sprawiał wrażenie kota po deszczu. Siedział w fotelu i słuchał radia - tak po prostu. Rozparłem się i ja, po czym odbyła się między nami typowa rozmowa detektywów.

- Co pan ustalił z barmanem? - zapytałem, sięgając po coca-cole, która leżała ukryta w szufladzie mojego biurka.

- Już piłem - odpowiedział Walewski.

- Z mojej butelki? - przestraszyłem się nie na żarty, bo stan jamy ustnej mojego współpracownika oceniałem nie najlepiej.

- Na mieście - uspokoił mnie. - A barman nic nie pamięta... Kompletnie nic.

- Nawet za drobną opłatą? - I w ten oto sposób rodziła się korupcja, zapępiała więzienia.

- Za nic - pokiwał głową Walewski. - Gość nic nie pamięta. Dobry barman, ale marny świadek.

- Ten mój za to trochę powiedział - pocieszyłem emerytowanego inspektora. -  
Narysował tatuaż faceta i w dodatku dobrze go zapamiętał. Warto by było sporządzić portret  
pamięciowy i dać do mediów.

- Zajmę się tym jutro - Walewski wiedział, jak zasłużyć na podwyżkę. Nie wiedział  
jednak, że kiedy wypowiadał te słowa, stało się coś strasznego.

## ROZDZIAŁ 6

Kiedy po kolejnym tygodniu niewoli Toni pozwolił jej wyjść na pierwszy spacer, odzyskała nadzieję na oswobodzenie. Wyprowadzono ją długim korytarzem z wieloma drzwiami i wypuszczono do ogrodu opasanego przez wysoki na pięć metrów mur. Wszędzie znajdowały się zwiędnięte kwiaty, trawa, krzewy bez liści, w sadzawce pulsowało źródelko, a wokół stały leżaki. Na stoliku znajdowały się owoce i soki. Nanie wydawało się przez chwilę, że to żart i zaraz wszystko zniknie.

- Masz trzy godziny - uspokoił ją strażnik Ozi. - Nie krzycz i nie próbuj uciekać. I tak nikt cię nie usłyszy.

- Gdzie jestem? - zapytała.

- W bezpiecznym miejscu - odparł „steryd” i zamknął za sobą drzwi do ogrodu.

Na niebie pojawił się samolot. Ciągnął za sobą smugę spalin i powiadał o bezpieczeństwie. Patrzyła w górę aż do chwili, gdy maszyna schowała się w chmurach. Był październikowy dzień i rośliny już dawno zapomniały o swojej świetności. Obeszła ogród dookoła, szukając w murze słabego punktu. Ktoś jednak pomyślał o wszystkim - ściana była betonowa, gładka i w dodatku pomalowana na zielono. Ktoś miał najwyraźniej ambicje dekoratorskie. Gdy spojrzała w górę, zauważyła czubki olbrzymich tui rosnących po drugiej stronie muru. Usiadła na leżaku i cieszyła się słabymi promieniami słońca. Po chwili sięgnęła po jabłko i z przyjemnością wbiła w nie zęby. Sok ściekał jej po brodzie, ale nie zwracała na to uwagi.

- Sam wybierałem. - Usłyszała za sobą głos Toniego. Przestraszyła się i przestała jeść.

- Musisz przyznać, że byle czym cię tutaj nie karmię. Co powiesz o tym ogrodzie?

- Ładny, ale przypomina więzienie - wyszeptała z trudem. Bała się tego człowieka, mimo że nic jej nie zrobił. Nawet jej nie dotknął. Kiedy jednak do niej mówił i patrzył na nią, wpadała w popłoch. Miała wrażenie, że za moment jego uprzejmość zniknie i stanie się coś złego.

- Zastanowiłaś się nad moją propozycją? - wyszeptał trochę teatralnie.

- Jaką? - udała roztargnienie.

- Chcesz zostać ze mną na zawsze?

- Nie mam wyjścia - odpowiedziała cicho, a jej dłonie zaczęły drżeć.

- A więc zgadzasz się?

- Tak...

- To świetnie, bo ja się rozmyśliłem - roześmiał się głośno.

- Jak możesz... - Nana skurczyła się i z trudem powstrzymała się od płaczu.

- Tak musi być, kochanie - odezwał się ciepło. - Inaczej mogłabyś uciec, a to udaje się tylko w filmach. Powiedz, czy moje projekcje czegoś cię nauczyły?

Jego projekcje? Ładnie to nazywał. Przez ostatni tydzień faszerowali ją wyłącznie obrazami pornograficznymi. Ba, ktoś nawet zadbał o ich porządek i zróżnicowanie. Niektóre nawet nie były nudne.

- Nie wiem, o co ci chodzi? - odparła niepewnie.

- O ciebie. - Chyba mówił prawdę. Patrzył na nią swoimi pięknymi oczami i od czasu do czasu poprawiał lśniące czarne włosy. Czula zapach jego perfum. Oryginalny i naprawdę zmysłowy. Pomyślała, że mogłaby go uwieść i może wtedy wypuściłby ją. Przeciągnęła się i westchnęła. Wiedziała co robi, bo sukienki, jakie jej kupił, były zwiewne, kolorowe i przeważnie krótkie. Staników jej nie dostarczali, a więc piersi rysowały się pod materiałem bardziej, niż by tego chciała. Spojrzała ukradkiem na Toniego. Patrzył na nią i szeroko się uśmiechał.

- Nie rozumiem. Cały czas mnie oszukujesz - wyszeptwała.

- To proste - zaśmiał się szczerze. - Taka dziewczyna jak ty nie może sobie chodzić po świecie i myśleć, że do nikogo nie należy. Kobiety są potrzebne z jednego powodu... - zawiesił głos. - Muszą się dobrze... kochać. Jeżeli pojawia się ładna dziewczyna, to w konkretnym celu, do kochania.

- A nie do rodzenia i wychowywania dzieci, do prawdziwej miłości? - Nana podjęła dyskusję, mimo że wydawała się bezcelowa.

- Nie udawaj - zganił ją łagodnie Toni. Sięgnął po gruszkę i ugryzł. - Facetów interesuje wyłącznie dobre bzykanie. Nie ma na to rady. Gdybyśmy tego nie chcieli, nie byłoby na świecie ludzi.

- A kobiety nie mają tu nic do powiedzenia? - dała się podprowadzić, ale było już za późno. Toni odłożył ogryzek do popielniczki i zapalił papierosa. Zapach perfumowanego tytoniu był przyjemniejszy, niż oczekiwała.

- Nie mają - odparł z filozoficznym spokojem. - Nie lubisz się kochać?



- Jesteś zboczony - zachnęła się. - Wszystko sprowadzasz do jednego. No i te filmy...

- Przyznaj, że trochę cię rozpalili, co? - Tym razem nie śmiał się już łagodnie. - Obserwujemy cię w dzień i w nocy, kochanie. Możemy nawet robić zbliżenia. Widziałem, że lubisz się przeżyć przed lustrem. No i robisz seksowne miny... Nikt nie wydyma ust tak ładnie jak ty, kochanie. To moje ulubione fragmenty, naprawdę. A twój tyłeczek... Mam tyle ujęć, że można nimi obdzielić całą zawodową armię. Goście zapłacą za nie fortunę. Tylko mi nie mów, że nie chciałabyś się trochę zabawić. Ty na pewno nie jesteś zimną panienką, o nie...

- Co ze mną będzie? - zapytała z rezygnacją. Brzydziła się Tonim i czuła wstyd, że wiedział o niej tak dużo.

- No właśnie - ucieszył się. - Nareszcie gadasz do rzeczy. Dzisiaj ktoś chce do ciebie przyjść. Ma zamiar przyjemnie się z tobą zabawić.

- Kto? - przestraszyła się.

- Klient - odparł bez emocji Toni. - Przystojny, czysty, pachnący, bogaty... Masz się sprawdzić, bo będzie naprawdę źle. Wiesz, co mogę zrobić.

- Ale ja nie dam rady - wyrwało się dziewczynie. - Nie przełamie się. Nie jestem prostytutką...

- Na pewno nie - Toni był bardzo rozbawiony. - Gdybyś była, cała zabawa dawno by się skończyła. prostytutki interesują mnie tylko w wyjątkowych sytuacjach. Moje dziewczyny muszą być doskonałe. Piękne i nieprzechodzone.

Nana zamilkła. Bała się i nie wiedziała, co ma powiedzieć. Toni obserwował ją z wyraźną przyjemnością.

- A gdybym się z tobą przespała?

- Nie robisz mi żadnej łaski, kochanie - wyjaśnił jej. - W każdej chwili mogę zrobić z tobą, co zechcę. Jeśli zadecyduję, że masz mi zrobić dobrze, to zrobisz to bez żadnej fuszerki. Nawet teraz. Tak samo ma być z klientem. Obejrzałaś filmy, trochę się rozpaliałaś, a teraz masz się odpowiednio zachować.

- Nie dam rady... - jęknęła.

- Jeśli nie, to dam ci procha, zmięknieś, a gość i tak sobie ulży. Ale to nie będzie to samo - wstał i skierował się do drzwi. Nagle stał się wulgarny i straszny. - Nie każdy lubi materac, kochanie. Klient chce mieć towar z najwyższej półki. Nawet trochę surowy, ale przynajmniej szczerzy w uczuciach. Bądź gotowa o dwudziestej drugiej.

- Skontaktujcie się z moim ojcem. - Nana chwyciła się ostatniej deski ratunku. - Na pewno za mnie zapłaci.

- Na pewno, kochanie. - Na odchodnym Toni obejrzał się. Jego twarz wyrażała

cyniczne rozweselenie. - Potem też za ciebie zapłaci. W każdej chwili zapłaci za córeczkę. Teraz myśl tylko o bzykaniu. Nie chcę słyszeć o twoim charakterze, duszy, kłopotach, dobrym sercu, rodzinie i czym tam jeszcze chcesz. Dobry ojciec odkupi córkę nawet w kawałkach, a więc strata nam nie grozi.

Kiedy zatrzaskał drzwi, rozplakała się. Czuła się skazana i straciła nadzieję na ratunek. Toni trzymał ją w jakimś tajemniczym miejscu na uboczu cywilizacji, za ogromnym murem. Była pewna, że nie robił tego po raz pierwszy. Zrozumiała, że ktoś ją kupił w ściśle określonym celu i ten ktoś miał ją wkrótce odwiedzić.

## ROZDZIAŁ 7

Dzień dobry. Piękny za dnia. - W ten wiele mówiący sposób przywitała mnie moja sekretarka, kiedy kilka minut po dziesiątej wszedłem do biura. „Piękny dzień” w jej wersji językowej zamienił się w szczególny komplement. Wynikało z niego, że w dzień wyglądam jako tako, ale w nocy upodabnam się do upiora. Amerykańska lisica udawała, że poprzedniego dnia nie dała mi kosza. Jej wygląd znów przywrócił mi nadzieję w dobre i uczciwe kobiety. Nawet w służbowej spódnicy i żakiecie Susan bardziej kojarzyła się z namydloną gąbką do kąpieli niż z pracownicą agencji detektywistycznej.

- Dzień dobry, Susan - odparłem dość chłodno i wszedłem do swojego gabinetu. Niech wie, że nikt nie będzie mnie bezkarnie kopał w libido.

- Kawa jest do wypicia - usłyszałem nagle głos Susan i przed moim nosem pojawiła się parująca filiżanka.

- Dziękuję - skinąłem głową, ale na sekretarkę nawet nie spojrzałem. Błądziłem wzrokiem po okolicznych budynkach. W świetle tylu wspaniałych uciech trwoniłem czas na głupie gierki.

- Szefie, niech się martwi nie on - Susan nie rezygnowała, przymilała się, to pewne. Tym razem w jej polszczyźnie pojawił się „ten trzeci”.

- Jaki on? - zapytałem podchwytliwie.

- Tak, szef, on to być - wyjaśniła mi bezbłędnie.

- Chcesz powiedzieć, że jakiś gość jest szefem? - nie ustępowałem. Moja złośliwość sięgnęła zenitu. Płacz się, niewdzięczna suko, płacz. Gadaj te swoje bzdury i niech ci się wydaje, że wszyscy cię rozumieją.

- Czy szef jest nerwowo? - Zatrzymała się za mną tak blisko, że mógłbym jej zrobić EKG.

- Nerwowo? Co masz na myśli, Susan? - wyszeptalem, aby poczuła grozę sytuacji.

- Nerwowo, to znaczy podniecać się, budzić nerwowo w sobie - wyjaśniła mi to jeszcze lepiej.

- Podniecenie to dobre słowo - wycedziłem. Jej zapach wgryzał się w mój nos, a feromony stały się prawie widzialne. - Dlaczego nie chciałaś się ze mną umówić?

- Praca jest dla mnie dobra, a ty, szefie, wszystko psuć - odparła cicho i poczułem, że wychodzi z mojego gabinetu.

- Ja wszystko psuję - stwierdziłem z wyrzutem. - Ja? Przecież zaproponowałem ci kolację i okazałem zainteresowanie. Ciekawe masz poglądy, Susan. Równie dobrze mogłem sobie wynająć sekretarkę z domu zakonnego. Siedziałyby teraz w habicie i uwijała się jak mrówka. Jestem ci cholernie wdzięczny, dziewczyno, za spokój ducha. Masz rację, bierz się do roboty, pokaż, że na siebie zarabiasz...

- Szef będzie szczęściem dla pieniędzy - uspokoiła mnie po raz kolejny. Co za rozsądek. W Ministerstwie Finansów dostałaby za to podwyżkę. Według Susan miałem uszczęśliwiać pieniądze. A kto mnie pogłaszcze?

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Usiadłem przy biurku i wyjąłem z szuflady butelkę coca-coli. Pociągnąłem duży łyk i zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Niestety, wtedy właśnie zadzwonił telefon. Walewski jak zwykle przynosił dobre wieści. Barman „Tomasini”, z którym niedawno rozmawiałem, został znaleziony dziś rano martwy w swoim samochodzie. Morderca udusił go cienkim drutem. Najpierw uderzył go w tył głowy metalową rurką, następnie zarzucił na szyję cienki drut i udusił. To była czysta robota, bo policja nie znalazła żadnych śladów. Portret pamięciowy mężczyzny z tatuażem miałem więc z głowy.

- Co robimy? - zapytałem prowokująco. - Zwijamy interes czy możemy gościa namierzyć?

- Możemy - odpowiedział Walewski. - Dogadam się z chłopakami z policji i znajdą go...

- Chciał pan powiedzieć, że nie zarobimy na chleb - przywołałem dziada do porządku. Chyba zaczęło mu się wydawać, że nadal pracuje na państwowej posiadzie, a forsa na płacenie rachunków spada z nieba.

- To znaczy znajdziemy go pierwsi - poprawił się nieborak.

- Nadal czegoś nie łapię. - Chciałem się upewnić, że jedziemy w tym samym kierunku.

- W telefonie barmana znajdziecie numery dzwoniących osób i zidentyfikujecie je, tak?

- Tak zrobimy - potwierdził, ale nie było to spontaniczne.

- My, czyli pan i policja, tak? - naciskałem, bo sprawa zaczynała stawać się publiczną, a mój milion euro rozsypywał się po kieszeniach podatników.

- Nie ma innego wyjścia. Sami tego nie sprawdzimy - zaczął mnie przekonywać, że w przyszłości będę jadał na obiad obierki. Niby dobry fachowiec, a czasami każdą dziurą

wyłączył z niego zwykły komuch.

- Panie Walewski, czy ja panu źle płacę? - zapytałem głosem żalobnika.

- Nie narzekam - odparł bez wahania.

- No to proszę działać tak, żebyśmy byli bogaci - wyjaśniłem mu zasady działania mojej agencji. - Oczywiście powiedział pan policji o portrecie pamięciowym, prawda?

- Tak, wczoraj...

- A nie można było dogadać się prywatnie z rysownikiem? - przerwałem mu z irytacją.

- Nikt na to nie pójdzie. To łamanie prawa - wyjaśnił mi bardzo spokojnie. - Mogę spróbować dotrzeć do chłopaków z telefonów i dowiedzieć się prywatnie, kto dzwonił do barmana...

- No, teraz czuję, że stać nas na schabowego i kompot - zażartowałem, ale wcale nie było mi do śmiechu. Walewski czasami był wyjątkowo niekumaty albo tylko udawał głupka. - A możemy namierzyć komórki przez satelitę i zlokalizować te osoby?

- Prywatnie?

- A chciałby pan powiedzieć o tym w telewizji? - odparowałem równie głupim pytaniem. - Jasne, że prywatnie.

- Nie dam rady. - Przynajmniej dowiedziałem się, że mamy przed sobą mur i dalej ani rusz.

- Dobra. Niech pan zdobędzie te telefony, a ja coś wymyślę - pocieszyłem go, bo ze zdenerwowania mógłby sięgnąć po narkotyki. - Niech się pan śpieszy, żeby nas nie wyprzedzili - dorzuciłem i rozłączyłem się.

Dopiero teraz zobaczyłem, że Susan stoi w drzwiach i czeka aż skończę. Ciekawe zachowanie, nie ma co, pomyślałem. Jeszcze tydzień i będzie mnie podsłuchiwać całkiem oficjalnie, zmija. Niewinny uśmiech, odrzucanie blond loków do tyłu i wdzięczne ding-dong bioderkiem tym razem też mnie ruszyły, ale na szczęście nie powaliły. Twardniałem, a to mogło oznaczać, że córka amerykańskiego policjanta wkrótce zacznie jeść mi z ręki.

- Ja bym zrobiła konwersację z ojcem - odezwała się jakby nigdy nic. - On może wiedzieć dużo dla szefa.

O boska samico, narażasz mnie na stres i nic z tym nie robisz. Każesz mi rozmawiać z milionerem Stefanem Radwanem w chwili skrajnego podniecenia. Jeśli w Stanach ludzie są aż tak uprzejmi, to nie dziwię się, że pytają o zdrowie nawet własny sedes. Zero uczuć, sto procent interesu i krajobraz składający się z uszu psychoanalityków. Patrzyłem na jej kształtne usteczka, na równe białe ząbki i ledwie dyszałem z miłości, a ona trąbiła swoje. To dopiero był mobbing, prawdziwa zaraza, z którą trzeba walczyć.

- Dziękuję. Możesz odejść - odprawiłem ją chłodno. Grzech minął mnie o włos. Susan popatrzyła na mnie z zainteresowaniem, zmarszczyła lekko czoło, ale się nie odezwała. Wyszła. Nawet na nią nie spojrzałem. W ten sposób zadałem cios, z którego żyły kolorowe magazyny dla pań.

Pół godziny później jechałem Alejami Jerozolimskimi do Podkowy Leśnej. Stefan Radwan wziął sobie wolny dzień i zaprosił mnie do siebie do domu. Opisał mi go dwoma słowami: „bardzo charakterystyczny”. Pewnie chciał uchronić mnie przed zawałem. Dochodziła godzina dwunasta, ale korek na szosie przypominał ten z godziny siedemnastej. Lud napierał, łytał ślepiami na prawo i lewo, wywalał gable za okna, jakby mu w środku brakowało miejsca i rozwalał się za kierownicami jak na fotelu u dentysty. Jednym słowem - kaszana. W tym dobrym nastroju dojechałem na miejsce i odnalazłem dom pana Radwana. Rzeczywiście był „charakterystyczny”, jeśli mamy na myśli ponad sześćset metrów szyb, betonu i drewna. Okna wyglądały tak, jakby zaprojektował je ktoś po długiej hibernacji - były nieforemne i przypominały olbrzymie znaki interpunkcyjne, drzwi nawiązywały do przemysłu ciężkiego - rządziło żelazo, a elewacja mogła człowiekowi pomieszać w głowie. Do tego dochodziło mniej więcej pięć tysięcy metrów działki, na której ogrodnik ćwiczył właśnie czyszczenie chodnika szczoteczką do zębów. Było tam tyle zakrętów, klombów, krzaków i drzew, co w *Parku Jurajskim*. W takim miejscu uczciwy podatnik robił się mały jak kostka Rubika. Tyle dobrego, że właściciele nie poszczuli mnie psami. Może dlatego, że od kiedy założyłem własną firmę, nosiłem gustowne krawaty.

Brama otworzyła się automatycznie i wjechałem na podjazd. Przy stojącym tam maybachu mój subaru wyglądał jak opóźniony w rozwoju syn, ale i tak kochałem go nad życie. Podszedł do mnie ochroniarz z twarzą poważniejszą od księgowego. Rzuciły mi się w oczy jego czarne spodnie z kantem, biała koszula i szelki z bronią. Na buty nie spojrzałem, bo nie dano mi czasu.

- Dzień dobry panu, panie Brandt - przywitał mnie mniej więcej pięćdziesięcioletni ochroniarz. Był barczysty, wysoki i cholernie przystojny. Istny posąg grecki. Wyglądało na to, że zna mnie dobrze i razem walczyliśmy kiedyś w okopach.

- Dzień dobry...

- Pan Radwan czeka na pana. Proszę iść za mną - nie dał mi dojść do słowa. Przy okazji jego ślepia prześwieciły mnie lepiej od tomografu. Udaliśmy się zwirowaną dróżką w głąb ogrodu. Tam zobaczyłem kawałek rajy za życia - prawie olimpijski basen, tuż obok trzy prysznice, kilkanaście leżaków, wielkie parasole i stoliki z napojami. Brakowało tylko rury z petrodolarami. Stefan Radwan siedział w półcieniu, popijał jakiś kolorowy koktajl i czytał

gazetę. Efekt cieplarniany dogadzał mu nawet o tej porze roku. Był opalony na brązowo i wyglądał na bardzo dobrze wymasowanego. Człowiek-relaks, można by powiedzieć. Kiedy mnie zobaczył, wstał, a jakże, i podszedł z wyciągniętą dłonią. Poczulem zapach dezodorantu, za który pewnie mógłbym kupić apartament na najwyższym piętrze w Nowym Jorku. Ochroniarz zniknął tak szybko, jak się pojawił. Byliśmy sami.

- Woda, sok, cola czy coś mocniejszego? - przywitał mnie milioner i gestem wskazał na leżak.

- Woda - odpowiedziałem. Mimo iż był październik, mocno przygrzewało słońce, więc zdjąłem marynarkę i powiesiłem ją na oparciu leżaka. Radwan pozostał w samych szortach. Nalał mi wody do szklanki i dorzucił kostkę lodu z termosu. Chojny i gościnnie jak mało kto.

- Zapali pan? - pokazał palcem na stolik, gdzie leżały papierosy i cygara. Chyba chciał mnie zdołować. Na szczęście nie paliłem i nie lubiłem palaczy. - Moja żona pali - wyjaśnił. - Od kiedy Nany nie ma, robi to prawie bez przerwy. Ja też zacząłem. Cóż, nerwy... Pewnie na nas teraz patrzy i zastanawia się, jakie wiadomości nam pan przynosi. Później do nas dołączy.

- Muszę pana zapytać o kilka szczegółów - zacząłem ostrożnie. - Czy zetknął się pan kiedykolwiek z człowiekiem z takim tatuażem na ramieniu? - wyjąłem kartkę i pokazałem mu rysunek. Radwan sięgnął po papierosa i zapalił. Patrzył na chińską literę i wyraźnie starał się sobie coś przypomnieć. W końcu westchnął i oddał mi kartkę.

- Nic z tego. Nie pamiętam, żebym widział u kogoś ten tatuaż - powiedział z wyraźnym żalem. - Ani wśród moich znajomych, ani wśród znajomych Nany...

- A żona? - drażyłem temat, bo tej klasy gość mógł mi w każdej chwili uciec na lunch.

- Nie sądzę...

- Czy córka uciekała kiedyś z domu? - zmieniłem temat.

- Nigdy - zaprzeczył. - Nie miała powodu. Zawsze dostawała tyle wolności, ile chciała. Proszę mi wierzyć, to jest naprawdę bystra dziewczyna. Niezmanierowana...

- A jej byli chłopcy?

- Żaden nie zasługuje na uwagę - stwierdził Radwan. - Z każdym rozstawała się w zgodzie...

- Chce mi pan powiedzieć, że taka dziewczyna rozstawała się ze swoimi chłopakami w zgodzie? Po prostu mówiła im, że koniec deseru, a oni przyjmowali to bez złości, tak? - wyjechałem mu z bara, bo próbował mi mydląć oczy. Spojrzał na mnie przytomnie, ale nie zdenerwował się, znał życie, cwaniak.

- Ma pan na myśli jej urodę - kontynuował moje przemówienie. - Tak, Nana jest

wyjątkowo piękna. Pewnie chodzi panu o seks... Cóż, żaden z nich nie czuł się z pewnością szczęśliwy, kiedy go odsuwała, ale ona miała na to sposób.

- Oni? - wymownie pokazałem wzrokiem ochroniarza.

- Nie, lepiej - zaśmiał się krótko Radwan. - Dostawali ultimatum: albo zaakceptują jej decyzję i będą nadal zapraszani, będą się mogli z nią przyjaźnić, albo całkowicie ich od siebie odseparuje, wypadną z jej towarzystwa. Wszyscy bez wyjątku akceptowali drugie wyjście.

- Chciałbym porozmawiać z pana żoną - zamknąłem temat, ale nie powiem, żeby wyjaśnienia milionera mnie przekonały. Nie wyobrażałem sobie amantów Nany pogodzonych, jak zbite psy, z losem. Ktoś, kto spróbował najlepszej kuchni, nie będzie potem chwalił obiadów w stołówce. W takie cuda nie wierzyłem.

Radwan podniósł rękę, jakby chciał pokazać mi swoje pachy. Udało mu się - zauważyłem starannie wygoloną skórę bez zmian alergicznych. Z domu wyjechała kobieta na wózku inwalidzkim. Kiedy się zbliżyła, zobaczyłem duże podkrążone oczy, twarz bez makijażu, blond włosy zaczesane do tyłu w kucyk i sukienkę w szarych, smutnych barwach. Na nogach miała czarne sandały i sprawiała wrażenie zakonnicy. Nie ma co ukrywać, byłem zaskoczony. Wyłączyła silnik wózka i podała mi rękę. Gdybym nie wiedział, jak cierpiała, pomyślałbym, że nadszedł jej czas i zaraz kopnie w kalendarz.

- Pan Brandt, detektyw, o którym ci mówiłem. Chciałby cię o coś zapytać - odezwał się Radwan. Odniosłem wrażenie, że był trochę spięty. Kobieta spojrzała na mnie i od razu poczułem do niej sympatię. Ślady dawnej urody jeszcze były widoczne, choć choroba zrobiła już swoje. Zasuszone i pomarszczone ciało nie broniło się już - wyraźnie gasło.

- Arieta Sosnowska-Radwanowa - przedstawiła się cichym głosem i zapaliła papierosa. Przy okazji zachwyciła mnie znajomością form gramatycznych. - Co chciałby pan wiedzieć?

Gdyby nie powaga chwili, pochwaliłbym jej imię.

- Czy pamięta pani taki tatuaż? - Kiedy trzeba, też nie byłem w ciemni bity. Spojrzała na kartkę, zawahała się i odparła:

- Być może już gdzieś coś takiego widziałam. Nie pamiętam kiedy, ale na pewno zwróciłam na to uwagę... Czy to ważne?

- Bardzo - potwierdziłem i schowałem rysunek. Zaczynał mi przeszkadzać papierosowy dym. - Być może ten człowiek porwał państwa córkę. Barman, który widział Nanę w dyskotecie, miał mi go narysować, ale nie zdążył. Ktoś go udusił. Gdyby pani sobie coś przypomniała, byłoby dobrze.

- Czy ona żyje? - wyszeptała kobieta.



- Myślę, że tak - odpowiedziałem szczerze, ale głowy bym za to nie dał. Radwan patrzył przed siebie i widać było, że myślami jest bardzo daleko. Boże, jak to dobrze, że nie mam jeszcze potomstwa, które ktoś mógłby porwać, pomyślałem z ulgą. Założyłem marynarkę, wyjąłem z kieszeni wizytówkę i podałem pani Radwanowej, pardon, pani Sosnowskiej-Radwanowej.

- Im szybciej pani sobie przypomni, u kogo widziała taki tatuaż, tym lepiej - podkreśliłem z naciskiem i skierowałem się do bramy. - Do widzenia. Czekam na telefon. Portret pamięciowy tego człowieka mógłby dużo zmienić. Proszę być dobrej myśli.

Tym razem odprowadził mnie Stefan Radwan. Był zamyślony i sprawiał wrażenie materaca, z którego uszło powietrze. Kątem oka zauważyłem, że dyskretnie towarzyszy nam ochroniarz. Oj, wyraźnie korciło gnoja, żeby wypruć w kogoś cały magazynek, korciło. Jednak nie ze mną te numery. Milioner uścisnął mi rękę, jakbyśmy od tej pory co wieczór mieli spotykać się na bankietach.

- Proszę ją znaleźć - pożegnał mnie smutno. - To nasza jedyna córka. Moja żona i tak ma dość zmartwień...

Wyjechałem z posesji milionera i skierowałem się do najbliższego sklepu. Jako były dziennikarz śledczy wiedziałem, że pewne informacje przechodziły z ust do ust tylko wśród prostego ludu. Z tego zresztą żyli redaktorzy plotkarskiej prasy. Wystarczyło wejść do miejscowego sklepiku albo knajpy i człowiek już w progu dowiadywał się, na którym boku śpi żona komendanta miejscowego posterunku. Coś mi w tym wszystkim śmierdziało i musiałem sprawę zbadać dogłębnie. Radwan nie obiecywał mi przecież miliona euro za poznanie jego ochroniarzy.

Zaparkowałem przy Galerii Centrum i zamierzałem pospacerować. Plan był prosty jak zęby w rodzinie ortodonty. Najpierw czasopisma i książki w Empiku, a potem sklep z butami i dobra herbata z ciastkiem. Jednak zanim zdążyłem wejść do budynku, poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Normalnie odwróciłbym się szybko jak w westernie, ale tym razem byłem zbyt zmęczony, żeby udawać Johna Wayne'a. Usłyszałem zalotny głosik:

- Cześć, nie poznajesz mnie już?

Spojrzałem i serce zabiło mi mocniej niż kościelny dzwon. Przede mną stała Sonia i patrzyła tak, jakby chciała mnie polizać. Ależ proszę, proszę, moja panno, do roboty, zawołał we mnie ktoś bardzo niegrzeczny. Dziewczyna wyglądała pięknie, a jej sukienka, buty i włosy prawie przylepiły mi się do oczu. Najnowsza moda - skrzyżowanie niedożywienia z kontem bankowym kreatora mody i z kolorami w Miami. W sumie nie doszło do marnotrawstwa materiału i było na co popatrzeć. Pamiętałem jednak, że Sonia mnie porzuciła,

kiedy umierałem w szpitalu. Może dlatego zareagowałem jak raper ze złotym zębem.

- Cześć. Źle wyglądasz - stwierdziłem, uśmiechając się. To był cios poniżej pasa. -  
Coś się stało?

- Rozmazałam się? - Sonia zaniepokoiła się o stan swojego makijażu. Jej zgrabna rączka uniosła się do góry i dotknęła policzka. - Źartujesz, prawda?

- Chodź, to cię komuś przedstawię - powiedziałem to chłodno i raczej odpychająco. W ogóle się nie przejęła. Ba, powiedziałabym, że jeszcze bardziej mnie polubiła. Prawdę mówiąc, miałem ochotę złapać ją za kudły, rzucić na chodnik i poczęstować kopem. W końcu złamała mi serce, suka. Chociaż, bądźmy szczerzy, gdyby nie Susan, pewnie wszystko bym jej wybaczył.

- Komu? - Sonia zaczęła szybciej oddychać. Była wyraźnie zaintrygowana.

- Komuś bardzo ważnemu i bogatemu - wyjaśniłem. - Naprawdę twardemu gościowi...

- Ty mnie interesujesz - odparła. - Byłam głupia i wystraszyłam się... Przepraszam.

- Chodź ze mną - tym razem wydałem rozkaz. No i poszła. Kiedy znalazła się obok mnie, położyłem jej rękę na pośladku i lekko - ścisnąłem. Niech wie, że nie wszyscy brutale umarli. Spojrzała na mnie i pokazała, że idę dobrą drogą. Jej oczy pozbawiły mnie ubrania i niewiele brakowało, a poprosiłbym o pomoc policjanta.

Kiedy wsiadła do mojego subaru, zawiesiła na mnie wzrok o sekundę za długo, a ja po prostu dotknąłem prawą ręką jej piersi. Tak jakbym sprawdzał, czy pomarańcze są twarde, czy miękkie. Zesztywniała lekko, ale nie powiem, żebym wyczuł zgorzenie.

- Masz taki samochód, jak ja... miałam - szepnęła. - Całkiem nowy.

- Kupiłem siedem takich samochodów: niebieski, czerwony, czarny, fioletowy, srebrny, amarantowy i żółty - skłamałem śmiertelnie poważnym tonem. - Na każdy dzień tygodnia.

- Zwariowałeś - zrobiła szelmowską minę. Nie odpowiedziałem, siedziałem nieruchomo i prawdę mówiąc, sprawiałem wrażenie idioty. Oj, kochana, dzisiaj dowiesz się, co ma do powiedzenia czysty Aryjczyk, pomyślałem.

A potem przygazowałem do mojego nowego mieszkania i kazałem jej biec za sobą na górę. Czekałem, kiedy będzie miała dość. Ale na nic takiego się nie zanosilo. Gnała za mną aż miło. Po drodze nawet zdjęła buty i biegła na bosaka, rusałka cholerna. Na wypadek, gdyby nigdy nie była w zoo, pokazywałem jej teraz naprawdę dzikie zwierzę. Otworzyłem drzwi i wepchnąłem ją do środka. Jak cham, jak zwykły cham. A potem zrobiłem ten filmowy numer, o którym tak chętnie piszą tabloidy. Zacząłem z niej zdzierać ubranie, bo chciałem zobaczyć sierść. Najpierw poszarpałem płaszcz, potem sukienkę, stanik i majtki. Fachowo, jakbym

studiował aktorstwo w Nowym Jorku. W pierwszej chwili była zaskoczona, potem przestraszona i usiłowała się bronić, w końcu sama dobrała się do mojej odzieży i zrobiła to samo. Trochę biedactwu pomogłem, a następnie przeszedłem do rzeczy. Jeśli jeszcze jakiś reżyser myślał, że kiedykolwiek nakręci ostry film, to po moim występie naprawdę powinien się wziąć do roboty.

- Chcesz tego? - zapytałem, aby nie było wątpliwości. Zamiast odpowiedzieć, wpiła się we mnie ustami, co odebrałem jako pogwałcenie mojej uczciwości.

- Chcesz czy nie? - oderwałem się od niej, żeby lepiej słyszeć. Dżentelmen do końca, żadnej fuszery, drogie panie.

- Tak, chcę tego - wyszeptała. No i zająłem się prawdziwą robotą.

Wyśrubowałem normy jak w komunistycznej gospodarce. Sonia poznawała charakter naszych przodków lepiej niż studenci antropologii razem wzięci. W moim mieszkaniu nie było miejsca na „przebaczyć” - trwała walka płci i z takiej właśnie walki brały się potem dzieci. Zapomniałem o Susan, zapomniałem o telefonach mamy z Ameryki, o porwanej córce Radwana i o ciężkich przeżyciach związanych z reportażem o guamie - mściłem się, ot co.

Po godzinie podałem jej mój prochowiec, wezwałem taksówkę, wsunąłem do ręki plik banknotów i wyprowadziłem z mieszkania.

- Następnego razu nie będzie - szepnąłem i zamknąłem drzwi. Niech wie, że Artur Brandt boi się tylko mamusi, a świat to za mało, psia go mać. I poszła sobie tak piękna, że kiedy schodziła po schodach, słyszałem bicie serca wszystkich sutenerów w mieście. Znow mógłem żyć jak człowiek.

## ROZDZIAŁ 8

Dochodziła godzina dwudziesta druga. Nana Radwan siedziała na swoim łóżku i czekała. W tle słycać było charakterystyczne dla filmu pornograficznego dźwięki. Kiedy dziewczyna wzięła prysznic, pojawił się Toni i przypomniał jej, że musi zrobić na kliencie niezapomniane wrażenie. Od tego zależało jej dalsze życie, więc zdecydowała się wyglądać tej nocy naprawdę olśniewająco. Potem Toni pojawił się jeszcze raz, pochwalił ją i kazał założyć maskę zasłaniającą oczy. Zdziwiła się, ale wolała go nie denerwować. Osobiście zawiązał jej sznurki z tyłu głowy i sprawdził, czy maska zbyt łatwo się nie zsuwa.

- Twój klient to człowiek na stanowisku - wyjaśnił w przypiływie dobrego humoru. - Wszyscy go znają i lepiej, żebyś nigdy nie zobaczyła jego twarzy. Gdyby się okazało, że nasi klienci są rozpoznawani przez takie panienki jak ty, interes przestałby się kręcić, rozumiesz? Stuprocentowa anonimowość. Niektórzy z nich nawet się nie odzywają...

- Czy on jest brzydki? - Dziewczyna miała wyobraźnię. Toni uśmiechnął się i odpowiedział:

- Nasi klienci są bardzo zadbani, jeśli o to pytasz. To nie jest zwykły burdel.

- Ile on za mnie zapłacił?

- Nie mogę ci powiedzieć - zaśmiał się Toni. - Dostatecznie dużo, żeby milion euro twojego ojca nie miał dla mnie znaczenia. Bądź miła, bo inaczej wiesz, co cię czeka...

Wyszedł, a Nana jeszcze bardziej się zdenerwowała. Jeśli milion euro nie robił na nim wrażenia, to jakie pieniądze mogły go przekonać. Postanowiła się tego dowiedzieć i za wszelką cenę walczyć o wolność. Wtedy usłyszała szelest otwieranych drzwi i ciche kroki. Nie poruszyła się. Nastrojowa muzyka i stłumione odgłosy kochającej się na filmie pary powoli pozwalały jej zapomnieć o własnej sytuacji. Musiała się odciąć od strachu, obrzydzenia i niepewności, aby nieznanemu mężczyźnie był z niej zadowolony. Kto wie, może nawet widywała go w telewizji? Może był znanym sportowcem, politykiem albo aktorem? Toni wyraźnie zaznaczył, że byle kto nie mógł sobie na nią pozwolić.

Klient dotknął jej ramienia. Poczula jego zapach - zmysłowy, rzadko spotykany. Z

pewnością niezwykle drogi. Mężczyzna przesuwając dłonią po jej ramieniu w kierunku nadgarstka i wahał jej włosy. Nie mogła nic zobaczyć, ale czuła to doskonale. Kochanek nie spieszył się, przez chwilę bawił się jej dłonią, po czym zaczął masować szyję. Odgarnął włosy dziewczyny i muśnięciami palców drażnił skórę. Mimo woli cicho westchnęła. Bała się odezwać, aby nie zburzyć nastroju i nie wywołać jego gniewu. Stopniowo jednak poddawała się ogarniającemu ją podnieceniu i zapomniała o strachu. Kiedy zaczął ją całować w szyję i nagle przestał, położyła się na łóżku i wygodnie wyciągnęła. Na pewno nie był to pierwszy lepszy kochanek, jakich setki widywała w dyskotekach. Ten mężczyzna wiedział, po co przyszedł i zależało mu na wspólnej zabawie. Nana musiała przyznać, że żaden z jej dotychczasowych chłopaków nawet w połowie nie dorastał do tego, co teraz przeżywała. Poczwała, że mężczyzna zaczął masować jej stopy i lekko odsłonił szlafrok, w którym na niego czekała. Nie spieszył się, traktował ją z zaskakującą delikatnością. Nawet w najbardziej romantycznych filmach nie spotkała się z czymś takim.

Mężczyzna masował ją coraz wyżej. Stopniowo przechodził od kostek, łydek i ud do pośladków i pleców. Miała wrażenie, że momentami prawie jej nie dotykał, a mimo to czuła muśnięcia jego palców na swoim ciele. Z jej ust wydobyło się głębokie westchnienie. Wtedy właśnie, jakby na to czekał, dotknął ją tam. Niby przypadkiem, pozorując lekki podmuch wiatru, przesuwając palcami po wewnętrznej stronie jej ud. Podała się i zaczęła je mimowolnie rozchyłać. Na początku była na siebie zła, potem zdziwiona. Teraz pragnęła jedynie, żeby nie przestawał.

- Teraz - szepnęła i uniosła lekko biodra.

Kiedy skończyła krzyczeć, opadła na łóżko z poczuciem spełnienia. Mężczyzna ubrał się, pochylił nad nią i pocałował w policzek. Wiedziała, że przez chwilę stał nad nią i patrzył. Tak, jakby chciał coś do niej powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Wyszedł tak samo cicho, jak wszedł.

Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie przeżyła. Klóciło się to z jakąkolwiek teorią. Doskonale wiedziała, że nie powinna czuć się w ten sposób, że to, co zrobiła, wynikało ze strachu, ale w niczym nie zmieniało to faktu, że było jej dobrze. Nieznajomy mężczyzna uwolnił w niej wszystko, czego wcześniej się wstydziała i o czym nie wiedziała. Żaden z jej poprzednich kochanków nie zbliżył się do jego poziomu, z żadnym nie doświadczyła takiej przyjemności. Młodzi chłopcy kończyli zbyt szybko i brakowało im wyobraźni. Nie myśleli o niej, lecz o sobie, a to zawsze przeszkadzało. Nana miała wrażenie, że przekroczyła granicę, za którą wcale nie czekały na nią koszmary. Jednak w miarę przygasania emocji, zaczynała się trochę bać.

Po godzinie odwiedził ją Toni. Była już wykąpana i ubrana. Siedziała na łóżku i usiłowała się uspokoić. Zrobiła coś wbrew sobie, uległa szantażowi i groźbom, ale nie czuła z tego powodu wyrzutów sumienia. To właśnie najbardziej ją denerwowało. Nigdy nie myślała, że jest taka łatwa, że można ją przestraszyć i zmusić do prostytucji jak pierwszą lepszą prostytutką. Poza tym, nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że kiedykolwiek pokona ją tkwiące w niej zwierzę, biologiczna siła, którą zawsze uważała za prymitywną i niską. Dopiero teraz poczucie przegranej naprawdę bolało.

- Był bardzo zadowolony - odezwał się Toni, siadając obok niej. - Klient powiedział, że tego właśnie oczekiwał. W nagrodę możesz o coś poprosić.

- Chcę stąd wyjść - odpowiedziała automatycznie.

- Na spacer? - Toni był wyraźnie rozbawiony. - Chcesz dłużej przebywać w ogródku, tak?

- Chcę stąd wyjść. Źle się tu czuję - wyjaśniła. - Zrobiłam to, co chciałeś, a teraz mnie wypuść. Nie znam tego człowieka, a więc nikomu nic nie powiem...

- Ogródek masz do swojej dyspozycji, kiedy zechcesz - odpowiedział Toni, ignorując jej słowa. - Dostaniesz książki, gazety i co tam jeszcze sobie zażyczysz. Dopóki się nie znudzisz klientom, zostaniesz tutaj. Potem może cię wypuszczę.

- Dlaczego „może”? - przestraszyła się i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Żartowałem - uspokoił ją Toni. - Rób tak dalej, a wszystko będzie dobrze.

Wyszedł. Kiedy otwierał drzwi, usłyszała krzyk. Jakaś kobieta wołała o pomoc. Nana nie miała wątpliwości, że była przerażona i cierpiała. Toni odwrócił głowę, obrzucił Nanę wyczekującym spojrzeniem, uśmiechnął się i puścił do niej oko. Nie poruszyła się - strach nie pozwolił jej oderwać oczu od korytarza. Kilka sekund później drzwi zatrzasnęły się i znów zrobiło się cicho. Tym razem Nanie towarzyszyła tylko muzyka - ktoś litościwie wyłączył ekran z pornografią.

Dziesięć minut później usłyszała głos Toniego. Porywacz pojawił się w jej telewizorze i powiedział:

- A to jest kara za próbę ucieczki...

Nana zobaczyła, że kamera przesuwają się w bok. Znowu usłyszała krzyki. Zatkaną uszy i schowała głowę pod poduszkę. Przynajmniej w ten sposób mogła sama decydować. Kiedy w końcu podniosła się, na ekranie zobaczyła dziewczynę oprawianą przez trzech muskularnych mężczyzn w maskach. Posługiwali się gadżetami, na widok których Nanie chciało się wymiotować. Nigdy takich nie widziała i wydawały jej się monstrualne. Dziewczyna na ekranie krzyczała i szarpała się. Nana raz jeszcze schowała głowę pod poduszkę i zatkała

uszy. Miała wrażenie, że ze strachu wariuje. Trzy godziny później zorientowała się, że nagranie jest powtarzane i będzie musiała przy nim spać. Zrezygnowana poddała się i zasnęła mimo jęków maltretowanej dziewczyny. Śniły jej się sceny z filmów pornograficznych. Kilka razy budziła się w nocy zlaną potem i drżąca. Koszmary mieszały się i paraliżowały ją, osłabiając wolę walki. Wyobraźnia ostrzegała Nanę, że za najmniejszą próbę nieposłuszeństwa zapłaci cierpieniami i śmiercią, wpychała ją w ręce porywaczy i wymuszała na niej absolutne posłuszeństwo. Dopiero nad ranem dziewczynie przyśnił się dziecinny pokój z zabawkami i koleżanki ze studiów. Wtedy przestała krzyczeć przez sen i miotać się po łóżku.

## ROZDZIAŁ 9

Zobaczyłem go w lusterku, kiedy wysiadałem z samochodu. Robił mi zdjęcie. Facet wyglądał jak rura kanalizacyjna - szary, zniszczony i gruby. Udałem, że nic się nie dzieje i zatelefonowałem do mojego współpracownika, byłego antyterrorysty, Marka Borga.

- Widzę go - usłyszałem na powitanie. Czyżby Borg czytał w myślach? - Mam go zwinąć?

- Co masz na myśli? - Wolałem się upewnić, że nie namawiam człowieka do zbrodni.

- Jak pan wejdzie do domu, a on wsiądzie do swojego samochodu, przedstawię się mu - wyjaśnił Borg.

- Chciałbym z nim pogadać - powiedziałem na wypadek, gdyby obaj się zaprzyjaźnili.

- No to działamy...

Wszedłem do mojej kamienicy przy Dobrej i od razu przylgnąłem do drzwi. Przez szparę widziałem, jak fotograf chowa aparat i kieruje się do czerwonego volkswagena golfa. Kiedy wsiadł do środka i usiłował zamknąć drzwi, pojawił się koło niego Borg i sprawy potoczyły się we właściwym kierunku. Nie było żadnych krzyków, bijatyki, szarpaniny czy innych ekscesów. Gość pozostał na miejscu, jakby przez całe życie marzył o spotkaniu ze mną. Podeszedłem i struchlałem. Jak na moje oko, za kierownicą siedział trup. Tak przynajmniej to wyglądało.

- Co mu jest? - zapytałem na wszelki wypadek.

- Szok elektryczny - wyjaśnił Borg, pokazując mi gustowny paralizator. - Zaraz dojdzie do siebie.

Nie ma co, mój kolega nie przemęczał się. Po prostu przysmażył nieznanego faceta prądem i czekał, aż podejdę. Przy okazji rytmicznie ścisnął w dłoni gumowe kółko. Najwyraźniej chciał mieć jeszcze więcej pary w łapie. A może po prostu myślał, że żuje gumę?

Obejrzałem sobie dokładnie wścibskiego fotografa i wyjąłem z jego kieszeni portfel. Znalazłem prawo jazdy oraz licencję prywatnego detektywa. Zenon Rudy - tak brzmiało jego



nazwisko. Powoli dochodził do siebie. Borg stał z boku i udawał, że interesuje się ptakami na pobliskim drzewie. Ze swoim metrem dziewięćdziesiąt i potężnymi barami przypominał hummera. Krótkie włosy, garnitur jak Clint Eastwood w *Brudnym Harrym* i kompletnie obojętna twarz rzeczywiście nie zasługiwały na zaufanie kolegów z brygady antyterrorystycznej. Nie zasługiwały na żadne zaufanie. Gdybym go nie znał, powiedziałbym, że uciekł z domu wariatów i szuka kogoś do złożenia w ofierze. Jednak zatrudniłem go, ponieważ miał to „coś”. W swoim życiu poznałem bardzo niewielu ludzi, którzy wydawali się nie mieć nerwów. Marek Borg był tego skrajnym przykładem.

- Co się stało? - odezwał się nieznajomy zza kierownicy.

- Zasłabł pan - skłamałem.

- Naprawdę? - zapytał i widać było, że zna odpowiedź. Cwany żulik, nie ma co.

- Panie Rudy, dlaczego mnie pan śledził? - zagrałem w otwarte karty.

- Ja? - odpowiedział detektyw, rozmasowując sobie twarz i sięgając po papierosa.

Szczerzy aż do bólu. Czy ja wyglądałem na idiotę?

- Od kogo?

- Panowie, dziękuję za pomoc, ale chyba mnie z kimś mylicie - kontynuował swoje ecie-pecie. Palił takie śmierdziele, że musiałem odsunąć się od samochodu. Sięgnął po kluczyki, włączył silnik i próbował szybko ruszyć. Rozległ się jednak syk opony i inny stosunkowo nieprzyjemny dźwięk. Nóż Borga spisał się doskonale. Rudy ujechał dziesięć metrów i zatrzymał samochód. Wyskoczył ze środka i rzucił się w moją stronę. Kurdupel był z niego, ale odważny. Jeszcze chwila i wypruje mi flaki, pomyślałem.

- Co pan sobie wyobraża? - wrzasnął na mnie detektyw Rudy. - Dzwonię po policję...

- Pogadajmy - spróbowałem go naprostować. - Dlaczego mnie pan śledził?

Rudy nie słuchał. Wystukiwał numer do policji. Wtedy ponownie wkroczył do akcji Borg. Nie wiadomo kiedy znalazł się tuż przy nas i po raz drugi potraktował detektywa paralizatorem. Jak tak dalej pójdzie, to pacjent się uzależni. Borg podtrzymał upadające ciało i spojrzał na mnie pytająco.

- Do jego samochodu - poleciłem.

Pięć minut później detektyw otworzył oczy i przeżył déjà vu. Przy tym, cholernie nieprzyzwoicie się spocił.

- Gdzie ja jestem? - zapytał, ale na szczęście nie byliśmy w telewizji. Siedziałem obok niego na przednim siedzeniu, a z tyłu asystował mi Borg. W okolicach szyi detektywa czaił się gotowy na wszystko paralizator. Poza tym dochodziła trzynasta i zaczynałem odczuwać głód.

- Albo powiesz mi, dlaczego mnie śledziłeś, albo mój przyjaciel będzie cię paraliżował, aż nam się znudzi - pogroziłem pociuchowi z ponurą miną. Niech wie, że są jeszcze na świecie prawdomówni ludzie.

- Wynajął mnie klient - odpowiedział grzecznie Rudy. I pomyśleć, co może działać odpowiednio zastosowana perswazja.

- Kto?

- Stefan Radwan - odparł Rudy.

- Po co?

- Miałem mu zdawać relację z pana poszukiwań. Ten facet nie lubi płacić w ciemno...

- Co chciał wiedzieć? - nalegałem, a on coraz bardziej się przede mną otwierał.

- Wszystko. Gdzie mieszkasz? Jak długo śpisz? Gdzie chodzisz? Z kim rozmawiasz?

- Podśłuchujesz mnie? - zapytałem z udawanym obrzydzeniem. Jeszcze chwila i z mojej wykrzywionej gęby zacnie kapać piana. Z wściekłości, oczywiście.

- No... - zająknął się. - Od trzech dni dopiero.

- A wcześniej nie było łaska? - zdenerwowałem się, zupełnie jak człowiek poprawny politycznie.

- Nie mogłem się do was dostać - wyjaśnił.

Kiedy wydawało się, że dochodzimy do porozumienia i Rudy zacnie mieć poważne wyrzuty sumienia, zahamował koło nas radiowóz policyjny i wyskoczyło z niego sześciu ubranych na czarno antyterrorystów. Wszyscy w maskach, a jakże. Zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, chłopaki przystawili nam do głów giwery, a jeden z nich, chyba ich wujek, zagadnął:

- Ręce na widoku! Wychodzić! Powoli!

Proszę bardzo, możemy wyjść. W końcu Polacy to „jedna rodzina”, jak śpiewał kiedyś pewien bard. Borg schował paralizator i pierwszy opuścił samochód, ale ręk nie podniósł. Ja również zbierałem się do wyjścia, gdy usłyszałem szept:

- Poznałem cię, Jasiu. Przeszkadzasz nam w akcji...

Antyterrorysta nazwany Jasiem pochylił się do ucha Borga i odpowiedział:

- Rudy dał nam sygnał.

- To nasz?

- Glina. Pracował w Krakowie...

- Znacie się? - Rudy najwyraźniej miał dobry słuch. Włączył się do rozmowy, jakbyśmy stali w kolejce po bilety.

- Dogadajcie się - zdecydował nagle poirytowany policjant i dał sygnał do odwrotu.

Zanim zdołaliśmy im podziękować, odjechali. Co za ludzie, nawet nie przeczytali nam naszych praw.

Staliśmy koło samochodu na chodniku i musiałem przyznać, że było to bardzo budujące. Równie dobrze mogliśmy leżeć z przestrzelonymi kolanami i obserwować chmury na niebie.

- Co robimy? - Pytanie Rudego przypomniało mi wakacje w szkole podstawowej.

- A więc masz chodzić za mną i opowiadać o tym Radwanowi - stwierdziłem, drapiąc się w czoło. - Rób to dalej, bracie - dodałem, poklepując go po plecach.

- Powiesz mu, że mnie namierzyliscie? - zaniepokoił się.

- A zależy ci na tym? - odpowiedziałem tak samo głupio.

- Jak się dowie, to stracę dużo forsy - wyjaśnił. Gość parł do dobrobytu niczym mąż pod koldrę.

- Rób swoje - uspokoiłem go. - Nic mu nie powiem. Może się na coś przydasz.

Odjechałem stamtąd z poczuciem niedosytu. Zostawiłem Borga i Rudego na ulicy, zastanawiając się, co jeszcze można zrobić, żeby odnaleźć Nanę. Ani policja, ani jej znajomi nie potrafili nam dać jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Panienka rozplynęła się po prostu w powietrzu. Szukano jej tyloma sposobami, że można było o tym nakręcić serial. Różnica polegała na tym, że w serialu co chwila ci dobrzy wygrywali, a ci źli trafiali do więzienia lub ginęli. Scenarzyści najpierw doprowadzali widzów do obłędu, straszili ich, wywoływali wściekłość i chęć zemsty, a potem nagle robili fikumiku i ofiara uchodziła z życiem. Właściwie za każdym razem chodziło o to, żeby widz miał pełno w gaciach, a potem szedł lulu, wierząc w sprawiedliwość. W serialach nawet zakompleksiony kurdupel mógł pozować na macho, strzelać z dokładnością do milimetra i kochać się co godzinę z najładniejszymi panienkami. Miliony frajerów przed telewizorami wierzyło w te bajki i gotowi byli całować serialowych detektywów w sygnet, byle tylko poczuć się lepiej. W realnym życiu takie numery zdarzały się rzadko albo co najwyżej po północy, kiedy ten sprawiedliwy wracał do żony i dzieci, aby postraszyć ich swoim widokiem.

Na obiad poszedłem do indyjskiej restauracji na Żurawiej. W środku było cicho, przy stolikach zauważyłem tylko kilka osób, a obsługa powitała mnie dyskretnym uśmiechem. Przyzwyczaili się, że zamawiałem ich najostrejsze dania i na swój sposób okazywali mi szacunek. Przeciętny Europejczyk nie miał szans w starciu z przyprawami, które tu serwowano. Zająłem stolik w kącie sali i pokazałem kelnerowi, że zamawiam to, co zwykle. Dziewczyna przy sąsiednim stoliku obrzuciła mnie spojrzeniem, w którym kryła się ciekawość, a zarazem znudzenie. Widocznie jej partner, wysoki blondyn w biurowym

garniturze, nie powiedział jeszcze niczego wesołego. Wiadomo, praca, praca, praca i jeszcze raz praca. Mogły to znieść kobiety o wyglądzie foki albo młode matki w parku. Ta dziewczyna nie była żadną z nich. Mówiąc krótko - nadawała się.

Moja komórka zadzwoniła dokładnie w chwili, gdy pojawiło się jedzenie. Za taki numer ludzie powinni być karani brakiem dostępu do telewizora. Spojrzałem ze złością na nieznany mi numer i odezwałem się uprzejmie:

- Halo, słucham?

- Mówi Magda Ryś. Jestem kelnerką w klubie i chciałam się z panem spotkać. - Ładny głos, konkretna i do tego stęskniona za rozmową dziewczyna. Cuda się zdarzały.

- Artur Brandt - przedstawiłem się. - W jakiej sprawie pani dzwoni?

- Pamiętam człowieka, o którego pan pytał. No, tego z tatuażem...

- Gdzie możemy się zobaczyć? - Nie muszę chyba mówić, że nagle poczułem się udziałowcem w firmach Stefana Radwana.

- Na Nowym Świecie? Róg Świętokrzyskiej przy kiosku?

- Dziś o osiemnastej?

- Dobra. Będę - potwierdziła i rozłączyła się. Wreszcie mogłem dokończyć jedzenie i przy okazji zastanowić się, w jaki sposób rzucić na łopatki Susan Smith. Sytuacja stała się skomplikowana, od kiedy moja sekretarka zorientowała się, że chciałbym ją lepiej poznać. Wpadłem w pułapkę własnej chuci. Cokolwiek bym teraz nie zrobił i tak będę przegrany. Jeżeli ją wyrzucę, abonament na jej lądowisko przypadnie komuś innemu. Jeżeli zostawię, czekało mnie piekło podglądacza. Szef z sekretarką mógł się w pełni porozumieć tylko wtedy, gdy pracował na Kapitolu albo dziedziczył kontener z brylantami, to jasne. Po deserze i herbacie postanowiłem wykorzystać do podrywu zupełnie nową technikę. No, maleńka, czeka cię niespodzianka, po której upał wypełni ci noce i dni. Artur Brandt pokaże tej amerykańskiej panience, gdzie jest jej miejsce i co myśli o jej niedostępności. Niedostępne mogły być co najwyżej babsztyle z twarzami przypominającymi zlew w restauracji ostatniej kategorii. Oczywiście do tej listy mogły się dopisywać wszystkie kolubryny, które uwierzyły wyłącznie w stopnie na maturze i średnią ze studiów. W ludzkim odruchu życzyłem im spokojnej starości w ramionach plakatu z hydraulikiem, a nie odwrotnie. Susan nie należała do tego świata i wymagała opieki. Szybko, bo zaledwie za parę lat, obojgu nam groził szpital geriatryczny i mierzenie ciśnienia w aptece.

## ROZDZIAŁ 10

Spacer po Nowym Świecie ostatecznie przekonał mnie, że cały świat powinien szanować Polskę. Stare kamienice, stylowe sklepy, kafejki, galerie i przede wszystkim piękne dziewczyny budowały krajobraz wspanialszy od Nowego Jorku, Rzymu, Paryża i Londynu razem wziętych. Szedłem, omijając latarnie i wypatrując w bocznych uliczkach swojego szczęścia. Stare kamienice nie straszyły mnie wysokością drapaczy chmur, bezdusznym kształtem okien i smętną obojętnością. Każdy dom coś do mnie mówił - o dawnej świetności królewskich powozów, bogactwie i zaradności mieszczan, wrogich najazdach zaborców, oryginalnych pomysłach inteligencji, o Powstaniu Warszawskim i komunistycznych aspiracjach byle kogo. Teraz wszystko to uśmiechało się i tętniło życiem, pokazywało twarz, którą zrozumieć mogli tylko prawdziwi smakosze. W dodatku, pogodny wieczór szeptał mi do ucha takie bezceństwa, że gotów byłem wyrzec się miliona euro za odnalezienie Nany Radwan. Teoretycznie, oczywiście. Przebrałem się w szary garnitur, niebieską koszulę ze spinkami w kształcie samolocików, krawat oryginalny jak wizyta u dentysty i buty droższe od logo Harrodsa. Wyglądałem na tyle dobrze, żeby zwracać uwagę zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Serdecznie wszystkich zapraszam, że tak powiem, serdecznie zapraszam.

Gdy tylko wszedłem do knajpy, zauważyłem, że kelnerka jest zdrową laską, świadomie kierującą swoim życiem. Wysokie szpilki, sukienka mini i opalenizna z solarium o mocy dwóch słońc zagrażały wiecznemu odpoczynkowi każdego mężczyzny. Czarne włosy lśniły, makijaż rywalizował z wystawą w kiosku, a paznokcie mogły przebić asfalt. Jednym słowem, kelnerka Magda Ryś była widoczna. Kiedy znalazłem się dostatecznie blisko, aby zaprezentować swój czarujący uśmiech, pojawił się policyjny specjalista od portretów pamięciowych, Piotr Mucha. Gość był cholernie utalentowany. Wystarczyło opisać mu szczegóły paszczy jakiegoś łobuza i okazywało się, że po godzinie powstawał portret porównywalny ze zdjęciem. Dzięki Musze kilku niebezpiecznych „Janków” odsiadywało wyroki w najcięższych polskich więzieniach. Rysownik „odmalowywał” podobizny bandziorów na tyle dokładnie, żeby mogła ich podkablować nawet własna rodzina. Walewski

umówił nas prywatnie, bez wtajemniczenia w szczegóły. Znałem Muchę jeszcze z czasów, gdy robiłem reportaże dla telewizji.

- To ona? - Rysownik dołączył do mnie.

- Na pewno - odparłem. Zamówiłem kawę, bo nie wypadało siedzieć o suchym pysku. Mucha trzymał na kolanach szkicownik i najwyraźniej szykował się do stworzenia wielkiego dzieła. Był mikrym mężczyzną w średnim wieku i w pewnym sensie niewidocznym. Typ „przejrzystego jak powietrze”. Magda Ryś zerknęła na mnie wzrokiem gwiazdy filmowej skrzyżowanej z reklamą salonu masażu. Suka była wygłodzona, że nie daj Boże.

- Zadzwoiła pani dość późno - skarciłem ją za opieszałość.

- Nie byłem pewna, czy to ten tatuaż - wyjaśniła, szczerząc równe ząbki. Musiała mieć dobrego ortodontę - ani chybi ze specjalizacją w Stanach. - No i chciałam być pewna...

- Ktoś jeszcze go zapamiętał? - ciągnąłem wątek. Kelnerka spojrzała na mnie bystro i zaprzeczyła ruchem głowy. Cóż, nie była gotowa dzielić się sławą.

- W klubie bywa tyle ludzi, że trudno zapamiętać kogoś, kogo się nie zna - wyjaśniła. - Ten facet po prostu mi się spodobał. Był u nas pierwszy raz. Miał styl...

- Czyli co?

- No, wie pan, czuło się, że to nie jakiś dupek. Ubranie, fryzura, sposób siedzenia i patrzenia - Magda Ryś wymieniała składniki idealnego mężczyzny. - Chciałam go nawet poderwać, ale było za dużo roboty. Potem już go nie widziałam. Szkoda, bo mogłoby być fajnie.

- Ten pan narysuj jego portret pamięciowy - przeszedłem do rzeczy i pokazałem wzrokiem Piotra Muchę. - Proszę z nim współpracować, to może uda nam się uratować kilka dziewczyn. Pani też nie jest bezpieczna - dodałem na wyrost. Niech wie, że sprawa jest poważna i trzeba się przyłożyć. - Dziękuję za pomoc. Panie Piotrze, czekam na portret porywacza. Im szybciej, tym lepiej... Do widzenia - zostawiłem pieniądze na stoliku i ruszyłem do drzwi.

- Zobaczymy się jeszcze? - usłyszałem głos dziewczyny.

- Na pewno - odpowiedziałem i pomachałem jej ręką. - Mam pani telefon.

- Będę czekała - poinformowała mnie na tyle subtelnie, żeby cała kawiarnia obejrzała nas sobie od stóp do głów. Nic z tego, pomyślałem. Nie z tym atomowym seksapilem, darling. Związek z kobietą, która nigdy nie wychodzi z łóżka, oznaczał samobójstwo. W tym przypadku za milion euro - na co oczywiście nie mogłem sobie pozwolić.

Po szybkiej i niezgodnej z prawem jeździe znalazłem się w biurze, gdzie zastałem Susan. Dziwne, ale powinna już dawno być w domu. Wszedłem szybkim krokiem i od

niechcenia rzuciłem:

- Jeszcze w pracy?

- Drukuję nowe dane - odpowiedziała, jak zawsze celnie. Tylko o jakie „dane” mogło jej chodzić? Czyżby kłaniało się karate i judo? Obrzuciła mnie przy tym wzrokiem, przed którym nic się nie ukryje. W ten sposób patrzyła na mnie tylko moja matka.

- Jakie dane? - zainteresowałem się, ale nawet na nią nie spojrzałem. Dobrze wiedziałem, że w sukience w kwiaty wyglądała pięknie. No i nieziemsko pachniała, co stawiało zmysły w pełnej gotowości. Trzymaj się, powtarzałem sobie, i tylko dlatego bezpiecznie dotarłem do fotela.

- Z policja i od dziennikarzków. Mam listy dziewczyny, co zginęły. Wczoraj też jedna jest nie wiadomo gdzie - odpowiedziała. - W Poznaniu ona była na porwaniu...

- Masz tę listę? - kontynuowałem rozmowę najchłodniej jak umiałem.

- Już idzie - odparła Susan i pojawiła się z plikiem kartek przed moim biurkiem. - Zdjęcia ich pokazują dobre. Dużo tych dziewczuch, szefie. Kawa?

- Nie, dziękuję. - Odepchnąłem pokusę na bezpieczną odległość. Nie bądź taka dobra, myszko, bo jeszcze pomyślę, że nie jesteś z drewna. Zgnij w staropanieństwie, nieczuła kozo. Singiel się znalazł, w mordę kopany. Właśnie dzięki takim myślom ocalałem.

- Źle ty się czujemy? - Nagle zainteresowała się czymś więcej niż papierami.

- Doskonale - odparłem zimno. - Czuję się doskonale, Susan. Możesz iść do domu.

Wyszła z mojego gabinetu, ale widać było, że próbuje mnie rozgryźć. A próbuj, próbuj, może ci się uda, amerykańska laluniu. Następnym razem wrzucę cię do whisky zamiast lodu. Lista zaginionych dziewcząt rzeczywiście była długa. Wyselekcjonowano te, które były najładniejsze. Te brzydsze z góry trafiły do kategorii „pasztetów” i najprawdopodobniej obsługiwały klientów w tureckich burdelach. Mnie interesowały dziewczyny z najwyższej półki. Na liście były czterdzieści dwie takie. Według mnie każda bez problemu mogła wygrać wybory miss świata. Prawie wszystkie studiowały lub właśnie ukończyły studia. Zadziwiające było to, że były również dobrymi studentkami i inteligentnymi kobietami. Z policyjnych informacji wynikało, że uważano je za wyjątkowo atrakcyjne i sympatyczne. Jednym słowem nie były to towary ze slumsów, które natura obdarzyła zjawiskową urodą, lecz rzadkie okazy z tak zwanych dobrych domów. W rezerwacie z pewnością znajdowałyby się pod ścisłą ochroną, bezcenne jak brylanty. Dobry dom oznaczał dostęp do nauki, kultury i poprawnego języka. Przeważnie zapewniał również poczucie humoru i optymizm. Zorientowałem się, że największy stres, jaki śliczne panienki przeżyły, polegał na wyborze studiów i miejsca zamieszkania. Reszta życiowych dolegliwości

była dla nich równie odległa jak mit o Odyseuszu. Przypomniałem sobie moje koleżanki ze studiów i zrobiło mi się smutno. Żadna nie przypominała nawet jednej z porwanych dziewcząt, żadnej nikt nie chciał wrzucić do bagażnika i wywieźć w nieznane. Przez pięć lat musiałem na nie patrzeć i doceniać fakt, że były miłe. Tylko jakiego faceta to rajcuje, kiedy przychodzi co do czego? Porywacze wiedzieli, co robią. Autentyczni hedoniści. Aż dziwne, że nie było ich jeszcze w podręcznikach do historii filozofii. W głowie zaczęła mi świtać myśl, której początkowo nie dopuszczałem. Jeżeli miałem rację, to sprawa naprawdę śmierdziała.

Okolo dwudziestej trzeciej przekręciłem klucz do swojego mieszkania i ogarnęły mnie złe przecucia. Usiadłem w fotelu i włączyłem telewizor. Jak zwykle pokazywali bzdeta, który nazywali programem publicystycznym. Redaktorka dwoiła się i troiła, żeby dobrze wypaść, a kilku polityków przypominających kondukt pogrzebowy przeżyło muskuły. Mówili o szczęściu, jakie mnie spotka, kiedy każdy metr mojego życia będzie przez nich kontrolowany. Życzę szczęścia, zasrańcy. Może do tego czasu zdechniecie. Nawet nie spostrzegłem się, kiedy zasnąłem. Poczułem na skroni coś zimnego i odgadłem, że właśnie ktoś wziął mnie na muszkę. Chciałem zobaczyć leszcza, ale świecił mi latarką w oczy.

- Czego chcesz? - warknąłem, ale daleko mi było do gryzienia.

- Masz się od tej sprawy odwalić, rozumiesz? - głos zdradzał weterana. Kawa, papierosy i alkohol sprawiły, że brzmiał jak kruszone kamienie. - Mogę ci palnąć w łeb i nikt nawet nie usłyszy. Broń jest nienotowana, tłumik cichy, a sąsiedzi śpią. Nie warto ryzykować dla paru euro...

Chciałem się lepiej usadowić, ale napastnik przesunął lufę w okolice mojego oka. Jeszcze kilka chwil a będę musiał nosić czarną opaskę. W dodatku mit o Cyklopie wcale nie należał do moich ulubionych. Na piersi czułem ciężar kolana napastnika. Dusilem się, chciałem coś powiedzieć, ale głos uwiązał mi w gardle. Ostatnim wysiłkiem szarpnąłem się i nagle wszystko zniknęło. Rozejrzałem się po ciemnym pokoju, zapaliłem lampkę, ale poza włączonym telewizorem nic nie zasługiwało na uwagę. Sprawdziłem zamek w drzwiach i przeszukałem mieszkanie. Spokój i cisza, jak mawiał pewien lekarz po nieudanej operacji. Napilem się wody. Stopniowo dochodziło do mnie, że przyśnił mi się koszmar. A swoją drogą, postanowiłem zamontować w drzwiach dodatkową zasuwę. Taki sen mógł być przecież proroczy. Dalej wszystko potoczyło się już normalnie. Zadzwoił mój telefon, a ja pomimo późnej pory odebrałem go.

- Nie śpisz? - Głos Soni zabrzmiał bardzo naturalnie. Za bardzo, jak na trzecią w nocy.

- Już nie - odpowiedziałem grzecznie. - Coś się stało? - zapytałem nieopatrznie.



- Dlaczego tak myślisz? - zareagowała szeptem. W tym momencie ukłoniły mi się wszystkie czerwone latarnie świata.

- Jest noc - położyłem się wygodnie na plecach i zastanawiałem się, co z tym fantem zrobić.

- Przyjechać do ciebie? - To już nie był głos, to była obietnica raju. Moja moralność przestała mi zawracać głowę i błyskawicznie otworzyłem się na drugiego człowieka.

- Czekam, ale niczego nie obiecuję - odpowiedziałem chłodno, o wiele za chłodno.

A potem zdziwiłem się jeszcze bardziej, bo usłyszałem dzwonek do drzwi. Była tam i od początku udawała, że miałem w tej sprawie coś do powiedzenia. Ma wstrętny charakter, zaświtało mi w głowie. Pamiętaj o tym, Arturze. Po raz kolejny zemściłem się na Soni za jej podłe serce. Wiedziałem, że w moje życie wkradł się banał, ale nie oponowałem. Wchłonęła mnie opera mydlana, taka, jakie jeszcze do niedawna wymyślałem dla telewizji. Kicz, szmira i bezguście na najniższym poziomie. A ja w środku, w roli głównej. Bohater, który nie znał zakończenia, chociaż wydawało mu się, że o wszystkim decydował.

- Jesteś niesamowity - Sonia przytuliła się do mnie całym ciałem. Co było robić, raz jeszcze zaopiekowałem się nią z całego serca, a potem wyprosiłem za drzwi. Wszystko odbyło się bez słów i bez krzyku, tak, jakby na to czekała. Coś tu nie grało, a ja nie miałem pojęcia co.

Wykąpałem się i nad ranem grzecznie położyłem spać. Mimo to, złe przeczucia nadal tkwiły w mojej głowie.

## ROZDZIAŁ 11

Przystojny koleś - stwierdził rysownik Mucha, podając mi portret pamięciowy. - Dziewczyna powiedziała, że bardzo przypomina oryginał...

- OK. To jest forsa - przytaknąłem i podałem mu kilka banknotów. Nie liczył, tylko schował je od razu do kieszeni. Ładny gest, zważywszy na naszą krótką znajomość i zero handlowych tradycji. Potem po prostu skinął ręką i wyszedł z mojego biura.

Zadzwoiłem do Walewskiego i kazałem mu umówić mnie w Komendzie Głównej Policji z komisarzem odpowiedzialnym za śledztwa w sprawie porwań. Miałem w rękach rysopis podejrzanego i teoretycznie mogłem go zachować tylko dla siebie. Nie zamierzałem jednak narażać się policji. Poza tym chciałem zobaczyć minę komisarza, kiedy pokażę mu przystojniaka z tatuażem. Wyjrzałem przez okno, ale powodu do radości nie było. Na dworze padał deszcz, a niebo przypominało sfilcowany koc po prądziadku. Przed wyjazdem do Komendy Głównej musiałem wykonać jeszcze jeden telefon. Kiedy wystukiwałem numer, słyszałem, jak Susan odmawia kolejnemu klientowi, który chciał zlecić nam śledzenie żony, ponieważ przestał jej ufać. Niestety, mały, musisz pójść do konkurencji, bo my pracujemy nad czymś znacznie poważniejszym. Głos Stefana Radwana zabrzmiał w słuchawce energicznie i młodo. Zbyt młodo, jeśli o mnie chodzi. Mój klient najwyraźniej korzystał z luksusów, które mnie omijały. Zgodzimy się, że coś takiego może człowieka zdenerwować.

- Ma pan coś nowego? - zapytał.

- Mam rysopis potencjalnego porywacza - odpowiedziałem tonem faceta, który przydepnął właśnie milion euro. Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. No, no, kochany, nie wykituj mi tylko przed zapłaceniem honorarium.

- Kto to? - W końcu milioner odzyskał głos. Teraz mówił zwyczajnie, bez energii i optymizmu, które wcześniej tak mnie rozdrażniły.

- Jadę na policję - wyjaśniłem mu sytuację. - Rysunek trafi do mediów i szybko go znajdziemy. Jeśli to on porwał pana córkę, to sprawę prawie mamy z głowy.

- To już dwa miesiące...

- Odezwę się, jak będę coś wiedział. Niech pan nie traci nadziei - pocieszyłem go, ale obaj wiedzieliśmy, że zabrzmiało to jak dziecięce pitolenie na skrzypcach. Rozłączyłem się, wyjąłem z szuflady lusterko i popatrzyłem w swoje odbicie. Nie ogoliłem się, a moja fryzura stawała się z każdym dniem coraz bardziej niesforna. Gdyby nie redaktorki z kolorowych magazynów, nie wiedziałbym nawet, że w ten prosty sposób zaczynałem uosabiać marzenia tysięcy kobiet. Tak właśnie miał wyglądać stuprocentowy ogier, pies na kobiety i gorący kochanek. Wyjąłem butelkę z kremem do rąk, wycisnąłem sobie na dłoń i rozsmarowałem na rękach i twarzy. Dla komisarza, który nie lubił się przepracowywać, wszystko. Dla tego zapachu warto było mieć nos.

Założyłem płaszcz w stylu lat trzydziestych i skierowałem się do wyjścia. Przede mną pozostało jeszcze jedno najtrudniejsze i bardzo niewdzięczne zadanie. Musiałem je wykonać od niechcenia, urzędowo. Zatrzymałem się niby mimochodem przed biurkiem Susan i nie patrząc na nią, powiedziałem:

- Zwalniam panią. Proszę zabrać swoje rzeczy i oddać mi klucz.

Dziewczyna spojrzała na mnie kompletnie zaskoczona. Tym razem była w spodniach i żakiecie, pod którym nie zauważyłem żadnej bluzki. Pora na ciebie, moja pani, męzc kogoś innego, przeleciało mi przez głowę. Jej zimny profesjonalizm tak mi dopiekł, że gotów byłem kazać jej wyjść z budynku po rynnie.

- Nie rozumiem - odezwała się, a jej duże oczy przyssały się do mnie jak macki. Hipnotyzowała mnie, hiena, ani chybi. Jeszcze chwila i uniesie mnie w powietrze, aby zacząć wymachiwać pode mną i nade mną jakimś kijem.

- To proste - wydusiłem z siebie. - Nie jestem zadowolony z pani pracy i musimy się rozstać.

- Pan ma być rozczarowanie, tak? - upewniła się, ale nadal nie ruszała z miejsca. Z góry widziałem dekolt, który paraliżował bardziej niż kolec płaszczki. Już za sam taki widok Susan mogła pobierać opłaty w parku.

- Tak, jestem rozczarowany i śpieszę się - przygrzałem mocniej. Chyba załapała, bo wstała powoli i wyjęła z torebki klucze. Położyła je na biurku. Podeszła do szafy i założyła płaszcz. Widać było, że nadal nie rozumie, dlaczego ją zwalniałem. Beton, istny beton. Zatrzymała się koło drzwi i raz jeszcze na mnie spojrzała. Czekwała na wyjaśnienia. Jedź do Ameryki, poskarż się feministkom, powiedz im, że to mobbing, kipiało we mnie, ale udawałem pomnik.

- Dlaczego? - powtórzyła pytanie.

- Przetrenowała się pani - stwierdziłem sucho. - Mojej agencji nie stać na tak

profesjonalną pracownicę. Po prostu za wiele doskonałości na raz. Potrzebuję kogoś innego, bardziej zwyczajnego. Do widzenia - zakończyłem efektowniej, niż zamierzałem.

- A więc mam zwolnienie, bo profesjonalnie jestem za duża? - upewniła się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Dokładnie tak - potwierdziłem. - Jest pani tak bardzo profesjonalna, że z pewnością znajdzie pani pracę gdzie indziej. U mnie się pani marnuje.

Nic nie mogłem poradzić, że nadal na mnie działała. Nagle zbliżyła się do mnie i poprawiła mi pod szyją krawat. Potem spojrzała w oczy tak szybko, że nie zdążyłem ich zamknąć. Przez sekundę poczułem zapach jej perfum. Kiedy miękłem i z wrażenia prawie osuwałem się na podłogę, wyszła i mogłem zatrzasnąć drzwi. Schodziliśmy razem po schodach, udając obojętność. Ona pierwsza, a ja trzy kroki za nią. Z tyłu słyszałem telefon dzwoniący w sekretariacie mojej agencji, ale nawet się nie obejrzałem. Lśniące włosy Susan były ostatnim akordem, który zapamiętałem. Po wyjściu z budynku od razu wsiadłem do subaru i ruszyłem z miejsca, jakbym miał szesnaście lat. Byłem wściekły na siebie, Susan i okoliczności, które sprawiły, że wszystko tak głupio się skończyło. Dopiero kiedy stanąłem na parkingu przed Komendą Główną, poczułem, że znów mogę przebierać nóżkami. Zagrożenie minęło - przetrwałem największy atak chuci w historii Warszawy.

Walewski wyglądał tak jak wczoraj, przedwczoraj, przed tygodniem i pewnie przed dziesięcioma laty. Brakowało mu tylko napisu na czole: „Facio z awansu społecznego”. Burknął coś na powitanie i ruszył pierwszy. Monumentalne drzwi, schody i korytarze doskonale nadawały się do filmu grozy. Weszliśmy po schodach na drugie piętro i po chwili stanęliśmy przed komisarzem Zbigniewem Surmanem, zwalistym mężczyzną po pięćdziesiątce. Nosił tani garnitur, sandały, skarpetki i rozmemłany krawat. Na swój sposób starał się dogodzić ludziom, dobierając wszystko w kolorze brązowym. Pokazał nam krzesła w swoim gabinecie i zapalił papierosa. Miałem zamiar runąć na kolana, by udąć atak astmy, ale nie było czasu na takie numery. Położyłem przed nim rysunek, który skserowałem w swoim biurze.

- To on? - Komisarz sprawiał wrażenie gościa, który lubi mówić do siebie.

- To możliwe - odpowiedziałem. - Daję wam ten rysopis za darmo, bo zależy mi na dobrej współpracy. Oczywiście będę wdzięczny, jak mi powiecie, kiedy ktoś faceta zidentyfikuje. Zgoda?

Komisarz wypuścił ustami kółko z dymu. Spojrzał najpierw na Walewskiego, potem na mnie. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego życiem. Kogoś, kto nie interesował się nawet sobą, a co dopiero zaginioną dziewczyną. Nie wiem, co go tak zmęczyło, ale wcale bym się

nie zdziwił, gdyby tak właśnie wyglądał początek agonii.

- Puścimy to w mediach - zdecydował. - Może ktoś zadzwoni. Za długo to trwa, żeby dziewczyna jeszcze żyła albo była do uratowania. Obawiam się, że co miało się stać, to już się stało. Kieruję zespołem, który wyselekcjonował spośród porwanych dziewcząt te najładniejsze. Próbujemy je odnaleźć. To ryzykowna koncepcja, ale na razie wydaje się właściwym tropem...

- Macie coś? - zapałem z radości, a on po raz drugi popatrzył na mnie obojętnie.

- Mamy przynajmniej pewność, że najładniejsze dziewczyny zniknęły bez jakiegokolwiek śladu - wyjaśnił. - Nikt o nich nic nie wie. Nasi informatorzy w kraju i za granicą nie natrafili na żaden trop. O tych brzydszych udało nam się trochę dowiedzieć, o ładniejszych nic, dosłownie zero, panie redaktorze.

- Myślicie, że żyją? - zapytałem, nie wyjaśniając, że nie jestem już redaktorem.

Weszła sekretarka z fryzurą wprost od taniego fryzjera. Trwała ondulacja na jej głowie w kolorze rudym pasowała do trzech szklanek kawy, jakie przed nami postawiła. Był to klasyczny obrządek w biurach z czasów komunistycznych - cztery łyżki zmielonej kawy zalane wrzątkiem. Po wypiciu czegoś takiego można było wystartować w kosmos bez rakiety albo zamówić miejsce na cmentarzu. Sekretarka obdzieliła nas tym szczęściem bez słowa i wyszła.

- Nie wiemy, ale przypuszczamy, że tak - odparł komisarz i zgasił papierosa w popielniczce o rybim kształcie. Potem usłyszałem dwa efektowne siorbnięcia. - Jest ich za dużo i są za ładne, żeby od razu pójść do ziemi.

- A może to robota seryjnego mordercy? - podrzuciłem pomysł za pół dolara. Komisarz nawet na mnie nie spojrzał. Podrapał się w głowę i westchnął. Walewski patrzył na nas w milczeniu i spokojnie popijał kawę.

- Myśleliśmy o tym, ale nic na taką hipotezę nie wskazuje - odpowiedział bezbarwnym głosem. - One po prostu zniknęły.

Wyszliśmy z gabinetu komisarza Surmana piętnaście minut później. Ja na czczo, Walewski po kawie. Umówiliśmy się, że mój współpracownik dopilnuje, żeby rysopis podejrzanego trafił jak najszybciej do prasy, telewizji i Internetu. Kiedy zdecydowałem się zjeść lunch, usłyszałem w radiu wiadomość, która mnie najzwyczajniej przestraszyła. Przy wjeździe na most Poniatowskiego rozbił się samochód prowadzony przez niejaką Magdalенę R., kelnerkę ze znanego warszawskiego klubu. Dziewczyna przeżyła, ale właśnie zabierano ją do szpitala. Zaczęło się, pomyślałem. Ktoś się przestraszył i potraktował mnie osikowym kolkiem. Teraz byłem pewien, że znalazłem się na dobrym tropie. Mój subaru zawył - po

chwili mknąłem na miejsce wypadku. Jeśli policja miała złapać mnie na radar, był to odpowiedni moment. Prawo jazdy straciłbym na co najmniej sto lat.

Na miejscu wypadku dopytałem znajomego reportera, gdzie zawieźli ranną kelnerkę. Przy okazji poinformował mnie, że nazywała się Ryś, co potwierdziło moje złe przeczucia. Ktoś ze świadków powiedział, że kierowała samochodem, jakby była pod wpływem alkoholu. Dziwne było to, że piła kilka minut po trzynastej, przed pójściem do pracy w klubie. Coś mi tu śmierdziało. Zawieźli ją do szpitala przy Szaserów, co oznaczało, że powinna przeżyć. Znałem stamtąd kilku lekarzy i dwie pielęgniarki - wszyscy na poziomie, a przy tym bardzo mili. Szczególnie jedna pielęgniarka, z którą łączyły mnie w przeszłości bardzo bliskie, ale krótkotrwałe stosunki.

W izbie przyjęć zastałem tłok znany mi z bazaru. Wyglądało na to, że ludzie specjalnie poświęcali się dla lekarzy, aby ci mogli ich uzdrawiać. Więcej nieszczęścia naraz było tylko w telewizji. Do Magdy Ryś dotarłem szybciej, niż sobie wyobrażałem. Okazało się, że nie była wcale pijana, lecz podano jej jakiś narkotyk i straciła przytomność za kierownicą. Policja sprawdzała właśnie butelkę z coca-colą i batony w jej samochodzie. Dziewczyna twierdziła, że nic innego od rana nie piła i nie jadła. Cóż, zdrowe odżywianie też nie dawało gwarancji szczęścia.

- Chemia, panie redaktorze - usłyszałem głos znajomego lekarza. Doktor Omski uśmiechał się i smutno kiwał głową. Miał nieco ponad trzydzieści lat, ale jego twarz zdradzała już objawy starości. W szpitalu płacili mu tak dobrze, że nie mógł z niego wyjść, żeby przypadkiem nie trafić na listę centralnego rejestru dłużników. Dla niego nadal byłem „panem redaktorem”.

- Dzień dobry, doktorze - przywitałem się. - Mówimy o Magdzie Ryś, tak?

- Ktoś musiał jej dosypać do butelki zbyt dużo jakiegoś środka - wyjaśnił. - Wyjdzie z tego, ale niewiele brakowało. Jutro będzie można z nią pogadać, jeśli panu o to chodzi...

- Przyjadę - pocieszyłem go, bo wyraźnie mu na tym zależało.

- Zapraszam po jedenastej - powiedział, uścisnął mi rękę i odszedł do kolejnego nieszczęśnika, który miał zakrwawioną dłoń.

Na parkingu rozejrzałem się, ale na szczęście nikt nie zamierzał częstować mnie coca-colą ani batonami. Przemknęło mi przez głowę, że sam mogę być zagrożony, ale trwało to tylko chwilę. Na horyzoncie była za duża forsa, żebym zrezygnował z tej sprawy. Poza tym wierzyłem w swoje mięśnie. Nie na darmo codziennie robiłem trzydzieści pompek, tyle samo podciągnięć i dwadzieścia skłonów. Do tego dochodziła także jedna długa seria uderzeń w worek boksinowy zawieszony pod sufitem. W mieszkaniu miałem też swoją fotografię w

kimonie, co samo w sobie stanowiło zaporę nie do przejścia. To musiało wzbudzać respekt nawet w największych bandziarach. Co by nie powiedzieć, robiło się gorąco.

## ROZDZIAŁ 12

Październik stał się nagle chłodny i deszczowy. Nana Radwan wychodziła częściej do ogródka, przeważnie w przeciwdeszczowym płaszczu i z parasolem. Przyzwyczała się do odwiedzin nieznanego mężczyzny i w pewnym sensie na nie czekała. Nigdy nie przyszedł nikt nowy. Jej kochanek pojawiał się co dwa dni, z regularnością szwajcarskiego zegarka. Za każdym razem zaskakiwał ją czymś nowym. Najwyraźniej sprawiało mu przyjemność milczące kochanie się z nią przy muzyce i odkrywanie tajemnic jej ciała. Dotykał bioder, szyi, brzucha i pleców Nany, jakby chciał zapamiętać na zawsze drogocenną rzeźbę. Czasami zatrzymywał dłoń na jej masce. Wydawało się, że za chwilę pozwoli się zobaczyć, ale na tym poprzestawał. Innym razem jego palce rysowały esy-floresy na skórze dziewczyny. Zdarzało się też, że dyskretnie obwąchiwał ciało i włosy swojej kochanki. Wtedy czuła jego gorący oddech. Raz nawet przyniósł ze sobą w prezencie bardzo drogie perfumy. Złapała się na tym, że coraz częściej chciałaby z nim porozmawiać, zobaczyć i porównać ze swoim wyobrażeniem. Po dotyku wnioskuje, że jest wysportowany, przystojny i wysoki. Skóra mężczyzny nie była już młoda, ale zachowała sprężystość i zawsze ładnie pachniała. Ciekawość sprawiła, że Nana zaczęła zastanawiać się, co musiałaby zrobić, by zobaczyć jego twarz.

Po południu, kiedy Ozi wyprowadzał ją na spacer, wydarzyło się coś, co znów jej przypomniało o niebezpieczeństwie. Przez otwarte drzwi do jednego z pomieszczeń zobaczyła dziewczynę, która kochała się właśnie z trzema mężczyznami. Była ładna, ale z wyglądu trochę wulgarna. Obok łóżka kręcili się dwaj kamerzyści, a na krzeselku z napisem „reżyser” siedział Toni i wydawał polecenia. Kiedy zobaczył Nanę, skinął jej dłonią, jakby mijała go na ulicy, po czym znów skupił się na filmie. Ozi uśmiechnął się krzywo i wyprowadził pannę Radwan do ogrodu.

- Kto to był? - zapytała, skubiąc nerwowo rękaw swetra. Nie padało, więc mogła swobodnie pospacerować i popatrzeć w niebo.

- Stawiała się, to chłopaki zrobili jej sztafetę - odpowiedział, co jeszcze bardziej



zaskoczyło dziewczynę.

- I co potem? - W jej głosie pojawił się strach.

- Film - odparł z grymasem ust, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała. - Trochę w sieci, na zachętę, reszta na płytach...

- A co z nią? - dopytywała się coraz bardziej nerwowo.

- Popracuj jakiś czas u nas, a potem się zobaczy - podsumował filozoficznie Ozi. - Może trafi do Niemca, może do Turka albo Holendra. Kto to wie?

- A jak nie zechce? - Nana zdała sobie nagle sprawę, że Ozi traktuje ją z dziwną pobłażliwością. - Nie boisz się mi tego mówić?

- Ja się niczego nie boję - zaśmiał się i naprężył efektownie mięśnie karku. - Panienska nie ma nic do gadania. Dostaje procha i zaczyna się jazda. Nawet nie pamięta, że nakręciła film. Co zrobi? Pójdzie na skargę? Do kogo? Na rynku jest spalona. Ludożerka widziała ją w tyłu pornosach, że szkoda gadać. Ty, mała, masz fart, bo ktoś cię kupił na wyłączność. Dopiero jak mu się znudzisz, to pójdziesz w obieg. Kto wie, może sam cię wezmę...

Nana wyobraziła sobie setki dziewcząt sprzedawanych w ten sposób do domów publicznych na całym świecie. Były gwałcone i bite, oswajane z uległością i brakiem nadziei. Musiały przyjmować tysiące klientów, z których żaden nie interesował się ich losem. Kiedy się starzały lub chorowały, sprzedawano je taniej do coraz gorszych spelun, aż wreszcie lądowały na ulicy. Jednak nawet tam zawsze znajdował się ktoś, komu musiały płacić za opiekę. Zaczynała rozumieć, że w całym swoim nieszczęściu była prawdziwą wybranką losu. Poza porwaniem, uwięzieniem i stosunkami tylko z jednym klientem nie spotkało jej jeszcze nic złego. Dzień po dniu uświadamiała sobie, jak niewiele z takich dziewcząt wracało do swoich domów, jak mało z nich zdołało uciec. Przypominała sobie artykuły w gazetach i filmy w telewizji. Niemal zawsze bez nadziei na ocalenie.

Rzuciła spłoszone spojrzenie w stronę Oziego, ale nie odeszła. Wiedziała już, że cenił tylko siłę i pieniądze, a okazywanie strachu traktował z pogardą. Poprawiła sweter i spodnie, jakby chciała zająć czymś ręce. Wyglądała seksownie, tego była pewna. Jej kosmetyki, ubrania i jedzenie zawsze były drogie i starannie dobrane. Tajemniczy mężczyzna musiał być nią zainteresowany bardziej, niż przypuszczała. W tym momencie była wściekła na siebie za dawną naiwność, za to, że myślała, iż całkowicie kontroluje swoją prywatność. Nie wyobrażała sobie nawet, że ktoś mógł ją kupić jak ciastko, a jej ciało potraktować jak towar. Nic nie było w stanie tego zmienić. Mogła studiować, gdzie tylko chciała, być genialna lub mieć mocny charakter, ale pewnych ludzi w ogóle to nie obchodziło. Liczyła się wyłącznie jej uroda.

- Masz kogoś? - zapytała z zaledwie wyczuwalną kokieterią.

- Nie ze mną te numery, mała - Ozi natychmiast ją zastopował. Ziewnął i przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu stawy. - Ja się w te gierki nie bawię. Nie jestem głupi. Tacy faceci jak ja nie zakochują się w takich panienkach jak ty.

- Nie podobam ci się? - przestraszyła się.

- Niezła jesteś, ale na razie gość ma wyłączność - stwierdził. - Co ma wisieć, nie utonie. Nie ty, to inna. Nie jesteś pierwsza i nie ostatnia.

Odwrócił się i zostawił ją samą. Zrozumiała, że w każdej chwili może zostać sprzedana i będzie musiała grać w filmach pornograficznych, które ludzie obejrzą w internecie. Jej los zależał od mężczyzny, który ją kupił i któremu w każdej chwili mogła się znudzić. Ze strachu nie próbowała ucieczki. Wiedziała, czym mogła skończyć się taka próba i to ją paraliżowało.

Cztery godziny później kochała się ze swoim milczącym klientem i robiła wszystko, żeby był z niej zadowolony. Kiedy leżeli koło siebie zupełnie nago, przytuliła się do jego ramienia i zapytała:

- Wypuścisz mnie stąd? Nadal możemy być ze sobą, jeśli zechcesz...

Mężczyzna drgnął, ale nie odezwał się. Zaczął się bawić włosami dziewczyny. Sięgnął po pilota i puścił głośniej muzykę. Nana uznała to za przyzwolenie i kontynuowała:

- Wypuścisz mnie, gdy ci się znudzę? Nie chcę zostać dziwką. Nie znam cię i w niczym ci nie zagrażam. Ani razu nie widziałam twojej twarzy, bo ciągle mam zasłonięte oczy. Nigdy nie słyszałam głosu. Z mojej strony nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczny. Wypuścisz mnie? - Nana zaczęła wierzyć, że go przekona. Pocałował ją w skroń i przytulił. - Mam pomysł... Możesz mnie wypuścić i nadal się ze mną kochać. Wcale nie muszę zdejmować maski. Dobrze?

Mężczyzna nie odezwał się, nie zrobił też nic, co mogłaby uznać za odpowiedź. Wziął ją gwałtownie od tyłu i kiedy skończył, po prostu wyszedł. O mało się nie rozplakała. Jednak po chwili uspokoiła się i uwierzyła, że wkrótce zdoła go przekonać. Postanowiła próbować aż do skutku. Była pewna, że jej zaangażowanie podczas zbliżeń całkowicie go od niej uzależni. Przyrzekła sobie, że nigdy mu się nie znudzi. Pojawiła się też wciąż podszyta lękiem, ale zdecydowana myśl o ucieczce.

Następnego dnia rano Nanę spotkała niespodzianka. W ogrodzie zobaczyła dziewczynę, którą widziała w trakcie zdjęć do filmu pornograficznego. Po blisko dwóch miesiącach uwiecznienia mogła w końcu z kimś bez obawy porozmawiać. Nieznajoma dziewczyna była załamana. Siedziała przy stoliku i piła kawę. Patrzyła, jak Nana, w niebo.

Kiedy się zobaczyły, od razu poczuły do siebie sympatię. Nana usiadła i cicho szepnęła:

- Cześć. Jestem Nana Radwan.

- Wiem. Magda Ryś - odpowiedziała tamta. - Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem - odparła Nana. - Skąd wiesz, jak się nazywam?

- Z telewizji, gazet, Internetu - Magda popatrzyła bystro na Nanę. - Twój ojciec wynajął detektywów. Szukają cię. Twoje zdjęcie znają w tym kraju chyba wszyscy.

- Ciebie też porwali? - Pytanie Nany zabrzmiało wyjątkowo naiwnie. Mimo to Magda odpowiedziała.

- Kiedy wyszłam ze szpitala, podjechała taksówka, a ja, głupia, wsiałam do niej. Załatwili mnie paralizatorem. Potem dali mi coś do wypicia i teraz nic nie pamiętam...

- Tabletką gwałtu - szepnęła Nana. - Słyszałam o niej.

- Pewnie tak - potwierdziła Magda. - Nie jestem święta, ale na każdy numer nie chodziłam. Pokazali mi filmy, w których robię straszne rzeczy. Najgorsze, że niczego nie pamiętam. Oglądam film, jak mnie posuwają, i w ogóle tego nie czuję, rozumiesz? Żyłam sobie po swojemu, zarabiałam całkiem nieźle jako kelnerka, a teraz zostałam dziwką.

- Miałaś chłopaka?

- Dwóch - odparła Magda. - Jak się pokłóciłam z jednym, szłam do drugiego. Fajnie sobie żyłam, nie ma co... Byłam klasycznym singlem. Nawet mieszkanie sobie kupiłam na kredyt. Boże, w co za gównu wpadłam?

- Skąd jesteś?

- Teraz z Warszawy, ale przyjechałam z Garwolina. Mówiłaś, że mnie wczoraj widziałaś... Gdzie byłam?

- Wiesz... - westchnęła Nana. W tym momencie porwana kelnerka przekłęta pod nosem. - Stąd nie ma wyjścia.

- Wyjście zawsze jest - przerwała jej Magda. - Musimy stąd uciec.

- Ale jak?

- Może załatwić tego wielkiego?

- Oziego? - Nana spojrzała na swoją nową koleżankę z niedowierzaniem. - Jest strasznie silny.

- Jak dostanie w łeb czymś ciężkim, to nic mu nie pomoże - stwierdziła Magda. - Zabierzemy mu klucze i wyjdziemy stąd. Nawet nie wiem, gdzie jesteśmy. Byle trafić do ludzi...

- Nie dam rady - odpowiedziała smutno Nana. - Powiedzieli, że jeśli zrobię coś głupiego, załatwią mnie... Na razie przychodzi do mnie tylko jeden. Podobno mnie kupił.

- Musisz uciekać - pokiwała głową Magda. - Wcześniej czy później facet się tobą znudzi i wtedy popłyniesz tak jak ja. Teraz mam grać w filmach bez prochów. Zagrozili mi, że zrobią ze mnie sado-maso, jak będę brykać. Wiesz, ze zwierzętami, z chorymi, dziećmi... Do tego bicie i wszystko, co najgorsze. Też się boję, ale wolę zdechnąć, niż tu zostać.

- Jesteś odważniejsza ode mnie - głos Nany zdradzał rezygnację. Nalała sobie kawy i sięgnęła po rogalik z masłem. - I dużo twardsza. Gdyby mnie coś takiego spotkało, pewnie bym się zabiła.

- Głupia jesteś - zaśmiała się Magda. - Oni to mają gdzieś. Chodzi o to, żeby się stąd wydostać i powiedzieć o wszystkim policji. Inaczej będą to ciągnąć w nieskończoność.

- Nie boisz się, że mogą cię znaleźć i zabić?

- Boję się, ale będę walczyć. - Tym razem Magda powiedziała to o wiele za głośno. Na szczęście w pobliżu nie było ani Oziego, ani Toniego. Obie zamilkły na moment i wypily po łyku kawy.

- Brawo, brawo - usłyszały nagle za plecami głos Toniego. Klaskał w dłonie, szeroko się przy tym uśmiechając. - Jesteście naprawdę fajne, kiedy tak kombinujecie. Puszczę wam kawałek cholernie dobrego słuchowiska - Toni postawił na stoliku mały magnetofon cyfrowy i włączył go. Po chwili Nana i Magda usłyszały swoje głosy. Toni usiadł obok nich, zapalił papierosa. Wyraźnie delektował się ich zaskoczeniem i strachem.

- Podśłuchujesz nas - Magda ledwie to z siebie wydusiła. Nana patrzyła w ziemię i trzęsła się ze strachu.

- Zawsze, moje panie - zaśmiał się Toni i wypuścił kłęb dymu z ust. - Jestem z wykształcenia inżynierem i muszę być w formie. Poza tym, lubię wszystko nagrywać. A ty, moja droga, za godzinę startujesz ze zwierzętami. To kara za brak posłuszeństwa. Ostrzegalem cię...

- Jesteś zbrojcem - jęknęła Magda. Widać było, że zaczyna się poddawać i przestaje wierzyć w powodzenie ucieczki.

- Nie jestem - zaprzeczył Toni. - Ja tylko produkuję filmy. Niektóre co prawda dla zbrojców, jednak sam nie jestem zbrojcem. Taki biznes. A ty, jak będziesz dobrze pracować, dłużej pożyjesz.

- A jak nie? - Magda zdenerwowała się na moment i szybko tego pożałowała.

- Co byś powiedziała na kąpiel w ukropie? - głos Toniego nawet się nie załamał. - Z bliznami i bez języka długo nie pociągniesz. Powiedz tylko, że się zgadzasz, a nakręcę film i wypuszczę cię wolno. No więc?

Magda zeszytniała z przerażenia, a Nana zwymiotowała na trawnik. Toni wstał ze

wstrętem. Bez słowa położył na stoliku plik zdjęć ze zwierzętami i odszedł. W drzwiach pojawił się Ozi. Na łańcuchu prowadził jakieś zwierzę.

## ROZDZIAŁ 13

Rano obudził mnie telefon od Walewskiego. Wolałbym usłyszeć Susan, ale w najbliższym czasie chyba się na to nie zanosilo. Stary policjant poinformował mnie, że w Internecie ukazał się fragment filmu pornograficznego z udziałem Magdy Ryś. Dodał też, że dziewczyna musiała współżyć ze zwierzętami. Całość była już do kupienia na bazarach. Walewski, co zakrawało na cud, miał kopię i chciał mi ją pokazać. No, to się naoglądamy, pomyślałem nie bez irytacji. Sprawa zaczynała mnie denerwować. Forsę co prawda dostałem i zanosilo się na więcej, ale nadal błądziłem we mgle. Nana Radwan w każdej chwili mogła wypłynąć z rzeki jako ofiara jesiennej kąpieli.

Prysznic, golenie, polewanie twarzy wodą kolońską, zakładanie garnituru i jedzenie w pośpiechu płatków kukurydzianych z mlekiem przypominało przepisywanie zeszytu za karę. Ciągłe myślałem o Susan i wcale nie było mi do śmiechu. Dziewczyna mogła mnie olać na zawsze, a jej lądowisko zgłosić gotowość dla pilota innej eskadry. Musiałem jak najszybciej poderwać maszynę z ziemi, ale wciąż nie znałem trasy. Kiedy wsiadałem do subaru, zauważyłem kamerzystę, który najwyraźniej pomylił mnie z Bradem Pittem. Chłopie, opanuj się, moje życie prywatne jest w rozsypce, a konto dopiero ma się wypełnić. Co ci da kadr z udziałem nieudacznika? Mam co prawda ciekawe życie duchowe, ale o tym oczywiście nie możemy pogadać. Wjechałem na ulicę. Nadal byłem filmowany. Telewizyjny samochód dość niedyskretnie jechał za mną. W tylnym lusterku widziałem kamerzystę, który uwieczniał mój przejazd do biura. Wtedy zadzwonił Borg.

- Widzę ich - odezwał się jak zwykle inteligentnie. - Mam przeszkodzić?

- Dowiedz się, o co chodzi - zaproponowałem mniejsze zło.

- Zaraz zadzwonię - odpowiedział i wyłączył się. Nieźle. Teraz należało oczekiwać, że śledząca mnie ekipa telewizyjna trafi do ARCHIWUM X. Niech się stanie, skoro filmują mnie z ukrycia.

Po chwili przed samochód z logo stacji wepchnął się wielki, czarny jeep Borga. Nawet ja usłyszałem pisk opon, mimo to odjechałem i zaparkowałem spokojnie koło mojego biura.

Przed drzwiami zastałem Walewskiego z filmem. Machnął mi przed nosem płytą CD, jakby trenował przed występem w pantomimie. Od naszego ostatniego spotkania Walewski nic się nie zmienił. Weszliśmy do biura agencji i dopiero teraz dotarło do mnie, że Susan odeszła na zawsze. Nikt tu już nie sprzątał, nie podlewał kwiatów i nie odbierał telefonów. Nie było nawet na kogo popatrzeć. Gleba, powiedzmy otwarcie.

Walewski wziął się za parzenie kawy, a ja przejrzałem pocztę i włączyłem komputer. Rachunki do płacenia nigdy mnie nie cieszyły, ale tym razem gotów byłem je podrzeć i wyrzucić do kosza, a potem pójść do więzienia na sto lat, żeby było sprawiedliwie, psia mać. Rozsiadłem się w fotelu i sięgnąłem po zeszyt z adresami dwóch kandydatek odrzuconych w castingu na sekretarkę. Trzymajcie się, bałamutnice, batman powraca. Nagle w mojej kieszeni rozległ się dzwonek telefonu.

- Już po nich - odezwał się Borg.

- Mam nadzieję, że żyją - jęknąłem pełen obaw.

- Niestety, zgadłeś. Kochany tatuś - stwierdził Borg w zrozumiały jedynie dla siebie sposób. Na szczęście byłem przyzwyczajony do świrów i po chwili załapałem.

- Może nas sprawdza przez dziennikarzy - powiedziało mi się prawie odruchowo. - Widocznie detektyw Rudy to za mało.

- To na razie - pożegnał się Borg, dając mi do zrozumienia, że nie on tu jest od myślenia.

Film pornograficzny z udziałem Magdy Ryś był naprawdę mocny. Dziewczyna zachowywała się na medal, co dało mi wyobrażenie klasy reżysera. Pewnie stał nad nią z grzałką elektryczną i osobiście pokazywał, co trzeba robić, żeby było dobrze. Sprawa rzeczywiście stawała się gorąca jak obiad proboszcza. Poza tym Walewski patrzył na film, jakby szukał w nim kogoś z rodziny.

- Sami swoi, co? - rzuciłem przez ramię na wypadek, gdyby zaczął się o mnie ocierać.

- Widzi pan tego blondyna? - zapytał z powagą. - Chłopaki mówią, że już dawno go namierzyli. To nasz, Polak. Gra w takich gównach już ze cztery lata. Ma ksywę „Ogon”. Dwaj pozostali prawdopodobnie są na gościnnych występach. Jest podejrzenie, że to Niemcy...

- No, no, panie Walewski, dobry pan jest - pochwaliłem go. Niewiele brakowało, a w nagrodę rzuciłbym mu kość. - Czy możemy odwiedzić tego pana?

- Policja już go obserwuje - wyjaśnił. - Chcą zobaczyć z kim trzyma i co robi.

- Dasz mi znać, kiedy go zdejmą, OK? - mruknąłem rozczarowany. W taki oto wstrętny sposób mogłem stracić mój milion euro.

- Jasne, szefie - potwierdził. - Idę obwąchać miasto.

Wyszedł, a ja w przyływie tęsknoty wstałem i zrobiłem to samo. Gdyby mama była w pobliżu, pewnie bym do niej pojechał i poprosił o pogłaskanie po główce. Niestety, mama nadal przebywała w Stanach i, jak ją znam, cierpliwie uczyła tamtejszą ludność kultury. Spokojnie, krok po kroku, wyjaśniała im, że nie powinni prężyć mięśni, bo ich historia może być co najwyżej powodem do impotencji.

Zanim zamknąłem biuro, odsłuchiwałem automatyczną sekretarkę. Ludzie rzeczywiście się do mnie garnęli - gadali i gadali. Niewiele brakowało, a musiałbym zamówić kolację, ale cierpliwość się opłacała. Na jednym z nagrań usłyszałem głos Susan, która bardzo komunikatywną polszczyzną upominała się o swoją pensję. Owładnęła mną euforia - nigdy nie chciałem tak szybko pozbyć się forsy. Wybiegłem na ulicę i postanowiłem pojechać wprost do mojej byłej sekretarki. Może tym razem zgodzi się na rozmowę z inteligentnym mężczyzną? W końcu nie byłem już jej szefem. Jedno wiedziałem na pewno - przyszłość rodziny była w moich rękach.

Adres dziewczyny pamiętałem lepiej od własnego. Podjechałem na Hożą i szczęśliwie stanąłem obok parkomatu. Zanim wysiadłem z samochodu, polałem się wodą kolońską i obejrzałem w lusterku. Zdziwiłbym się, gdyby mój widok jej nie powalił. Chłopak jak malowany. Kiedy wchodziłem do klatki schodowej, usłyszałem windę. Zatrzymała się na parterze, a ze środka wyszli dwaj kominiarze z wielkim koszem. Musieli zebrać sporo sadzy, bo ich kosz pomieściłby ze trzy telewizory. Targali go jednak cierpliwie i z poświęceniem. Przy okazji obrzucili mnie ponurymi spojrzeniami, co mogło oznaczać, że nadchodziła burza. Nagle zdarzyło się coś, co kroniki policyjne odnotowują raz na milion lat. Kiedy mnie mijali, usłyszałem dochodzący z kosza jęk. Potem wszystko potoczyło się jak w westernie. Pierwszy z nich upuścił kosz i rzucił się na mnie z pięściami. Drugi był wolniejszy. Tylko dlatego zdołałem odskoczyć w stronę schodów. Gość wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i chciał mnie trafić w brzuch. Nim to jednak zrobił, wyszarpnąłem z kabury pod pachą pistolet i oddałem strzał. Brzuch za brzuch, klocek. Dwa naboje niepenetrujące trafiły naprawdę celnie. Facet odskoczył do tyłu jak kopnięty przez konia i zwinął się z bólu na podłodze. Drugi zamierzał uciec, ale nadział się na wbiegającego właśnie Borga. Wielki kominiarz kontra wielki antyterrorysta. Nawet nie zdążyłem obstarwić wyniku starcia, kiedy twarz bądź co bądź potężnego bandziora zamieniła się w keczup. Borg obejrzał postrzelonego bandziora i pożegnał mnie, rzucając od niechcienia:

- To by było na tyle...

Schowałem broń, zadzwoniłem na policję i zbliżyłem się do kosza. Ostrożnie



podniosłem wiklinową klapę. Jeśli ktoś wątpił kiedyś w ziemską sprawiedliwość, teraz mógł w nią uwierzyć. Na dnie kosza leżała związana taśmą Susan Smith. Była w szlafroku, co mogło oznaczać, że poprzedniej nocy ostro zabalowała i w dzień musiała to odespać. Patrzyła na mnie dziwnie - ani przyjaźnie, ani wrogo. Zadzwoiłem więc po pogotowie i zacząłem wyciągać ją z kosza. Nie szło mi dobrze, dopóki nie przeciąłem taśmy na jej rękach i nogach. Nóż fałszywego kominiarza okazał się bardzo przydatny. Kiedy zrywałem taśmę z ust Susan, do budynku wpadli policjanci, a chwilę potem lekarz pogotowia. Odsunąłem się, żeby każdy mógł się czymś wykazać. Obaj bandyci zostali błyskawicznie skuci kajdankami, a lekarz zajął się Susan. Był stanowczo zbyt młody i przystojny, bym go polubił. Zwijaj się, doktoru, bo mogę się zapomnieć, przeleciało mi przez głowę.

- Co brała? - zapytał doktor, patrząc w moim kierunku.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Tak ją znalazłem...

- Pan nas wzywał? - włączył się do rozmowy chudy policjant w stopniu sierżanta.

- Ja - potwierdziłem. W tym czasie lekarz i sanitariusz kładli Susan na noszach.

- Pan strzelał?

- Ja. Mam pozwolenie na broń...

- Poznaję pana z telewizji - uspokoił mnie policjant. - Broń muszę zatrzymać. Widzę, że jeden został postrzelony, a drugi zderzył się ze ścianą. Pojedzie pan z nami złożyć zeznania - zdecydował, mimo olbrzymiej sympatii do mnie.

Przypomniałem sobie, że kilka lat temu w tym właśnie miejscu kręciłem reportaż o szkołach podrywania. Kręciliśmy ukrytą kamerą facetów, którzy z powodu wrodzonej nieśmiałości wstydzieli się rozmawiać nawet z własnym psem. Ich zadanie polegało na tym, żeby poderwać na ulicy nieznaną dziewczynę i zaprosić ją do kawiarni. Jeden z uczniów, stary byk około czterdziestki, tak bardzo przejął się rolą, że zanim się odezwał, zemdlął dokładnie pod nogami dziewczyny, która najpierw wezwała pogotowie, a niedługo potem za niego wyszła.

Próba porwania mojej byłej sekretarki trochę niektórym w życiu namieszała. Bandziorów wzięli pod lupę jedni policjanci, mnie drudzy, a Susan zaopiekował się szpitalny personel. Kiedy w końcu skończyli mnie maglować, pojechałem sprawdzić, czy lekarze za długo nie badają mojego amerykańskiego marzenia. Na oddział dostałem się łatwiej, niż przypuszczałem - dziewczyna nie miała nawet ochrony. Pozdrowiłem panie pielęgniarki, ukloniłem się jakiemuś doktorowi i trafiłem do sali, w której leżało aż sześć kobiet. Wszystkie chore i mało pogodne. Susan leżała pod kroplówką i obojętnie patrzyła na krajobraz za oknem. Było się czym ekscytować - korony drzew robiły sobie chiński masaż, a

chmury bawiły się w policjantów i złodziei. Nadchodził wczesny wieczór. Susan usłyszała moje kroki i odwróciła głowę. Uśmiechnęła się. Wskazała ręką krzesło. Wyciągnąłem je spod łóżka i grzecznie usiadłem. Pozostałe panie udawały, że mnie nie widzą, ale i tak dobrze czułem na sobie ich świdrujące ślepie. Mimo woli podreperowywałem też ich słuch.

- Dziękuję - odezwała się Susan i dotknęła mojej dłoni. W tym momencie moje tętno mogło zagrać w *Gwiezdnych wojnach*.

- Co za to dostanę? - upomniałem się o swoje.

- Wszystko idzie na lepszy czas - Susan wypowiedziała to na tyle enigmatycznie, że mogłem sobie pomyśleć cokolwiek. - Dlaczego oni chcieli mnie zabrać?

- Policja ich przesłuchuje. Niedługo będę wiedział - wyjaśniłem, a moja dłoń ani o milimetr nie wysunęła się spod dłoni Susan. Z każdą sekundą czułem, jak coraz bardziej się zrastamy.

- Porwali mnie dla publicznej budowli? - Susan nie ustępowała. Czyżby myślała, że ktoś chciał wymienić ją na ministerstwo finansów? Policyjna krew - wszędzie wietrzyła korupcję.

- To możliwe - potwierdziłem. - Wszystkie ładne dziewczęta są ostatnio porywane do domów publicznych...

- Ale ja nie mam już dwadzieścia lat - stwierdziła na tyle nieprzekonująco, że musiałem natychmiast zareagować.

- Wyglądasz na jeszcze mniej - rzuciłem komplement, a kobiety na sali znacząco westchnęły. Nic z tego, zepsute babcie, żadnych figo-fago nie będzie.

- Co powiedzieli lekarze? - zapytałem, poprawiając kosmyk włosów Susan. Robiło się bosko. Brakowało tylko terminu ślubu.

- Chloroform - odpowiedziała przytomnie. - Otworzyłam drzwi i najechali na mnie...

Tak, tak, jak Niemcy na Polskę w trzydziestym dziewiątym, pomyślałem. W tym momencie zadzwonił Walewski i powiedział coś naprawdę optymistycznego. Obaj bandyci nie pamiętali, kto zlecił im porwanie i w jakim celu. Zakrawało na cud, że nie zapomnieli własnych imion. Mój współpracownik chciał sobie chyba pogadać, bo kontynuował, ale nic nowego mi już nie powiedział. Pożegnałem go więc naciśnięciem guzika w telefonie i odwróciłem się do Susan.

- Kiedy cię wypuszczą? - zapytałem, pochylając się w jej stronę bardziej, niż wypadało.

- Jutro może to być możliwość - odparła.

- Zadzwoń - poprosiłem, ale napięty byłem jak kandydat przed wyborami. Susan

widocznie to wyczuła, bo zamruwała powiekami jak lalka Barbie. - Przyjadę po ciebie...

- Pewnie będę czekać - szepnęła. Patrzyła na mnie tak, jakbym obiecał utrzymywać ją do końca życia. Anioł to był, nie kobieta. Anioł, który przybył do mnie z Ameryki.

W nocy obudziłem się zlany potem, miałem drgawki. Śniła mi się Susan w ubraniu Walewskiego i z mięśniami Borga. W dodatku raz po raz wyskakiwała z lodówki i gryzła mnie w szyję. Miałem wrażenie, że słyszę, jak chłepcze moją krew. Wstałem, zamknąłem okno i poszedłem do kuchni zaparzyć sobie herbatę. Twardy jak Chuck Norris to ja na pewno nie byłem. Uświadomiłem sobie, że dwaj zatrzymani porywacze wcale nie muszą o mnie zapomnieć i w dodatku mają kolegów. A zatem, witaj smutku. W każdej chwili mogłem spodziewać się zemsty. Popijałem herbatę, patrzyłem przez okno na uliczne latarnie i powoli się uspokajałem. Nie było ze mną tak źle. Powiedzmy, że miałem bardzo, bardzo małe jaja, ale jednak miałem.

Położyłem się przed czwartą. Obudził mnie dopiero dzwonek do drzwi. Poderwałem się trochę nieprzytomny, zebrałem myśli i poszedłem otworzyć. Niewiele brakowało, a na głos zacząłbym dziękować Bogu za tę niespodziankę. U drzwi stała Susan Smith i cierpliwie naciskała na dzwonek. Otworzyłem, a jakże, i to bardzo szybko. Moja Amerykanka po traumatycznych przeżyciach wyglądała nadzwyczaj dobrze. Płaszcz, sukienka i dekolt zostały dobrane chyba przez dyżurną pielęgniarkę. Kolory tkanin się żarły, ale Susan była w komplecie. Miała dwie ładne nogi w pończochach, co zakrawało na poszpitalną perwersję, kuperek owszem, owszem, dla takich konsumentów jak ja, szyję odsłoniętą na wypadek przyjazdu pogotowia i to coś, co pod dekoltem rywalizowało z Alpami.

- Wejdz, proszę - zachęciłem ją widokiem mojej nagości, o której po prostu zapomniałem. Zorientowałem się, kiedy z uwagą zaczęła przyglądać się moim skarbow. Wtedy uciekłem do łazienki, a ona, śmiejąc się, rozgościła się w mieszkaniu. Nigdy w życiu nie widziałem tak szybko dochodzącej do siebie rekonwalescentki. Wziąłem szybki prysznic, ogoliłem się i wyszorowałem zęby. Kiedy wyszedłem z łazienki, przypominałem Rzymianina. Biały ręcznik przewiązany na biodrach emanował uczciwością singla.

- Tu jestem - usłyszałem głos z sypialni. Potem wszystko odbyło się po bożemu. Ona otworzyła się na świadome macierzyństwo, a ja zapomniałem, że właśnie w taki sposób ludzie od tysięcy lat płodzili dzieci. Jeśli kroplówki tak działały na kobiety, to warto było coś takiego zainstalować w domu. Wystarczyło postawić stojak, podłączyć plastikową torbę do długiej rurki i wbić ukochanej w żyłę czystą igłę. W szufladzie przy łóżku zawsze powinien znajdować się preparat, który na takie leczenie pozwala. Poza tym lekarze domowi mogliby przy okazji ćwiczyć wypisywanie recept. Kapanie podłączałby człowiek swoim koleżankom

przynajmniej trzy razy w tygodniu, najlepiej po południu, a w weekendy dodatkowo zawsze rano, powiedzmy. Kap, kap, kap i oto przed drzwiami robotników z Teksasu, Manchesteru czy Zagłębia Ruhry stawałyby kandydatki na ucziwe kobiety. Bo, wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze, za niż demograficzny i upadek ludzkości ktoś jednak odpowiadał - natomiast goście tacy jak ja, szczerzy aż do bólu, zawsze byli gotowi do współpracy.

Potem włączyliśmy telewizor i zobaczyłem na ekranie portret pamięciowy porywacza Nany. W ten prosty sposób poranne programy udowadniały, że mogą się na coś przydać. Pomiędzy gotowaniem kapusty w studiu a gędzeniem o wszystkim i o niczym kryło się morze możliwości, w tym oczywiście prezentowanie rysopisów przestępców. Przystojna morda, nie ma co, pomyślałem z uznaniem. Teraz cię, zasańcu, zidentyfikujemy. Susan przyglądała się mi w milczeniu i udawała, że interesuje ją program w telewizji. No, no, szykowała się jedna z tych rozstrzygających scen pomiędzy kobietą a mężczyzną.

- Wiesz dlaczego jestem na tej miłości? - szepnęła, a ja o mało nie umarłem ze szczęścia. To tylko chemia, frajerze, chemia w twoim mózgu, ostrzegła mnie mądrzejsza część ja. Za pół roku panienka przestanie cię interesować, ale może już być za późno. Spasuj, stary, daj se siana, niech spływa do siebie i znów będzie pięknie.

- Zaskoczyłaś mnie - jęknąłem potulnie jak szczeniak. - Nie mam pojęcia, dlaczego do mnie przyszedłaś. Myślałem, że mnie nie lubisz...

- Mężczyzny są takie dzieci - skomentowała. - W ogóle nie rozumieć kobiety.

- Dobrze, że nie zapłaciłem ci pensji, bo pewnie byśmy się już nigdy nie spotkali - podzieliłem się z nią głęboką myślą. Susan spojrzała na mnie przeciągle, jakby chciała pokazać mi swój dyplom ukończenia podstawówki. Nie, błagam, tylko mi tu nie wyjeżdżaj z partnerstwem na całe życie. Wystarczy, że mama przypominała mi o tym od urodzenia. Susan jednak nadal patrzyła i trzeba przyznać, robiła to zbyt uparcie. Na pewno nie było to spojrzenie kobiety, która ma zamiar ugotować nam obiad lub opluć *Przeminęło z wiatrem*, o nie.

Uratował mnie dzwonek telefonu. Tym razem nie wstydzilem się nagości, a Susan z dziwną miną nadal patrzyła, jak stoję koło okna i rozmawiam. Tyle dobrego może sprawić jedno poranne bara-bara. Lekarze powinni zalecać taką kurację każdemu - dawkowanie: co najmniej raz dziennie. Oczywiście wszystko to na receptę i do realizacji od razu po badaniu, w aptece.

- Rozpoznała go jego nauczycielka - odezwał się Walewski, a ja prawie natychmiast wskoczyłem w spodnie. Kiedy podawał mi jej adres, zapinałem guziki od koszuli. Gdy nadmienił, że policja umówiła się z nią dopiero po południu, biegłem już po schodach,

udowadniając przy okazji, że produkcja wind jest nieopłacalna. Teraz Susan mogła sobie patrzeć, ile tylko zechce, ba, mogła przeszukać moje rzeczy i zrozumieć mnie dogłębnie. A więc do roboty, mała, ryj sobie w bambetlach, dopóki mnie nie ma. Potem była wymagająca próba silnika. W takich chwilach sportowe samochody przytulały się do człowieka bardziej niż banki. Telefon od Soni dopadł mnie na zakręcie.

- Jak zawsze? - zaczęła słodziutko, ale spóźniła się, zmija. Moje libido było już zaorane, a poletko pod zasiew przygotowywał ktoś inny.

- To koniec - odpowiedziałem obojętnie.

- Nawet bez zobowiązań? - nacisnęła chyba trochę zdenerwowana.

- Jestem z kimś - wyjaśniłem. - Swoją szansę już miałaś.

- Świnia - usłyszałem w słuchawce i piękna Sonia odpłynęła do innego świata.

Daleki Mokotów nie był wcale daleko. Zanim policja się zorientowała, że w mieście pojawił się nowy talent rajdowy, zaparkowałem subaru koło kolorowego apartamentowca. Po drodze poprawiałem pasek, sznurowałem buty i zakładałem marynarkę. Musiałem wyglądać co najmniej tak dobrze, jak mój dziadek na zdjęciach. Nauczycielki starej daty widziały więcej, niż chciałem, i musiałem się z tym pogodzić. Gdybym wypadł źle, starsza pani mogłaby ograniczyć swą uprzejmość do kawy i kilku zdawkowych informacji. A ja potrzebowałem całej biografii, jeśli chodzi o ścisłość.

## ROZDZIAŁ 14

Nana nie zdążyła obudzić się w porę. Kiedy zrozumiała, co się dzieje, było już za późno. W półmroku podłogowej lampki dostrzegła tylko wielką sylwetkę Oziego, który zwałił się na nią i dwoma szarpnięciami zdarł z niej koszulę i majtki. Był pijany i bełkotał. Dziewczyna próbowała się wyrwać, ale nie miała żadnych szans. Kiedy wydawało się, że dojdzie do najgorszego, nagle napastnik zwiotczał i po prostu usnął. Był zbyt pijany, aby kontrolować własne ciało. Nana z wysiłkiem wydostała się spod Oziego i przez chwilę zastanawiała się, co robić. Drzwi do jej pokoju były otwarte, a w zamku tkwił pęk kluczy. Zdecydowała się działać. Błyskawicznie założyła spodnie, sweter i adidasy. Wyjrzała na korytarz. Nie zobaczyła niczego niepokojącego. Wszędzie panowała cisza. Przekręciła klucz w zamku i zabrała ze sobą. Ostrożnie przekradła się wzdłuż zamkniętych drzwi, aż dotarła do pokoju Oziego. Na stole stało kilka opróżnionych butelek wódki, bochenek chleba i talerz z wiejską kiełbasą. Zauważyła telefon komórkowy, który szybko schowała do kieszeni. Pod ścianą znajdował się stos filmów pornograficznych, a na podłodze poniewierały się zdjęcia nagich dziewcząt. W kącie grał telewizor, a obok na kilku ekranach widać było jakieś pomieszczenia. Na jednym z obrazów Nana rozpoznała swój pokój. Porywacze mieli swoje ofiary na oku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Olbrzymi ochroniarz spał na jej łóżku, a z głośników dobiegało chrapanie. Gdyby wiedziała, że Ozi wychowywał się wśród alkoholików, złodziei i morderców, może poczułaby do niego odrobinę sympatii, ale nie miała o tym pojęcia i teraz zwyczajnie go nienawidziła. W pozostałych pokojach znajdowały się trzy dziewczyny. Wszystkie spały i były bardzo ładne.

Nana rozejrzała się i podeszła do regału z kilkoma szufladami. W najwyższej z nich znalazła pistolet. Bez zastanowienia wsunęła go za pasek do spodni. Otworzyła pozostałe szuflady i znalazła rolkę grubej taśmy klejącej. Zabrała ją i pobiegła z powrotem do swojego pokoju. Przestała odczuwać paraliżujący strach, za wszelką cenę chciała się wydostać z tego miejsca. Ozi nawet nie poczuł, że przywiązała mu do łóżka ręce i nogi. Owijała taśmę jak najmocniej. Mimo olbrzymiej siły Ozi nie miał szans się uwolnić. Kiedy zaklejała mu usta,

obudził się i próbował wstać, jednak szybko zrezygnował i ponownie usnął.

Nana założyła kurtkę i ruszyła korytarzem. Otwierała mijane drzwi i głośnym krzykiem budziła śpiące dziewczęta. Nigdzie nie było Magdy Ryś. Wyglądało na to, że została przewieziona w inne miejsce. Dwie dziewczyny biegły za Naną, inna została w pokoju, przykryła się kołdrą po szyję i niezrozumiale coś do siebie szeptała. Wyglądała na przerażoną i niezdolną do ucieczki. Nana podbiegła do wielkich drzwi z czterema potężnymi zasuwami. Odsunęła je jedną po drugiej i wybiegła przed dom. Wokoło panowały ciemności. W świetle księżycy widać było tylko zarys żwirowej drogi i wszechobecny las. Dziewczęta stały przez chwilę jak sparaliżowane. Myślały o swoich prześladowcach, o karze za ucieczkę i ewentualnym pościgu. Bały się zemsty Toniego i jego chorych pomysłów na kolejne fabuły filmów pornograficznych. Ofiary oddychały głęboko i z trudem podejmowały decyzje. W końcu dwie uwolnione Ukrainki złapały się za ręce i rzuciły biegiem w stronę najbliższych krzaków. Nie ufały drodze, wołały przedzierać się przez las. Nana zdecydowała się uciekać w stronę najbliższej szosy. Kiedy z wnętrza budynku doleciało do niej szczekanie psa, przestraszyła się i zaczęła biec.

Po pięciu minutach zatrzymała się, wyjęła z kieszeni telefon Oziego. Wystukała numer ojca. Czekala, aż odbierze.

- Halo, kto mówi? - usłyszała zaspány głos.

- Tato, to ja, Nana - zawołała i nagle zachciało jej się płakać. - Ratuj mnie... Uciekłam im. Nie wiem, gdzie jestem...

- Kochanie, uspokój się - Stefan Radwan starał się opanować sytuację. - Gdzie jesteś?

- W jakimś strasznym lesie - odpowiedziała i z lękiem rozejrzała wokoło. - Nikogo tu nie ma. Nie widzę żadnych świateł, pada deszcz i zbliża się burza... Tato, co mam robić? Oni mogą mnie szukać...

- Wiedzą, że uciekłaś?

- Jeszcze nie - odpowiedziała i spojrzała za siebie. - Jestem na jakiejś żwirowej drodze. Nie wiem, dokąd prowadzi...

- Idź tą drogą i postaraj się dotrzeć do szosy. - Ojciec najwyraźniej starał się nie okazywać zdenerwowania. - Na szosie na pewno złapiesz jakiś samochód. Najważniejsze, żebyś dawała wyraźne znaki... Gdyby nikt nie chciał się zatrzymać, idź tą szosą do najbliższych zabudowań. Wejdz do pierwszego z brzegu domu i zadzwoń na policję. Słyszysz mnie?

- Słyszę, ale boję się - wyszeptała. - Oni mają psy i mogą mnie znaleźć.

- Nie bój się. Już uruchamiam, kogo trzeba - uspokoił ją ojciec. - Pilnuj tylko komórki

i daj znać, jak będziesz wiedziała, gdzie jesteś...

- Dobrze, tato. Rozłączam się i idę, bo mi się telefon rozładuje. Zabierz mnie stąd, błagam.

Po godzinie marszu Nana zaczęła odczuwać zmęczenie. Na żwirowej drodze nie pojawił się żaden pojazd, a wokoło znajdował się tylko las. Dziewczyna nigdzie nie zauważyła nawet jednego światła. Wyglądało na to, że porywacze wywieźli ją na całkowite odludzie. Dopiero teraz Nana zrozumiała, że ucieczka z tego miejsca była niemalże niemożliwa. Pomyślała o dwóch Ukrainkach. Miała nadzieję, że zdołają uciec.

Powietrze było chłodne. Uciekinierka usłyszała w oddali nasilające się odgłosy burzy. Jesień pokazywała, na co ją stać. Nana wyrzucała sobie, że nie zapytała ojca, która jest godzina. W tym momencie do głowy jej nawet nie wpadło, że mogła to sprawdzić w komórce. Była zła, że nie zabrała Oziemu zegarka i nie poszukała żadnej mapy. Nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie ją przetrzymywano i co powie policji.

Burza rozszalała się na dobre. Deszcz siekł dziewczynę po twarzy, a spodnie i buty przesiąkły. Czowała, że zaczyna trząść się z zimna. Nagle zobaczyła w oddali światła samochodu. Zeskoczyła z drogi do lasu i przykucnęła. Nie miała wątpliwości. Tędy mógł jechać tylko jeden z porywaczy. Może Ozi uwolnił się jakimś cudem i wezwał Toniego? Na samą myśl o spotkaniu z Tonim robiło jej się słabo. Czarny jeep przejechał obok z dużą prędkością, a kałuża wody ochlapała twarz dziewczyny. Kierowca nie zauważył jej. Nana odczekała chwilę i rzuciła się biegiem przed siebie. Wierzyła, że po tak długim marszu za chwilę musi dotrzeć do szosy, gdzie może uda jej się zatrzymać jakiś samochód. W błysku pioruna zobaczyła przed sobą dwie sylwetki. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ci ludzie mieli ze sobą latarki. Byli jeszcze daleko, ale Nana wołała już teraz schować się głębiej w lesie. Snopy światła omiatały gęstwinię. Kogoś szukano. Domyśliła się, że Toni nie zadzwonił się o umówionej godzinie do Oziego i od razu kazał swoim ludziom zablokować cały teren. Wiedziała, że jeśli zabiorą ze sobą psy, to mimo deszczu szanse jej ucieczki zmaleją.

Ludzie z latarkami zbliżali się. Jednak widać było, że nie mają zamiaru wchodzić głęboko w las. Oni także klęli na pogodę i chcieli jak najszybciej znaleźć się w suchym pomieszczeniu. Nana przeczekała, aż się oddalą i ponownie wyszła na drogę. Zaczęła jak najszybciej biec przed siebie. Kiedy wydawało jej się, że widzi przed sobą zarys szosy, z krzaków wyskoczyła jakaś postać i złapała ją za kurtkę. Na szczęście materiał był mokry i śliski, więc ręka napastnika omsknęła się. Rozpoczął się pościg. Nana zapomniała o zmęczeniu i z całej siły usiłowała oddalić się od potężnego mężczyzny w skórzanej kurtce. Tamten jednak nie rezygnował i próbował ją podciąć. W końcu mu się to udało i dziewczyna



poturlała się po drodze na trawiaste pobocze. Gdy mężczyzna przydepnął jej nogę i pochylił się nad nią z latarką, namacała pistolet wetknięty za pasek od spodni, wyszarpnęła go i nacisnęła spust. Huk wystrzału złał się z piorunem, który uderzył gdzieś w pobliżu. Napastnik zachwiał się i lekko cofnął. Nana zamarła z przerażenia. Nie opuszczała ręki z pistoletem. Po chwili wielkie umięśnione ciało zważyło się na trawę tuż obok niej. Bez charczenia, widoku krwi i innych filmowych atrakcji. Wszystko ukryła burzowa noc.

Nana wstała i z pistoletem w dłoni wybiegła na szosę. Ani z jednej, ani z drugiej strony nie jechał żaden samochód. Zatrzymała się, schowała pistolet i wyciągnęła komórkę.

- Tato, ja musiałam go zabić - zawołała z płaczem do słuchawki. - On chciał mnie złapać...

- Kogo musiałaś zabić? - zapytał ojciec z niepokojem w głosie. Sytuacja robiła się coraz bardziej skomplikowana. - Kochanie, nic się nie bój. Zabiłaś kogoś w obronie własnej - uspokajał ją, jak najlepiej potrafił. - Kto to był?

- Jakiś mięśniak z latarką - wysapała z trudem. - Oni mnie szukają. Już wszystko wiedzą...

- Spróbuj się dowiedzieć, gdzie jesteś. - Tym razem jego głos brzmiał spokojnie. Stefan Radwan znów był jej kochającym ojcem i twardym biznesowym graczem, który przejmował inicjatywę. - Przylecę po ciebie helikopterem...

- Dobrze, tato. Jak znajdę tablicę z nazwą miejscowości, zadzwonię - odpowiedziała i ruszyła wzdłuż leśnej szosy. Znów zapomniała zapytać, która godzina. Obejrzała się i w oddali zobaczyła w ciemnościach światła latarek. Dwaj koledzy zabitego usłyszeli strzał i wracali w pośpiechu. Ona także zaczęła biec, modląc się o ocalenie. Na szczęście dla niej, na razie nie mogli jej zobaczyć. Kolejna błyskawica przecięła niebo, a deszcz zaczął padać z jeszcze większą intensywnością. W tym momencie obejrzała się i zobaczyła za sobą światła samochodu. Wskoczyła na środek szosy i zaczęła machać rękami. Po chwili zatrzymała się przed nią rozklekotana ciężarówka. Nana otworzyła drzwi i bez pytania wskoczyła do środka. Kierowca, łysy mężczyzna około sześćdziesiątki, popatrzył na nią jak na zjawę i pokręcił głową.

- Co to, panienko, życie ci niemiłe? - zapytał z charakterystycznym wschodnim akcentem. - Po nocy, sama, w taką burzę...

- Proszę mnie zawieźć na policję - odpowiedziała, dygocząc z zimna. - Zostałam porwana i uciekałam... Szybko, niech pan jedzie.

Kierowca spojrział w lusterko. Widocznie nie spodobały mu się światła latarek, bo mocniej nacisnął pedał gazu i gwałtownie ruszył. W kabinie ciężarówki było ciepło. Nana

poczula zapach swojskiej kiełbasy.

- Się pani częstuje. - Do jej uszu jak przez mgłę doleciał głos kierowcy. Ze zmęczenia omal nie usnęła. - W schowku są kanapki z kiełbasą i termos z herbatą.

Nana pokiwała głową i otworzyła schowek. Kanapki znajdowały się w foliowej torbie rzuconej na śrubokręt, zapasową żarówkę i starą gąbkę do wycierania szyb. Wyjęła termos i naląła sobie herbaty do zakrętki. Do tej pory nie miała pojęcia, że gorąca herbata może człowieka aż tak bardzo uszczęśliwić. Każdy łyk wydawał jej się czymś równie radosnym jak zabawa w chowanego z koleżankami w dzieciństwie. Sięgnęła po kanapkę i zaczęła jeść. Nie miała nawet czasu pomyśleć, że jeszcze niedawno brzydziłaby się wziąć ją do ręki.

- Dziękuję - odezwała się po zaspokojeniu głodu. - Która godzina?

- Dochodzi piąta - odpowiedział kierowca. Jego spojrzenie raz po raz kierowało się w lusterko. Widać było, że zaczyna się bać i jak najszybciej chce znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

- A gdzie jesteśmy?

- Gdzie jesteśmy? - Kierowca powtórzył pytanie, jakby nie do końca je zrozumiał.

- Chodzi o cel podróży. Dokąd jedziemy? - wyjaśniła Nana.

- A, dokąd jedziemy... - zreflektował się mężczyzna. Już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie poczciwiny, który niczego w życiu się nie dorobił, nikogo nie skrzywdził. - Do Mikaszówki jedziemy... Chleb tu rozwożę. Tam panienkę zostawię i zavezwiecie policję...

Nana wyjęła telefon. Po chwili usłyszała głos ojca.

- Tato, zaraz będę w Mikaszówce - zawołała do telefonu.

- Gdzie to jest? - Ojciec najwyraźniej był zaskoczony.

- Gdzie jest ta Mikaszówka? - Nana zwróciła się do kierowcy. - W jakiej części Polski?

- A no w Puszczy Augustowskiej. Przez Gruszki i Rudawkę i zaraz granica. Dalej już Białoruś... - Mężczyzna mówił coraz bardziej nerwowo i zerkał w lusterko. - Gonią nas. Przy pierwszej chałupie w Mikaszówce musi panienka wyskoczyć. Dalej ludzie pomogą...

- Tato, słyszałeś? - teraz i ona zauważyła w lusterku światła samochodu. Jeszcze był daleko, ale zbliżał się szybko. - Gonią nas. Zaraz wysiadam w Mikaszówce i schowam się u kogoś... Lecisz już do mnie?

- Właśnie wylatujemy - odpowiedział ojciec. - Zadzwoń za jakiś czas i powiedz, gdzie jesteś. Nic ci się nie stanie, kochanie. Nie bój się. Zabrałem ze sobą dwóch chłopaków z ochrony...

Nana rozłączyła się i przygotowała do wysiadania. Kiedy wjechali do wsi, kierowca

zatrzymał na chwilę samochód. Dziewczyna wyskoczyła. Podbiegła do najbliższego płotu i przez furtkę wbiegła na ganek. Tam schowała się za filarem. Ciężarówka ruszyła z piskiem opon. Deszcz przestał padać, burza przesunęła się na południe. Na dworze zaczynało się robić widniej, ale wiatr wiał nadal, a ciemne chmury przesuwały się niemalże nad dachami domów i wierzchołkami drzew. Obok domu w szaleńczym tempie przejechał czarny jeep. Kierowca, który go prowadził, najwyraźniej nie dbał o własne życie albo ślepo wierzył w szczęście.

W domu rozległy się kroki i ktoś zapytał:

- Kto tam?

- Nana Radwan. Proszę otworzyć. Trzeba wezwać policję - wyjaśniła, ale drzwi nie otworzyły się.

- A co się stało? - męski głos brzmiał staro, ale zaciągał tak samo jak kierowca ciężarówki.

- Porwali mnie, ale udało mi się uciec - Nana znów schowała się za filar, widząc nadjeżdżający samochód. Na szczęście nie był to czarny jeep. - Proszę otworzyć...

- Nie znamy cię, dziewczyno - odpowiedział mężczyzna z wahaniem. Nana słyszała, że za drzwiami był ktoś jeszcze, ktoś, kto właśnie coś szeptał.

- Jaki to adres? - dziewczyna zrozumiała, że traci czas. - Zadzwońcie tylko po policję...

- Zadzwonimy, a ty zostań na ganku - zdecydował mężczyzna.

- Tylko szybko, proszę... Niech pan szybko powie, jaki to adres?

- Ja powiem. - Za drzwiami odezwała się kobieta. Nana połączyła się z ojcem i drżącym głosem podała adres domu, w którym się schowała. Ojciec kazał jej tam zostać lub pojechać z miejscowymi policjantami na posterunek. Tam miał ją odnaleźć.

Po dwudziestu minutach przed domem zatrzymał się policyjny polonez i ze środka wysiadł młody plutonowy. Wyglądał tak solidnie jak płot przy szosie. Na twarzy posterunkowego rozgościł się trądzik, a gapowaty wyraz ust wskazywał, że nie był to as tutejszej policji. Podeszedł do Nany, zaszalutował i przedstawił się dokładnie tak, jak nauczono go na kursie. Dziewczyna wsiadła do jego samochodu i w skrócie przedstawiła mu sytuację. Wiózł ją powoli, a jego głowa wykonywała miarowe skinienia na znak, że wszystko jest jasne i zrozumiałe.

- Ma pan broń? - zapytała, mając złe przeczucia.

- Tak, bez obaw - uspokoił ją policjant. - Tutaj ludzie spokojni, a bandyci na pewno już dawno uciekli.

- Ale umie pan strzelać? - naciskała z coraz większym strachem w oczach. - Niech pan

jeszcze kogoś wezwie...

- Nie ma kogo, proszę pani. Tylko ja mam służbę, a komendant przyjedzie po dziewiątej... - uspokajał ją. - A strzelać nie trzeba, bo to nie western - pouczył ją.

Nana westchnęła i zamilkła. Rozglądała się, czy nie pojawi się gdzieś czarny jeep, ale szosa była pusta. Do czasu przybycia ojca była bezpieczna.

## ROZDZIAŁ 15

Można sobie wyobrazić, co czułem, kiedy rano kilka minut po czwartej zadzwonił telefon. Spałem właśnie wtulony we włosy Susan i potrzebowałem odpoczynku bardziej niż hutnik po nocnej zmianie. Po rozmowie z nauczycielką wiedziałem już kogo szukać, musiałem tylko zorganizować plan pościgu. Porywacz nazywał się Jerzy Tank i od samego początku był zakałą szkoły. Wychował się w domu dziecka, a więc o jakimkolwiek adresie rodziny nie było mowy. Nauczycielka dobrze go zapamiętała. Przyznała, że drugiego takiego ucznia nigdy nie miała. Chłopak był bardzo zdolny, ale pozbawiony ludzkich odczuć. Przede wszystkim nie potrafił nikomu współczuć. Nauczycielka, stara kobieta w koku, ujęła to jednoznacznie:

- Nie obchodziło go, co czuje bity kolega czy koleżanka. Zero empatii. Za to z lubością śledził awantury i domyślał się, że sam je wywoływał. W dodatku, znęcał się nad zwierzętami. Kiedyś zapytałam go, dlaczego to robi, a on odpowiedział, że po prostu tak mu się podoba. Powiedział dokładnie: „Taki jestem i takie rzeczy mi się podobają. Sam nie wiem dlaczego, proszę pani, ale uwielbiam je”. Do tej pory nie potrafię tego zapomnieć. Straszny chłopak, straszny. Potem usłyszałam, że został inżynierem...

- Tak, skończył studia, ale zajmuje się czym innym - potwierdziłem.

- Czym? - Stara nauczycielka zapytała o to chyba przez grzeczność.

- Został bandytą - odpowiedziałem cicho.

Po tym spotkaniu wiedziałem na tyle dużo, żeby nie mieć złudzeń. Jerzy Tank gotów był na wszystko. Tacy ludzie przez dziesięć lat potrafili mówić sąsiadom „dzień dobry”, aby pewnej nocy zamienić ich plecy w deskę do prasowania. Nie miałem wątpliwości, że Tanka trzeba odszukać sposobami, o których uczciwi ludzie wolą nie wiedzieć. Po omacku sięgnąłem do stolika stojącego obok łóżka i z trudem wymacałem komórkę.

- Mamy ją - usłyszałem głos Walewskiego. Czy ten facet nigdy nie kładł się spać?

- Kogo? - zapytałem i ziewnąłem.

- Nanę Radwan - odpowiedział mój budzik.

- Gdzie ona jest? - Tym razem obudziłem się już na pewno. Moja forsa odlatywała, a ja niewiele mogłem zrobić, żeby ją zatrzymać.

- Dostałem cynk, że stary Radwan leci po Nanę helikopterem do Mikaszówki koło Augustowa. Coś mi się zdaje, szefie, że nie mieliśmy szczęścia. Dziewczyna uciekła i przejęła ją miejscowa policja - skończył wyjaśnianie Walewski.

Gdyby nie śpiąca w moim łóżku Susan, prawdopodobnie otworzyłbym sobie żyły. Oto ja, jak zwykły frajer, miałem bujać się z marnymi kilkoma tysiącami euro, a cała reszta forsy zostawała z tatą i mamą. Nie tak miał smakować mój sukces, na pewno nie tak.

- A porywacz? - rzuciłem przez zęby.

- Na wolności - uspokoił mnie Walewski. - Dopóki jej nie przesłuchają, nie wiadomo, gdzie go szukać. No i kogo... Nasi, z Warszawy, już do niej jadą. Nic tam po nas.

- Jakiś problem, darling? - doleciał do mnie zaspany głos Susan. „Kochanie” miało oznaczać, że już do końca życia nabyłem prawo przynoszenia jej kawy do łóżka. Dobrze, co?

- Dziewczyna uciekła i jest bezpieczna. Radwan do niej leci, a policja właśnie obstawia teren Augustowa - odpowiedziałem z rezygnacją. - Inaczej mówiąc, przespałaś się z biedakiem. Cóż, sprawa wymknęła się nam spod kontroli.

- Niech się nie martw - szepnęła, przytulając się do mnie od tyłu. Była całkiem naga, więc rozmowa od razu zaczęła nam się kleić. Na plecach poczułem dwie mocno rozgrzane fajery i musiałem przyznać, że bardzo mnie to uspokoiło. Co miałem lepszego do roboty niż zacieśnianie więzów przyjaźni z piękną Amerykanką? Dziewczyna szybko zrozumiała, że nawet z największej biedy da się wycisnąć sporo przyjemności.

Przed siódmą oboje usnęliśmy, jak Bóg przykazał. Była to jedna z tych cudownych chwil, kiedy kołdra przestaje się liczyć mimo chłodnych powiewów wiatru wpadającego przez otwarte okno. Błogo spałem, nie zdając sobie sprawy z tego, że sprawa wyrwania Nany z rąk porywaczy wcale się nie skończyła. Niewidzialny Pan Scenarzysta postanowił wprowadzić do tej historii dodatkowe zawirowanie. Potem okazało się, że dzięki temu tylko ja spośród wszystkich zainteresowanych oszczędziłem na benzynie.

Było po dziewiątej i wydawało się, że poranna kawa zapowiada coś nowego w życiu moim i Susan. Kiedy wstałem, dziewczyna kończyła właśnie przygotowywać kanapki. Chodziła w moim szlafroku, ale reszta, nie powiem, była zadbana: włosy umyte, makijaż dopracowany, a paznokcie lśniące od lakieru jak szwedzkie panele. Podobała mi się coraz bardziej, a jej wcześniejszy opór uznałem za konieczny, bym mógł się w niej zakochać. Moja przewrotna męska natura sprzeniewierzyła się samej sobie i teraz gotów byłem chwalić nawet zakonnicę. Susan popijała kawę, zlizywała zmysłowo piankę z warg i udawała, że nie

zauważyła, że poły szlafroka już dawno się rozchyliły. Z amerykańskiej przyzwoitki zamieniła się nagle w nieobliczalnego, bezwstydneho wampa. Wyobraziłem sobie przeciagi, jakie panowały pod szlafrokiem, zakamarki i różnice temperatur, wołające o doświadczonego globtrotera. Moje ręce same rwały się do badania. Usiadłem w kuchni przy stole i wypilem łyk kawy. To było to. Człowiek miał wrażenie, że wciągnął krechę z napisem: „totalny fart”. Gały mi jeszcze wirowały z zachwytu, kiedy znów zadzwoniła komórka. Walewski roześmiał się do słuchawki, co mogło oznaczać, że facet albo zwariował, albo znów złapał wiatr w żagle. Odwróciłem wzrok od zgrabnych pośladków Susan, przestałem być monotematyczny, i zapatrzyłem się w okno.

- Szefie, porąbało się do kwadratu - zagał rozmowę Walewski. Jeszcze chwila i powie mi, że zaczął studiować matematykę w tartaku. - Nie mają jej...

- Panie Walewski, do rzeczy, proszę, do rzeczy - nacisnąłem go, a Susan usiadła naprzeciwko i w napięciu nie spuszczała ze mnie oczu.

- Ano chłopaki zajechali pod komisariat i znów dziewczynę porwali - kontynuował Walewski. - Związali jakiegoś młodego posterunkowego, wrzucili do bagażnika policyjnego poloneza i odjechali. Wszystko odbyło się bez jednego strzału. Nawet broń mu zostawili...

- Nie opowiada mi pan przypadkiem jakiegoś filmu? - zażartowałem, bo wyglądało na to, że Nana Radwan jest cenniejsza od brylantów.

- Głupia sprawa, ale to prawda - odpowiedział mój współpracownik. - Kiedy jej ojciec przyleciał do Mikaszówki, było już po ptakach. Żeby było weselej, to właśnie jej stary ze swoimi ludźmi znaleźli w bagażniku tego posterunkowego. Nasi z Warszawy przyjechali dopiero potem, a miejscowi z góry też się mocno spóźnili. Jak się panu to podoba?

- Bardzo mi się podoba - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Czuję, że nasze pieniądze są znów bezpieczne. - Susan uśmiechała się do mnie zza filiżanki z kawą. Świat nabrał kolorów. Zaczynałem wierzyć, że panna Radwan miała zapisane w genach, że z kłopotów może ją ocalić wyłącznie Artur Brandt, czyli ja. I niech tak zostanie.

- Coś jeszcze?

- Policja szuka miejsca, gdzie ją przetrzymywano, zarządziła blokadę dróg, ale jak znam życie, głównie z tego będzie - podsumował Walewski. - Tej nocy w okolicach Mikaszówki była burza i padał deszcz... Sam pan wie, że to spore utrudnienie także dla psów. Moim zdaniem powinien pan tu przyjechać. Mamy szansę znaleźć miejsce, gdzie przetrzymywano dziewczynę.

- My? - zdziwiłem się.

- Jeszcze przed policją - dorzucił Walewski. Stary grzyb dobrze wiedział, jak wkładać

rurę w tryby.

- Wsiadam i jadę - zdecydowałem. Susan pokiwała głową, co mogło oznaczać, że nie opuści mnie aż do śmierci.

Kochałem te nasze drogi. Zwężenia, dziury, wyboje i ostre zakręty non stop przypominały mi o życiu wiecznym. Odżywałem na krótkich odcinkach, tam, gdzie ktoś przez pomyłkę ułożył drogę równą jak stół. Przedzierałem się przez kolejne miejscowości w niekończącym się sznurze samochodów. Był tak długi, że można się było na nim powiesić. Susan siedziała obok mnie i cierpliwie trzymała na kolanach mapę. Umówiłem się z Walewskim w Mikaszówce. Miał tam czekać z najnowszymi informacjami na temat pościgu za porywaczami. Kiedy przejechaliśmy przez cudowny Augustów i znaleźliśmy się na szosie prowadzącej przez las do granicy z Białorusią, miałem już gotowy plan działania. W tej sprawie coś śmierdziało i musiałem to wyjaśnić. Instykt podpowiadał mi, że powinienem działać niekonwencjonalnie. Licencja detektywa, układy z policją i korporacją były ważne, ale nie załatwiały wszystkiego. Przyszła pora na oddychanie usta-usta, inaczej panna Radwan wykona numer ze znikaniem i moje honorarium szlag trafi.

Mikaszówka była bardzo przyjemną wsią. Na pierwszy rzut oka przypominała sąsiada z własnej woli fundującego nam codzienny masaż. Zatrzymałem się przed domem, w którym Nana Radwan znalazła pomoc. W ogródku siedział Walewski i dwoje starszków. Popijali kawę w szklankach i jedli pączki - żelazny zestaw amerykańskich policjantów i ludzi w stresie. Zaparkowałem samochód na poboczu i dopiero wtedy poczułem zmęczenie. Zdarzenia rozgrywały się tak szybko, że nie miałem czasu na solidny wypoczynek. Wiejskie domy tańczyły wokół swój odwieczny chocholi taniec. Odbijały w sobie jak w lustrze takie same dachy, takie same ściany, takie same okna i takie same piętra. A może to tylko ja niedokładnie wszystko widziałem? Walewski wstał i przywitał się z nami bardziej niż serdecznie. To dzikie miejsce musiało go nastrajać prorodzinnie, bo o mało nas nie wycalował. Przedstawił też dwoje starszków i zostaliśmy zaproszeni do stołu.

- To jest pani Sierpcowa, a to pan Sierpiec - wskazał ręką gospodarzy. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Zapachniało szarlotką.

- Zrobię kawy - odezwała się pani Sierpcowa i zniknęła w domu. Jej mąż patrzył na mnie nieufnie. Przypuszczam, że miał swoje powody. W końcu urodziłem się po wojnie i w dodatku w stolicy. Susan usiadła przy stole i przyglądała się sunącym po niebie chmurom. Na szczęście nie padało i nie zanosilo się na to.

- Pan Sierpiec utrzymuje, że nic nie widział - stwierdził Walewski i siorbnął łyk kawy.  
- A ja myślę, że patrzył przez okno i na pewno coś wie, ale boi się nam o tym powiedzieć.



- Proszę się nie bać - zacząłem ostrożniej od akuszerki. - Wszystko, co nam pan powie, zostanie między nami - uspokajałem staruszkę, ale chłop swoje wiedział. Musiałem się z nim jakoś zbratać, co nie wyglądało wcale optymistycznie. Duży był, żyłasty i przygarbiony. W westernach grywałby dzielnych dziadków z giwerami długimi na co najmniej półtora metra.

- Przejdźmy się, panie Sierpiec - zaproponowałem. - Pokaże mi pan okolicę, dobrze?

- Ano pokażę - odparł łaskawie gospodarz i w ten oto prosty sposób znaleźliśmy się na poboczu szosy. Samochody jeździły tu rzadziej niż w Warszawie, co sprzyjało rozmowie. Szliśmy wzdłuż szosy, a ja zastanawiałem się, czy dziadek jest miejscowym bystrzaczą, czy też nie.

- Potrzebuję pomocy - kontynuowałem. - Inaczej zginie pewna dziewczyna. Ma dopiero dwadzieścia lat - skłamałem.

- Co mam powiedzieć? - zapytał przytomniej niż przy stole.

- Wszystko, co się panu rzuciło tutaj w oczy - odpowiedziałem. - Może jacyś ludzie, samochody, może zapisał pan numery rejestracyjne... wszystko może być ważne. Nie jestem z policji i nie spisuję zeznania. Pan mi pomaga, a ja o panu zapominam. Zgoda?

- A skąd pan wie, że coś wiem? - Oj, panie Sierpiec, spryciarz z pana, pomyślałem.

- Czuję to - zażartowałem, ale chłop nawet się nie uśmiechnął. Kombinował i - powiedzmy szczerze - dobrze to o nim świadczyło. Teraz byłem już pewien, że wie dużo więcej, niż chce powiedzieć.

- Coś tam może pamiętam - zaczął ostrożnie. - Wie pan, ciężko tu się żyje. Człowiek jest stary i nie może już sobie dorobić...

Wyjąłem z kieszeni dwieście euro, nachyliłem się i wyciągnąłem do Sierpca rękę. Niech wie, że są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

- O, zgubił pan dwieście euro - zawołałem z radością. Staruszek dopiero teraz rozchmurzył się. Pieniądze zniknęły w jego wielkiej dłoni i obaj poczuliśmy nagle bardzo bliską więź. Minął nas jakiś turysta na rowerze i miejscowy autobus, który bił właśnie rekord świata w wydzielaniu spalin. Mogliśmy kontynuować rozmowę.

- Wie pan, człowiek na stare lata nudzi się i coś ze sobą musi robić. - Pan Sierpiec rozkręcał się. - Mam lornetkę od syna, niemiecką, to mogę sporo zobaczyć. Wychodzę sobie na stryszek, gdzie jest wybite okienko i patrzę... Tą dziewczynę też widziałem, chociaż ciemno było. No, ten samochód...

- Jaki? - wtrąciłem cicho, dla podtrzymania kontaktu.

- Czarny, duży, z drzwiami - wyjaśnił mi czarno na białym. Mógłbym przysiąc, że

znalezienie tak charakterystycznego samochodu zajmie mi tylko minutkę. - Jeep - dorzucił i błysnął ślepiami z zadowoleniem.

- Na pewno? - zawahałem się, bo skąd dziadek mógł znać się na samochodach.

- Syn przywozi mi kolorowe gazety i zapłacił za prenumeratę na rok z góry - uspokoił mnie. - Znam się na tym, panie detektywie... To na pewno jeep. Amerykański „irokez”, głowę daję... Widziałem dobrze.

Po naszej pogawędce znałem już markę samochodu i kawałek numeru rejestracyjnego. Staruszek nie zanotował całego, bo padało i mimo dobrej lornetki nic więcej nie mógł dostrzec. Dobrze i to. W końcu żaden horoskop nie mówił, że będę miał dzisiaj szczęście i trafię na miejscowego szpiega numer jeden. Ten mieścił się w pierwszej dziesiątce i też był powodem do radości. Pan Sierpiec zapamiętał, że widział podejrzany samochód w tej okolicy wiele razy. Raz nawet koło sklepu przyjrzał się kierowcy. Wyglądało na to, że tylko centymetry dzieliły go od schwytania poszukiwanego Jerzego Tanka. Czasami za kierownicą siedział inny mężczyzna, o którym staruszek powiedział, że „córki by mu nie oddał”. Domyśliłem się, że porywacz miał na tym terenie swoją kryjówkę i tam przetrzymywał Nanę Radwan. Pozostawało sprawdzić plan zabudowy najbliższego terenu i wskazać palcem odpowiedni budynek. Ostatnie pytanie, jakie zadałem państwu Sierpcom brzmiało:

- Kto na tym terenie kupuje najwięcej ziemi?

Dwie godziny później byłem po spotkaniu z sołtysem, który lepiej znał się na mapach niż uprawie ziemi. Pokazał mi miejsca nieodwiedzane nawet przez miejscowych, rozciągające się na bardzo rozległym terenie. Sołtys wypił przy mnie dwa kieliszki rosyjskiego koniaku, pochwalił się liczbą hektarów, jakie w ostatnim czasie kupił, i poprosił, żebym go zawiadomił o schwytaniu porywacza. Facet przypominał beczkę na kapustę - był niski, gruby i odruchowo chował głowę w barki. Wyglądało na to, że jego dziadkiem był struś. Kiedy mówił, z jego paszczy wydobywał się dźwięk podobny do zapiewania chóru kościelnego. Przy tym przeciągał głoski, jakby go podłączyli do radia. Poinformował mnie również, że o żadnym Jerzym Tanku nie słyszał. Na początek wybrałem dom, który został wybudowany w środku lasu, bo właściciel miał układy polityczne. Jego nazwisko nic mi jednak nie powiedziało.

Jechaliśmy żwirowaną drogą, by sprawdzić moje podejrzenia. Tym razem Susan siedziała z tyłu, a Walewski obok mnie. Policyjny emeryt szykował się chyba na trzecią wojnę światową, bo wyciągnął spluwę i dokładnie sprawdził magazynek. O aktualne badanie wzroku wołałem go nie pytać. Żwirowa droga ciągnęła się w nieskończoność. Szukałem na niej jakichś śladów, ale bezskutecznie. Wreszcie wyłonił się przed nami olbrzymi, parterowy dom. Na powitanie nikt nie wyszedł, nie zaszczekał nawet pies. Wokół było pusto i cicho.

Doskonałe warunki, żeby leczyć ludzi chorych na nerwicę. Susan westchnęła z podziwem na widok posiadłości, a Walewski zareagował w typowy dla byłych komunistów sposób - wyciągnął i przeładował broń.

- Idziemy razem - przejął dowodzenie. - Trzymajcie się z tyłu. Jakby co, to na ziemię...

Ciekawe, co ten cwaniak miał na myśli? Ruszyliśmy jednak grzecznie za nim, bo zapowiadało się, że po drodze będzie kuchnia i coś do zjedzenia. Najpierw obejrzelśmy dom z zewnątrz. Obeszliśmy go naokoło. Trzeba przyznać, że wysiłek był porównywalny z wejściem na urodziny prezydenta. Wszędzie było przestronnie i ładnie, poza fragmentem muru, który ogradzał całkiem sporą część domu. Trzymetrowe ogrodzenie było co prawda schowane wśród drzew i krzewów, ale mimo to człowiek zaczynał tęsknić za co najmniej jednym czołgiem. Wróciliśmy pod drzwi i zapragnęliśmy zwiedzić wnętrze. Dopiero teraz zauważyłem kamery ukryte w specjalnych wnękach w murze budynku. Powiedzmy otwarcie, wszystko było tu przygotowane do pilnowania dzieci. Ktoś w środku miał możliwość obserwowania całego terenu wokół domu.

- Wchodzimy? - Nie miałem pojęcia, że Susan aż tak bardzo interesowała się architekturą.

- Zamknięte, a drzwi wyglądają na mocne - stwierdził Walewski.

- Okna? - poddałem myśl, w którą sam nie wierzyłem.

- No i alarm... - kontynuował pesymistycznie. - Na pewno podłączony, bo inaczej byłyby tu tylko cegły...

- To jest klucz - zawołała nagle Susan. Przez chwilę myślałem, że kręcimy kolejny odcinek *Mody na sukces*. Moja kochanka rzeczywiście trzymała w ręce klucz i nic nie wskazywało na to, że ktoś rzucił go jej z okna.

- Żartujesz, prawda? - upewniłem się na wszelki wypadek. Lanca jedna roześmiała się i zanim zdołałem ją powstrzymać, otworzyła drzwi i wbiegła do środka. Już słyszałem wycie alarmu i przygotowywałem się na kopniaka w krocze, ale jak się okazało, system był wyłączony. Po chwili Susan wyjrzała ze środka, jakby chciała nas skaptować do sekty.

- Nie chcecie wizyty? - zapytała zdziwiona.

Nie odpowiedzieliśmy, bo nie spodobało się nam pytanie. Weszliśmy do środka i od razu wszystko stało się jasne. Po zwiedzeniu całego domu mogliśmy stwierdzić, że porywacze ulotnili się stąd ostatniej nocy, a cały przybytek był po prostu ekskluzywnym burdelem. Najważniejsze pokoje zostały wyposażone w wygodne i drogie meble, łazienki mogły konkurować z tymi w Kuwejcie, a sprzęt audio i video zachęciłby do współpracy

nawet Hollywood. Na pierwszy rzut oka wnętrze i wyposażenie zatykało dech w piersiach. Korytarz przypominał rurkę z kremem. Innymi słowy, miękko tu było, puszyście, słodko, intymnie, cicho i bezpiecznie. Goście mogli ocierać się o siebie aż do pierwszej krwi i nikt nie miał prawa się o tym dowiedzieć. Gdybym lobbował za jakąś ustawą, to właśnie tutaj przywoziłbym wycieczki z parlamentu, fundował panom grzańca, wkładał termofor do łóżka i okładał dziewczynami gorącymi jak lawa. Spodobał mi się też system potajemnego nagrywania rozmów i obrazu. Dzięki temu w każdej chwili jakiś obcy wywiad mógł od nas zażądać oddania połowy stolicy, połowy kraju i połowy mieszkania, dajmy na to, na dziesiątym piętrze w Gdańsku.

Kiedy natrafiliśmy na ślady krwi na podłodze, Walewski zadzwonił po policję. Nasza rola była skończona.

## ROZDZIAŁ 16

Nana obudziła się z bólem głowy i uczuciem zagubienia. Przypomniała sobie, że została odbita z rąk policji i wywieziona w bagażniku jakiegoś małego samochodu. Nie wiedziała, gdzie się znajduje i nie miała kogo o to zapytać. Rozejrzała się po pokoju i zadrżała. Wokół łóżka z baldachimem stał sprzęt filmowy, a na ścianach wisiały plakaty z Robertem de Niro, Bradem Pittem i Penelopą Cruz. Pomiędzy nimi umieszczono portrety Felliniego, Antonioniego i Spielberga. Ktoś najwyraźniej miał poczucie humoru albo niezwykle poważnie traktował swój zawód. Cała sypialnia przypominała starannie zaprojektowaną scenografię do filmu kostiumowego. Dziewczyna przestraszyła się i pomyślała, że stało się najgorsze. Została prawdopodobnie wykorzystana. Była całkiem naga, a na ciele miała sporo siniaków. Wyobraziła sobie, że filmy pornograficzne z jej udziałem już krążą w sieci, a ona nie ma nawet pojęcia, co na nich widać i słyszać. Niewiele pamiętała, ale jej wiedza o perwersyjnych pomysłach Toniego wystarczała, żeby pomyśleć o popełnieniu samobójstwa. Bała się reakcji przyjaciół, rodziny i obcych ludzi, koleżanek i kolegów z uczelni, sąsiadów z ulicy, wykładowców, a nawet sprzedawców w sklepie. Jej inteligencja wcale nie ułatwiała zadania. Podpowiadała jedynie niezliczone możliwości kompromitacji, skąd blisko już było do wymiotów z poczucia całkowitej przegranej. Jeśli tak miał wyglądać koniec świata, to większość ludzi nie miała pojęcia, co ich czeka. Bezsilność i poczucie całkowitej nagości, absolutnego odarcia z intymności, oznaczały coś znacznie gorszego niż śmierć. W takiej sytuacji Nana nie wyobrażała sobie życia. Pozostała tylko nadzieja, że ominęło ją najgorsze, że bandytom jeszcze na niej zależało.

Przypomniała sobie, że policjant, który ją zabrał na miejscowy posterunek, został zaatakowany dokładnie w chwili, gdy wysiadł ze służbowego poloneza. Czarny jeep podjechał tak szybko, że ani policjant, ani Nana nie zdążyli zareagować. Napastnicy byli uzbrojeni, a ich twarze zakrywały kominiarki. Posterunkowy dostał kolbą w głowę i zanim doszedł do siebie, został związany taśmą. Nana chciała uciekać, ale zobaczyła otwór lufy pistoletu i zamaskowaną twarz. Bandyta szybko otworzył drzwi samochodu, po czym złapał

ją za kołnierz od kurtki. Po kilku sekundach dziewczyna znalazła się w jeepie, gdzie włali jej do gardła jakiś sok i związali taśmą. Zdążyła tylko zauważyć, że młodego posterunkowego upchnęli w bagażniku poloneza. Sytuacja przed miejscowym posterunkiem na pierwszy rzut oka wyglądała normalnie. Nagle Nana poczuła, że zaczyna tracić nad sobą kontrolę. Zapamiętała jeszcze, że po krótkiej jeździe wrzucili ją do ciasnego bagażnika innego samochodu i urwał jej się film.

- Jak się czujesz? - usłyszała nagle głos od strony drzwi. Tak uprzejmy był tylko Toni. Zbliżał się do niej w ciemnym garniturze, błękitnej koszuli, kolorowym krawacie i oryginalnych butach z długim czubem. Elegancki według własnych standardów, jak powiedziałyby o nim pani Radwanowa. Nana zauważyła, że porywacz założył okulary w grubej oprawie i przefarbował włosy na blond. Doskonałego kamuflażu dopełniały broda i wąsy.

- Wypuście mnie? - odpowiedziała pytaniem i zakryła się kołdrą. Nigdzie nie zauważyła swojego ubrania.

- Pod warunkiem, że się zestarzejesz albo zrobisz brzydka - zaśmiał się i usiadł na stylowym fotelu obok łóżka. - Wiesz, że zabiłaś jednego z moich ludzi?

- Broniłam się - odpowiedziała, ale czuła, że dawny strach przed Tonim powracał.

- Dlatego właśnie musiałem cię ukarać - kontynuował porywacz. Wstał i podszedł do telewizora stojącego na przesuwanym stoliku. - Pokażę ci coś ciekawego...

Włączył magnetowid. Nana zobaczyła siebie na ekranie. Potem było tylko gorzej. Toni pokazał jej film pornograficzny, w którym zagrała główną rolę. Patrzyła na przewijające się sceny i nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób do tego doszło. Partner na ekranie zabawiał się z nią z wielkim entuzjazmem, a ona, i to było najgorsze, nie wydawała się z tego powodu pokrzywdzona. Ba, całowała go i to bardzo namiętnie. Poza tym wykonywała wszystkie polecenia i sama również je wydawała. Film był tak wyuzdany, że dziwiła się, dlaczego jej serce jeszcze nie pękło ze wstydu. Nie odrywała wzroku od ekranu telewizora. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Czuła się tak, jakby ktoś wstrzyknął jej lód do żył. Toni obserwował to wszystko z uśmiechem i od czasu do czasu z zadowoleniem pomrukiwał. Nana zaczerwieniła się, spuściła wzrok. Jednak stało się najgorsze, pomyślała zrezygnowana.

- Ładny film, prawda? - zapytał Toni, wyłączając telewizor. - Gorąca instrukcja, jak się kochać, żeby nie było nudno. Oscar murowany... - zaśmiał się cynicznie. - Tytuł tego cacka też jest fajny: *Nagrzana laska*. Na razie to tylko ostrzeżenie, bo może być jeszcze gorzej. Wiesz, co jest w tym wszystkim dobre? Oszczędziłem cię. Masz potencjał, ale trochę się pogubiłaś, kochanie. Dlatego dostałaś kolejną szansę.

- Nie rozumiem... - wyszeptała. To „kochanie” zabolęło ją jak uderzenie w twarz.

- Nie udawaj, że nie zauważyłaś, że facet jest przystojny i obchodził się z tobą raczej romantycznie. - Toni uśmiechnęła się szeroko. - Nie zaraził cię niczym, założył prezerwatywę... Mam u ciebie dług, mała. Mogłem wybrać kogoś dużo gorszego i z aidsem. Co ty na to?

- Co zrobięś z filmem? - zapytała.

- Jeszcze nic. To jest moja polisa na ciebie - odpowiedział i zapalił papierosa. - Jeśli jeszcze raz spróbujesz brykać, to wpuszczę film do internetu. Zrobię ci reklamę i zostaniesz jeszcze jedną gwiazdą... - zakończył z przekąsem, patrząc za okno i puszczając kółka z dymu.

- Czego ode mnie chcesz? - Nana zrozumiała, że musi zacząć pertraktować. Wróciła nadzieja. Jeszcze nie było za późno.

- Nic się nie zmieni. - Toni wyraźnie się ożywił. - Klient nadal chce cię na wyłączność, dobrze płaci, a więc nie ma co kombinować. Na razie należysz do niego. Musisz jednak pamiętać, że jeśli powiesz mu o tym filmie, może stracić na ciebie ochotę...

- On nie wie, że uciekłam?

- Jesteś bardzo naiwna - ocenił Toni. - Facet cię wybrał, bo zależy mu na wyłączności. Towar przechodzony w ogóle go nie interesuje. Mam klientów, którzy nie ruszają zwykłych dziwek. A więc wszystko w twoich rękach, mała. Jak chcesz, to mu powiedz...

- Dlaczego nie chcesz pieniędzy mojego ojca? - zapytała, zapominając na chwilę o strachu i obrzydzeniu do samej siebie. - Jest bardzo bogaty i na pewno za mnie zapłaci.

- Nie rozumiesz, że większe pieniądze mogę zarobić na klientach? - odparł Toni, pochylając się w jej stronę niczym zawodowy negocjator. - Jesteś tak ładna, że zawsze będzie na ciebie zapotrzebowanie. To interesy, nic więcej.

- Chcesz mnie tu trzymać?

- To duży dom, otoczony murem - wyjaśnił z lekką niecierpliwością. - Przed murem jest siatka, w której płynie prąd. Mówię ci to na wypadek, gdybyś jednak spróbowała uciec...

- Chciałabym mieć telewizor i gazety - wtręciła. Spojrzał na nią ciepłej, pokiwał głową. Wstał i zgasił papierosa w popielniczkę.

- Załatwione. Możesz też sobie wybrać ubrania. Katalogi są pod łóżkiem. Zależy mi, żebyś dobrze się tu czuła. Dzisiaj przyjedzie twój klient, przygotuj się.

- Ozi tu jest? - zapytała z lękiem.

- Oziego już nie ma - odpowiedział zimno Toni. - Popełnił błąd i musiał za to zapłacić. Zajmie się tobą pani Natasza. Wystarczy, że naciśniesz dzwonek zamontowany koło łóżka.

- Są tu inne dziewczyny?

- Bywają, ale krótko - Toni zaśmiał się upiornie.

- Dlaczego krótko? - Nana nadal kulila się pod kołdrą. Porywacz poprawił okulary i przybrał aktorską pozę.

- Jak wyglądam? - zapytał nagle. - Lepiej?

- Inaczej - odparła ostrożnie Nana. Wyczuwała, że jej prześladowca to narcyz, którego nie powinna drażnić. - Nie jest źle...

- To dobrze - ucieszył się. - Z gazet dowiesz się, że mnie szukają. Musiałem się trochę upiększyć, sama rozumiesz. Co do innych dziewczyn, mogę ci tylko powiedzieć, że niektórzy klienci zabierają je do siebie na zawsze...

- Żenią się z nimi? - zdziwiła się, a jednocześnie uwierzyła, że jednak istniało jakieś wyjście z tego labiryntu.

- Można tak powiedzieć - potwierdził cynicznie Toni. Podeszedł do wyjścia i pokazał palcem szafę ze stylizowanymi drzwiami w ścianie. - Tam są twoje ubrania. Łazienka jest w drugim pokoju. O ile się na tym znam, teraz weźmiesz prysznic, bo bardzo się siebie brzydzisz, prawda? Tak robią w filmach wszystkie dziewczyny.

Toni wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Zupełnie jakby nie miał wątpliwości, że Nana zaakceptowała wszystkie jego warunki i pogodziła się z losem. Dziewczyna rozejrzała się i w rogu pokoju zobaczyła tylko jedną kamerę. W porównaniu z poprzednim miejscem, w tym było o wiele przyjemniej. Nawet szafa w ścianie zachęcała do zakupów. Wyglądała na bardzo pojemną. Nana odsunęła szklane drzwi i zajrzała do środka. Właściwie była to garderoba, a nie szafa - dużo półek, wieszaków, szuflad. Nie miała wątpliwości, Toni powinien odczuć jej upokorzenie także w kieszeni. Dlatego postanowiła zamówić ubrania zgodnie z marzeniami projektantów. Jeden z kolorowych magazynów leżał na stoliku i wabił wspaniałym światem barw, faktur, fasonów. Tylko okładka pozostawiała wiele do życzenia. Widniała na niej znana dziennikarka telewizyjna o urodzie świnki Piggy. Ani twarz, ani figura tej pani nie były prawdziwe - fotograf zastosował komputerowy retusz, po którym nawet gnojowisko wyglądałoby na jumbo jeta.

Nana powoli uspokajała się i zaczynała myśleć racjonalnie. Wiedziała już, że wyłącznie od niej będzie zależało, czy zakochany w niej klient zechce ją stąd wydostać. Może jednak istniała cena, za którą Toni byłby gotów wyrzec się jej? Musiała się tylko bardzo postarać. Tak, żeby tajemniczy mężczyzna nie mógł bez niej żyć, żeby uwierzył, że mogą być razem i pozwolił się zobaczyć. Zadanie było trudne, ale wykonalne, pomyślała, lekko uśmiechając się.



## ROZDZIAŁ 17

Nie ma nic piękniejszego niż pomysł, który pozwala człowiekowi wygrywać. Po przygodach w Puszczy Augustowskiej wróciliśmy z Susan do Warszawy, a ja umówiłem się na rozmowę w cztery oczy z Walewskim. Gość nie przypuszczał nawet, że umysł byłego dziennikarza śledczego mógł być dla każdego policjanta i detektywa niczym wzorzec z Sevre. Mój umysł, oczywiście. Byłem z siebie tak zadowolony, że po drodze śpiewałem w samochodzie piosenki Roda Stewarta. Susan też się z tego cieszyła, ale widać było, że czeka na moje ostateczne załamanie nerwowe. Nic dziwnego, nigdy nie miałem swojego psychoanalityka i pod tym względem nie kwalifikowałem się nawet do otrzymania zielonej karty.

W Warszawie byliśmy kilka minut po piętnastej. Zaprosiłem dziewczynę do Tradycji przy Belwederskiej i przez ponad godzinę pokazywałem, w co naprawdę wierzę. Zamówiłem przystawki, zupy, drugie dania, kawę i desery. Jeśli chodzi o ścisłość, były to: tatar, zupa borowikowa, pieczona kaczka i szarlotka. Potraw zamówionych przez Susan nie zapamiętałem, bo nie chciałem się rozpraszać. W końcu to nie ja je jadłem. Uczta w Tradycji kosztowała więcej niż lot na księżyc, ale było warto. Wreszcie przestałem gadać po próżnicy i po prostu jadłem. Oczywiście to nie przeszkodziło Susan trajkotać jak maszynka. Nawet nie wiem, o czym mówiła. Koło siedemnastej odwiozłem ją do jej mieszkania i pojechałem do biura naradzić się z Walewskim. Siedliśmy sobie wygodnie, a zza okna dolatywały do nas strzępy ulicznych nawoływań i warczenie samochodów. Walewski masował sobie brzuch. Zwierzył się, że zjadł w dworcowym kiosku nieświeżego hamburgera. Szczerze mu współczułem, ale pomocy nie zaproponowałem. Nie wyglądał na umierającego, więc był zdrowy.

- Chcę mieć oko na Radwana - zacząłem. - Muszę wiedzieć, gdzie chodzi, je, mieszka, z kim się spotyka. Ma się znaleźć pod obserwacją...

- Chce nas przewalić? - zapytał przytomnie Walewski.

- Kto wie? Niełatwo jest wybulić milion euro - odpowiedziałem, a mój współpracownik zrozumiał.

- Mogą się dogadać z porywaczami, a my tylko stracimy czas - wyjaśniłem.

- Zrobi się - szepnął Walewski i dłonią mocniej potarł swój brzuch. Tylko mi się tu bracie za bardzo nie rozluźniaj, pomyślałem. To czyste pomieszczenie i niech takie zostanie.

- Musi pan sprawdzić bilingi Radwana dwa tygodnie wstecz. Ciekawy jestem, gdzie w tym czasie przebywał, do kogo dzwonił - zdecydowałem, wiedząc, że łamiemy prawo.

Walewski wyszedł, a ja zacząłem zastanawiać się nad kilkunastoma tysiącami ludzi, którzy każdego roku przepadali bez wieści. Niektórzy się odnajdywali, jednak los większości pozostawał na zawsze tajemnicą. Kiedy tak rozmyślałem, moja głowa pochyliła się do przodu i omal nie usnąłem. Z półsnu wyrwał mnie dźwięk otwieranych drzwi dobiegający z korytarza. Natychmiast wymacałem pod pachą pistolet i przygotowałem na najgorsze. Nikogo się nie spodziewałem, godziny przyjęć już dawno minęły. Może i wygarnąłbym do intruza, gdyby nie to, że rozpoznałem w nim panią Arietę Sosnowską-Radwanową. Nie była na wózku, poruszała się o własnych siłach.

- Dobry wieczór - pozdrowiła mnie ciepło i usiadła tuż przede mną. Sięgnęła po papierosa. Po chwili dym wypełnił całe pomieszczenie. No, no, zapowiadało się ciekawie. Cudowne ozdrowienie, wieczorna niezapowiedziana wizyta i coś nieprzyjemnego w spojrzeniu...

- Dobry wieczór. Co za niespodzianka? - odpowiedziałem, wciągając kinolem nikotynę. - Czym mogę służyć?

- W komputerze mojego męża znalazłam filmy i zdjęcia pornograficzne - powiedziała bez ceregieli matka porwanej Nany. - Przypadkowo weszłam do jego pokoju i zobaczyłam włączony komputer.

- Były tam zdjęcia państwa córki? - zapytałem obcesowo. Jak się bawić, to się bawić. Pani Radwanową obrzuciła mnie zaskoczonym spojrzeniem i zaprzeczyła.

- Pan mnie źle zrozumiał. Mąż w ten sposób próbuje natrafić na córkę...

- I natrafił?

- Chyba nie - odpowiedziała. - Nie jestem pewna.

- To co panią tak zdenerwowało? - zapytałem i dyskretnie przysunąłem się do okna. Palenie papierosów nie było moim ulubionym sportem.

- Tam były zdjęcia dzieci - wyszeptała z trudem.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - Tym razem zaniepokoiłem się nie na żarty. Oto zbliżała się do mnie pedofilia w najczystszej postaci. Czułem to.

- Te dzieci były nagie...

- Znała je pani? - przerwałem. W jednej chwili zapomniałem o dymie i fatalnych

skutkach biernego palenia.

- Tylko jedno - pokiwała głową. - Tam była moja córka. Na komputerze mojego męża są zdjęcia Nany, kiedy miała osiem lat. W wannie, w pokoju, na łóżku... Co ja mam o tym myśleć? Czy ktoś nas szantażuje? Kto zrobił te zdjęcia? Nie myśli pan chyba, że mój mąż...

- Nie myślę - uspokoiłem ją, ale swoje wiedziałem. - Mogę zadać pani kilka pytań?

- Proszę - zgodziła się i zapaliła drugiego papierosa. No, teraz to już moja odporność na pewno spadnie do zera. Pojawią się grypy, anginy, bladość, drżenie mięśni, kaszel...

- Czy pani mąż nigdy nie zachowywał się dziwnie wobec córki? - zapytałem najgrzeczniej, jak potrafiłem. Pani Radwanowa potraktowała to pytanie poważnie i nawet się nie skrzywiła.

- Nie zauważyłam. Wie pan, czasami ją kąpał, ubierał, bawili się razem... Jak każdy ojciec lubił ją przytulać... Wysłałam za niego, kiedy Nana miała pół roku...

- Przepraszam, co pani powiedziała? - szybko zareagowałem. - Pan Radwan nie jest ojcem Nany?

- Nie wiedział pan? - zdziwiła się. - Ojciec Nany zginął w wypadku, a ja zgodziłam się, żeby przyjęła nazwisko męża.

- Dlaczego?

- Może nie powinnam o tym mówić, ale mój mąż jest bezpłodny - wyjaśniła, a ja mimowolnie skrzywiłem usta. Facet miał rzeczywiście problem.

- Zależało mu na tym nazwisku. Wszyscy myślą, że to jego córka. Stefan na pewno ją kocha i bardzo się denerwuje tym porwaniem. Sam zresztą wyznaczył nagrodę...

- W takim razie co panią tak zaniepokoiło? - zapytałem.

- No wie pan, gołe dzieci... - szepnęła. - Skąd wzięły się na jego komputerze? Co robi tam moja córka? Może ktoś zrobił te zdjęcia z ukrycia, wysłał do niego i próbuje wyłudzić pieniądze? Mąż o wielu sprawach mi nie mówi, żeby się nie denerwowała...

- On wie, że pani może chodzić?

- Wie, ale myśli, że mogę sobie pozwolić tylko na bardzo krótkie spacerki...

- Dlaczego pani to przed nim ukrywa?

- Trudno mi o tym rozmawiać - zawahała się pani Radwanowa. Zgasiła papierosa i zapatrzyła się w okno. Przez szczelinę wpadało do środka chłodne powietrze. Czekałem, aż zacznie mówić. - On mnie zdradza... Wie pan, chodzi do innych kobiet - westchnęła głośno. Poczulem się jak ksiądz i wcale mi nie było do śmiechu. Sprawa zaczynała się komplikować bardziej, niż sobie przed chwilą wyobrażałem.

- Chce mi pani powiedzieć, że udaje pani przed nim kalekę, żeby móc go śledzić? -

upewniłem się.

- Coś w tym rodzaju - odparła cicho. - Muszę się zabezpieczyć. Sam pan rozumie, że tak bogaty mężczyzna może w każdej chwili zwariować na punkcie jakiejś panienki i wszystko rzucić...

- Ale po co to udawanie? - wyrwało mi się. Gdy ponownie sięgnęła po papierosa, moje spracowane miechy o mało nie jęknęły.

- Cóż, bardziej mnie żałuje... - odpowiedziała. - Wbrew pozorom mój mąż to bardzo wrażliwy człowiek...

Na pewno, pomyślałem. Zbiera dziecięcą pornografię, trzyma w komputerze zdjęcia nagiej córki, nic nie mówi o tym żonie, puszcza się z panienkami... Niewątpliwie Stefan Radwan urastał w moich oczach na prawdziwego herosa.

- Czy ktoś wie, że przyszła pani do mnie?

- Nikt - zaśmiała się, ale zabrzmiało to raczej smutno. - Mój ochroniarz siedzi w samochodzie przed marketem i czeka na mnie. Jest przyzwyczajony, że zakupy robię bez wózka. Przyjechałam tu taksówką i tak samo zamierzam wrócić. Muszę pana o coś zapytać...

- Pani Radwanowa zawahała się, jakby chodziło o zgodę na wspólną kąpiel. - Czy moja córka żyje? - Już drugi raz mnie o to pytała.

- Żyje - odpowiedziałem, ale głowy bym za to nie dał. - Wszystko wskazuje na to, że jest w rękach porywaczy. Moim zdaniem chodzi tu o seksbiznes...

- Seksbiznes? - powtórzyła ze zdziwioną miną matka Nany. - Czy moja córka jest w jakimś burdelu?

- To możliwe - potwierdziłem. - Mogę panią pocieszyć, że nie jest to zwykły dom publiczny. Chodzi raczej o ekskluzywny, starannie ukryty dom schadzek dla bardzo bogatych klientów. Myślę, że ktoś za nią zapłacił i dlatego została porwana. Gdyby było inaczej, policja już by o tym wiedziała. Mówiąc brzydko, dziewczyna byłaby już w oficjalnym obiegu...

- Uratuje ją pan?

- Za milion euro zrobię wszystko, co w mojej mocy - odparłem z wymownym westchnieniem. Niech wie, że od wielu tygodni śniłem po nocach o forsie, której ona nigdy nie odziedziczy.

Pani Radwanowa wstała powoli, zachwiała się lekko, ale na szczęście nie runęła pod biurko. Pożegnała mnie szeptem i wyszła z gabinetu. Wyrzałem przez okno. Odczekałem, aż wsiądzie do taksówki. Uzyskane informacje zmuszały mnie do zabezpieczenia moich interesów. Zadzwoiłem do Stefana Radwana, prosząc o pilne spotkanie. Zdziwił się, ale nie protestował. Kilka minut po dwudziestej spotkaliśmy się na parterze w kawiarni hotelu

Marriott naprzeciwko Dworca Centralnego. Miły nastrój i zmieniające się widoki za oknami odpowiadały mojemu temperamentowi.

Pierwszy wszedł znajomy szef ochrony. Nie postarzał się, zasraniec, ani trochę. Nadal musiałem patrzeć na niego z respektem. Omiótł spojrzeniem kawiarnię, skinął głową na powitanie i usiadł przy stoliku blisko baru. Radwan podszedł do mnie i rozsiadł się bez przywitania. Sprawiał wrażenie zmęczonego i lekko zdenerwowanego. Gdy podeszła kelnerka, zamówiliśmy kawę. Napój w sam raz na noc - człowiek nie traci czasu na sen i nie ma szans przeoczyć czegoś ważnego. Radwan zatrzymał wzrok na moim garniturze, poluzowanym węźle od krawata, z lekka zakurzonych butach i mlasnął z niecierpliwością.

- Ma pan coś dla mnie? - zapytał, wyglądając przez okno.

- Chcę, żeby zdeponował pan milion euro w banku i podpisał aneks do naszej umowy - wyjaśniłem, nie spuszczać go z oka. Nawet się nie poruszył.

- A więc wpadł pan na jakiś trop, tak?

- Nie zapeszajmy - odpowiedziałem trochę na wyrost, ale czego to człowiek nie zrobi dla pieniędzy. - Obiecałem panu, że będę działał i działałem. W chwili, gdy pana córka zostanie odnaleziona, pieniądze mają zostać przelane na moje konto...

- Nie ufa mi pan? - zdziwił się, a na jego twarzy zatańczył ironiczny uśmiešek. Chyba dobrze się bawił, krezus pieprzony.

- Nikomu nie ufam - uspokoiłem go tekstem starym jak świat. - Po prostu muszę być pewien, że otrzymam to, co ustaliliśmy. To na wypadek, gdyby pan się rozmyślił.

Tym razem Stefan Radwan spojrzał na mnie poważnie. Sięgnął po kawę, którą postawiła przed nim kelnerka, odczekał chwilę i szepnął:

- Jestem uczciwym biznesmenem, panie Brandt. Zawsze dotrzymuję umów. Proszę popytać, to się pan dowie...

- Bez urazy - uspokoiłem go. - To tylko interesy.

- Dobrze - zgodził się, ale najwyraźniej przestał mnie lubić. - Chcę, żeby moja córka wróciła jak najszybciej do domu. Żywa lub... martwa.

Wypił szybko kawę, wstał i odszedł od stolika, jakby mnie tam w ogóle nie było. Pedofil, ani chybi pedofil, pomyślałem z irytacją. Gdybym mu pokazał moje zdjęcie z dzieciństwa, gość chciałby pewnie warować tu ze mną do rana. Ani trochę nie wierzyłem, że Stefan Radwan trzymał na komputerze pornograficzne zdjęcia dzieci, ponieważ ktoś przez pomyłkę mu je wysłał. Coś się za tym kryło i musiałem to rozwikłać. Kręciłem kiedyś program o pedofilach i doskonale pamiętałem, jak łatwo było posadzić kogoś o tę dolegliwość. Do dziś widzę twarz ojca, Bogu ducha winnego człowieka, który na podwórku

pocałował własną córkę, a po paru dniach wylądował na przesłuchaniu w prokuraturze. Ledwo go z tego szamba wyciągnąłem. Jeden donos i prawo zaczęło zjadać własny ogon. Jednak była też druga strona medalu, o wiele groźniejsza. Niektórzy ludzie po prostu lubili mylić dzieci z dorosłymi lub z lalkami z sex-shopu. Miałem nadzieję, że pan Radwan do nich nie należał.

## ROZDZIAŁ 18

Noc spędzona z Susan postawiła mnie na nogi. Zakochałem się jak piętnastolatek. Czulem, że rosną mi skrzydła. Czego to ja nie wyprawiałem w jej sypialni. Byłem rybą mieczem, rybą piłą, rybą młotem, a na dodatek co chwila przypominałem kamień erekcyjny pod budowę naszego związku. W trakcie naszego kiziania osiągałem przyspieszenia, przy których lot w kosmos był holowaniem tira. Wchodziłem w zakręty, o jakich fizykom nawet się nie śniło. Mój kręgosłup przypominał cyrkowy drążek do akrobacji, wyginał się i trzeszczał czasami głośniejsz od prażonej kukurydzy. Kiedy zaczynałem czuć, że dłużej nie dam rady, przypominałem sobie zdeponowany na koncie milion euro i kondycja wracała błyskawicznie. Susan upewniła mnie, że jestem najdoskonalszym na świecie kochankiem. Nie Włosi, Murzyni czy Latynosi, lecz ja, Artur Brandt, potomek rycerzy spod Grunwaldu. W ten oto sposób odsłonięta została raz na zawsze tajemnica „tego jedynego”. Kolorowe magazyny mogły sobie pisać co chciały, ale bez mojego zdjęcia nie znaczyły nic. Gdyby nie wiatr i deszcz za oknem, udowodniłbym to całej kamienicy. Jak? Niewybrednie, ma się rozumieć.

- Czy teraz już możesz u mnie pracować? - zapytałem, kiedy w końcu złapałem oddech.

- Znowu nie będzie jak dawniej - zaśmiała się Susan, a ja nie zrozumiałem, co miała na myśli. Jak na mój gust jej język wymagał jeszcze wielu poprawek. - Ja mogę brać telefony i robić zapis każdy na słowa...

- Na pewno, kochanie, na pewno - odpowiedziałem i po prostu zasnąłem. Wcześniej pogadaliśmy sobie dostatecznie szczerze, abym teraz nie musiał mieć wyrzutów sumienia. Dziewczyna powinna być usatysfakcjonowana.

Rano wspólnie zjedliśmy śniadanie. Jajecznica na boczku, pomidory i bagietka z masłem pachniały w całym mieszkaniu. Do tego kawa ze śmietanką - europejska, a nie amerykańska lura, dla ścisłości. Gdy było już tak dobrze, że lepiej być nie mogło, zadzwonił Walewski i zarzucił mnie newsami. Zrobiłem z Susan cmok, cmok i wybiegłem z domu. Ruch był o tej porze tak duży, że musiałem się przemykać bocznymi uliczkami. W końcu

dojechałem do placu Na Rozdrożu i zaparkowałem obok kawiarni. Na swój sposób lubiłem to miejsce - przypominało sztuczną zastawkę w sercu polityka. Walewski dopadł mnie jeszcze przed wejściem do kawiarni. Machnął ręką, że nie musimy wchodzić, bo sprawy za szybko się dzieją. Udaliśmy się zatem na spacer, jak bliscy sobie mężczyźni, i dowiedziałem się o wszystkim, o czym nie chciałybym wiedzieć.

- To on - zaczął Walewski. - To Radwan...

- Nie rozumiem - przerwałem mu ze zdziwieniem.

- On ją porwał i gdzieś trzyma. - Wyjaśnienie było proste, ale jego sens bardzo skomplikowany.

- Chce pan powiedzieć, że ojciec porwał własną córkę i wyznaczył za jej odnalezienie milion euro nagrody? - upewniłem się, bo mój współpracownik sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

- Mój człowiek sprawdził wszystkie bilingi z jego telefonu - wyjaśnił Walewski. - Co kilka dni jeździł do Puszczy Augustowskiej.

- To pewna wiadomość? - Nadal coś mi w tym odkryciu zgrzytało.

- Jeździł tam w nocy, a połączenia pokazują skąd i o której...

- To była jego komórka? - zapytałem chyba tylko po to, żeby Walewski mógł mi nachuchać do ucha. Co prawda było zimno, ale mimo to nie tak wyobrażałem sobie idealne ogrzewanie.

- Szeffie, wszystko się zgadza - uspokoił mnie. - Sprawdzaliśmy to kilka razy. Facet naprawdę porwał własnego dzieciaka i gdzieś trzyma. Nie kumam, o co mu chodzi, ale na pewno o coś chodzi.

Stanęliśmy przy krawężniku. Walewski zapalił papierosa. Wokoło szumiały drzewa, prawie nie jeździły samochody, a w powietrzu rozległ się huk samolotu. Jakiś pilot przekroczył barierę dźwięku i nie omieszkał nas o tym powiadomić. Obserwowałem gnijące liście i zastanawiałem się, jak dalej działać. Komu nie powinienem ufać? Kto naprawdę miał interes w przetrzymywaniu Nany? Co kombinował Stefan Radwan? Kim był porywacz? Dlaczego dziewczyna nadal żyła?

- Policja już wie? - zapytałem.

- Jeszcze nie - odparł, zaciągając się, jakby urodził się przed pierwszą wojną światową. - Ale zaraz będą wiedzieli...

- Przytrzymaj to do jutra - zdecydowałem. - Muszę podpisać aneks do umowy z Radwanem. Inaczej nasza forsa odleci razem z nim do pierdła.

- Spróbuję - skinął głową. - Jutro o dwunastej podrzucę policji, na co trafiliśmy. Aha,



przypomniałem sobie, że miałem szefowi powiedzieć o numerze rejestracyjnym tego czarnego jeepa. Sprawdziliśmy, co się dało, ale takiego samochodu nigdzie nie ma. Blachy muszą być więc fałszywe... Szkoda.

Potem była kawa z drożdżówką w moim gabinecie w agencji. Susan już siedziała w biurze i porządkowała dokumenty. Płatności, podatki i urzędowe listy mogły człowieka przyprawić o wylew. Taki syf mógł wymyślić tylko nieudacznik z parlamentu lub największy cwaniak w klasie. Potem zamknęliśmy na pół godziny biuro, bo musieliśmy się z Susan trochę podotykać. Wczesna faza miłości właśnie dlatego jest taka piękna, jak twierdził pewien seksuolog w telewizji. Człowiek nie uznaje żadnych barier - po prostu zdejmuje buty, zapomina o skarpetkach i dyga ładnie aż do upadłego. Szkolna akademia, zaznaczmy, tylko trochę bardziej prywatna. Po dwunastej otrzymałem informację od Radwana, że aneks został podpisany i pieniądze są przygotowane do przelewu na moje konto.

Siedziałem przy biurku i zastanawiałem się, czy policja zepsuje mi śledztwo, czy pomoże. Modliłem się w duchu, żeby nie rzucili się na Radwana całym czambułem w czarnych maskach, z dziesięcioma kilogramami kajdanek upchanych po kieszeniach, z wrzaskiem słyszalnym na pół kilometra i w towarzystwie batalionu dziennikarzy. Cała nadzieja w Walewskim. Może przekona swoich kolegów do większej wstrzemięźliwości w działaniu? Gdyby Radwan był tak miły i szybko zaprowadził nas do swojej pasierbicy, cała sprawa zakończyłaby się w filmowym stylu. Przestępca zostałby złapany i przykładnie ukarany, a detektyw, czyli ja, zarobiłby pieniądze na życie i zyskał sławę, co też nie było bez znaczenia. Wykręciłem numer Walewskiego. Przez otwarte drzwi obserwowałem Susan, krzątającą się po sekretariacie w obcisłych spodniach i mocno wydekoltowanym żakiecie. Zanosilo się na to, że nasze biuro znów zostanie zamknięte. Na szczęście mój współpracownik usłyszał telefon i odebrał.

- Chciałbym go dopaść, kiedy będzie do niej jechał - wyjaśniłem bez ogródek. - Musimy za nim pojechać. Zorganizuje pan to?

- Pojedziemy za nim we dwóch? - W głosie Walewskiego czaiła się nutka niepokoju. Zastraniec nie cenil mnie zbyttnio.

- Na razie tak - odparłem. - Jakby co, to zawiadomimy kogo trzeba.

- A jak będzie z ochroniarzem?

- Boi się pan ochroniarza? - zadrwiłem, bo nadarzyła się okazja.

- Jego ludzie to bardzo dobrze wyszkoleni byli antyterrorysty i żołnierze - wyjaśnił spokojnie. - Dla nich sprzątnąć człowieka to pestka. Potem powiedzą, że zabili w obronie własnej. Duża forsa plus fachowcy oznacza, że sprawiedliwego procesu nie będzie - dodał

prawie filozoficznie Walewski. Od wyjazdu mamy do Ameryki nikt tak się o mnie nie troszczył. Susan zajrzała do pokoju i pomachała do mnie. W tym geście skrywała się cała tajemnica naszej miłości. Gwałtowna i melodyjna „papaja” w mojej głowie o mało nie doprowadziła mnie do wylewu. W tym momencie usłyszałem, że moja dziewczyna ma czkawkę i znów zacząłem widzieć jaśniej.

- Czekam więc na telefon od pana - podsumowałem rozmowę z Walewskim. Wyobraziłem sobie nagle, że jest obok, łypie na mnie spod oka, drapie się po głowie i powoli człapie w stronę drzwi. Taki sposób poruszania przypominał osuwającą się z nasypu ziemię. Czegoś takiego się nie zapomina.

Susan podeszła do mnie i usiadła na rogu biurka. Wyglądała zalotnie i intrygująco.

- Chcę odwiedzić fryzjer - szepnęła, przyglądając się mi uważnie. - Mam dbać o urodę.

- Teraz? - zapytałem. Dzień był w pełni, a koniec pracy nawet się jeszcze nie zarysował.

- Za pół godziny - odparła całkiem poprawnie. - Potem ja wrócić i zabrać inne telefony.

- OK. Spotkamy się wieczorem? - Moje myśli wcale nie koncentrowały się na pracy. Wylaził ze mnie samiec i nie odczuwałem z tego powodu wstydu. Obrzydliwa seksualna bestia miotała moimi uczuciami, a ja nie potrafiłem jej zatłuc. Najgorsze było jednak to, że z tym grzechem chciało mi się żyć jak najdłużej.

Susan wyszła, a ja postanowiłem zdrzemnąć się na fotelu. Na wypadek odwiedzin jakiegoś nowego klienta wyłączyłem dzwonek nad drzwiami wejściowymi. Stary dobry sposób na uniknięcie zaskoczenia. Potem śniły mi się koszmary - trup Nany Radwan w wannie. Dziewczyna leżała w niej w futrze aż do kostek, a jej twarz przypominała ofiarę wampira. Obudziłem się dokładnie w chwili, gdy lufa pistoletu stuknęła mnie w skroń. Facet miał sylwetkę zapaśnika i widać było, że nigdy w życiu nie żartował. Jego twarz zakrywała czerwona kominiarka. Pozostałe części garderoby miał czarne, a na rękach nosił cienkie skórzane rękawiczki. Prawdziwy Leon Zawodowiec, tylko z czarnym podniebieniem.

- Chcesz żyć? - zapytał, kiedy już na dobre otworzyłem oczy.

- Jak cholera - odparłem cicho, żeby go nie drażnić. Nie poznał się jednak na moim dobrym wychowaniu, bo stuknął mnie mocniej lufą w skroń i warknął:

- Nie cwaniakuj, redaktorku. Powiem ci, co zrobisz, i nie ma sprawy. Od tej chwili zapominasz o rodzinie Radwana i zleceniu na dziewczynę...

- Ma pan na myśli poszukiwania Nany Radwan? - przerwałem mu, bo facet zaczął mi

porządkować życie.

- Dokładnie tak, redaktorku - potwierdził, a ja zobaczyłem jego krzywe zęby. Mój prześladowca przypominał piranię. - Ja wychodzę, a ty zajmujesz się nowymi sprawami.

- A co z moim honorarium?

- Nie zrozumiałeś? - stwierdził i nagle uderzył mnie otwartą ręką w tył głowy. Nie powiem, bolało i zasadniczo zmieniło położenie mojego ciała. Wypadłem z fotela i znalazłem się pod ścianą. Nie byłem słaby, ale musiałem przyznać, że ten bandzior miał parę w łapie. Lepiej, żeby się nie denerwował. Skuliłem się, wsunąłem rękę do kieszeni marynarki, odnalazłem komórkę i wybrałem numer Borga. Niech wie, że jego szef umiera i trzeba mu towarzyszyć w ostatniej drodze.

- Chce mi pan powiedzieć, że mam zrezygnować z honorarium? - zapytałem, wstając z podłogi. - To znaczy, że do tej pory pracowałem za friko? - skłamałem, ale na pewno zabrzmiało to przekonująco. Nie poznał się na ironii, bo dostałem kopniaka pod kolano i znów znalazłem się w pozycji leżącej.

- Nareszcie załapałeś - powiedział ze znużeniem w głosie. Mimo najszczerzych chęci nie mogłbym go rozpoznać. Nawet jego głos brzmiał nijako. Ot, zwykły knajacki akcent mieszkańca blokowiska, cwaniaka, który złapał się brzytwy i myśli, że płynie. Lufa jego pistoletu drgała jak dyrygencka pałeczka, więc człowiek łatwo mógł się pomylić i coś zaśpiewać. Ledwo się powstrzymałem.

- A jak odmówię? - postawiłem się, ale przezornie pozostałem na podłodze.

- Zastrzelę cię. - W tym momencie bandzior nawet się uśmiechnął. - Nie tu, nie teraz, sam nie wiem, gdzie to zrobię, ale zrobię. Nagle i szybko. A jeśli nie ja, to ktoś inny. Chcesz tego, redaktorku?

Z tym „redaktorkiem” trochę przesadzał, ale nie była to pora na wyjaśnienia. Gdyby strzelił, pogrzeb odbyłby się za kilka dni. Przyszliby przyjaciele i wrogowie, kilka osób palnęłyby mowy, może nawet ktoś by zapłakał. No i mama musiałaby wrócić z Ameryki, a to wcale mi się nie uśmiechało. Miała tam jeszcze sporo do zrobienia. Telewizja pokazałaby znanego reportażystę w trumnie, a prezes wyraził żal, że ostatnio nic nie wyreżyserowałem, że bez moich reportaży po prostu nie mógł znaleźć sobie miejsca, biedaczek.

- To by było na tyle. - Bandyta pożegnał mnie szybkim kopniakiem w zębra i spokojnie wyszedł z biura. Miałem szczęście, że nie zabrał się za moje zęby, bo Susan jeszcze dziś mówiłaby o mnie w czasie przeszłym. Podniosłem się, ale daleko mi było do pościgu za napastnikiem. Nawet nie wyjrzałem przez okno. Ktoś chciał mnie nastraszyć i był pewny, że mu się udało. Gdyby znał historię mojej rodziny, wiedziałby, że nikt nigdy nie zastraszył

żadnego Brandta. Grób, owszem, wchodził czasami w grę, ale strach nigdy.

Pół godziny później pojawiła się Susan. Wbiegła do gabinetu i mocno się do mnie przytuliła. No, już lepiej, stwierdziłem, czując jej policzek na moim.

- Wszystko wiem - odezwała się w końcu. - Wszystko słyszę w telefonie... Jechałam na ciebie na cały gaz...

Coś mi się tu nie zgadzało. Sięgnąłem do kieszeni i sprawdziłem połączenie. Okazało się, że zamiast numeru Borga wybrałem numer Susan i ostatecznie to ona była świadkiem mojego upadku. Borg nie miał pojęcia, jak niewiele brakowało, żebym gryzł ziemię.

- Robi się niebezpiecznie, kochanie - odsunąłem się od Susan i rozmasowałem z trudem żebra. Mimo iż zawsze byłem sprawny fizycznie i z natury silny, poniosłem klęskę. Napastnik zrobił ze mną, co chciał, a to bolało i drażniło moją ambicję. Postanowiłem, że następnym razem się na niego rzucę. Na razie tylko postanowiłem, się rozumie.

- Czy policja już wie? - przytomnie zapytała Susan.

- Zaraz się dowie - uspokoiłem dziewczynę i sięgnąłem po słuchawkę. Nie wierzyłem, że moje zgłoszenie cokolwiek zmieni, ale nie mogłem zbagatelizować sprawy. Przynajmniej w przyszłości łatwiej się wytłumaczę, dlaczego ciężko pobiłem człowieka, który na mnie napadł. Teoretycznie, oczywiście.

## ROZDZIAŁ 19

Nana przytuliła się do ramienia swojego kochanka, usiłowała zobaczyć jego twarz. Przez moment wydawało jej się, że dostrzega jego palce i fragment ramienia, ale równie dobrze mogło to być złudzenie. Maską była szczelna, w pokoju panował półmrok, a lampka na stoliku przy łóżku pozwalała co najwyżej trafić bez problemów do łazienki. Zza okna wlewały się ciemności i cisza przerywana od czasu do czasu odgłosami jadącego w oddali pociągu.

Była to pierwsza wizyta kochanka od czasu próby ucieczki. Nana rozpoznawała zapach jego wody kolońskiej i skóry. Mężczyzna jak zwykle był namiętny i czuły, ale kochanka odnalazła w jego zachowaniu coś jeszcze. Kobięca intuicja podpowiadała jej, że chciałby coś powiedzieć i z trudem się powstrzymuje. Postanowiła to wykorzystać.

- Dlaczego ze mną nie rozmawiasz? Boisz się, że mogłabym rozpoznać cię po głosie?  
- zapytała, głaszcząc go po umięśnionej klatce piersiowej. Nie odezwał się. Wyczuła lekki skurcz jego mięśni. Był spięty, ale chyba się nie zdenerwował. - Jeśli coś do mnie czujesz, to moglibyśmy ze sobą być... Po co mnie tu trzymacie? Lubię cię...

Mężczyzna położył dłoń na jej ustach. Po chwili znów się kochali. Nie tak jak za pierwszym razem. Tym razem ich zbliżenie było pełne namaszczenia i delikatności. W końcu zastygli mocno w siebie wtuleni.

- On kazał mnie zgwałcić - powiedziała cicho. Mężczyzna drgnął i szybko wstał z łóżka. Mruknął coś niewyraźnie, ale odebrała to jako zachętę do mówienia. - Toni kazał mnie zgwałcić. Nakręcił film. Powiedział, żebym ci o tym nie mówiła, bo mnie nie będziesz już chciał i trafię do zwykłego burdelu...

Usłyszała, jak mężczyzna w pośpiechu nakłada ubranie. Domyśliła się, że był bardzo zdenerwowany. Naciągnęła kołdrę, kuląc się ze strachu. Dopiero teraz dotarło do Nany, co zrobiła. Jeśli Toni mówił prawdę, skończyły się dla niej dobre czasy i rano mogła zacząć inne życie. Nie wyobrażała sobie siebie jako zabawki w rękach setek mężczyzn, których tak naprawdę nic nie obchodziła. Znów zaczęła myśleć o ucieczce. Strach przed ukazaniem się w

Internecie filmu pornograficznego z jej udziałem zszedł na dalszy plan - teraz chciała przede wszystkim ocalić życie i odzyskać wolność.

Przez najbliższe dwie godziny nic się nie działo. Nana zasnęła, wyobrażając sobie, że jej klient nic nie powie Toniemu. Obudził ją huk za oknem i strzelanina. Schowała się pod łóżko i zatkała uszy. Mimo to czuła drgania budynku i słyszała wystrzały. Nagle drzwi do jej pokoju otworzyły się i zobaczyła buty Toniego. Podbiegł do łóżka i jednym silnym szarpnięciem wyciągnął ją spod niego. Wyglądał strasznie - był w rozchełstanej koszuli, spodniach z rozpiętym paskiem, a buty wsunął na gołe stopy. W ręku trzymał mały pistolet maszynowy.

- Idziemy - rozkazał i pociągnął ją w stronę wielkiego lustra na ścianie. Przesunął po nim dłonią, nacisnął, a ono rozsunęło się, odsłaniając korytarz i prowadzące w dół schody. Toni popchnął dziewczynę do przodu i lustro powoli się za nimi zasunęło. Na schodach paliła się mała żarówka, a na wilgotnych ścianach wisiały pajęczyny. Toni trzymał Nanę za kark. Szli w pośpiechu wąskim, stromym korytarzem. Kiedy w końcu schody się skończyły, zaczęli biec jeszcze węższym i niskim kanałem. Trwało to co najmniej pięć minut. Po drodze Toni zatrzymał się i zakręcił potężną korbą we wnęce muru. Z boku zaczęła wysuwać się ceglana ściana, która szczelnie zablokowała kanał, którym uciekali. Toni znów popchnął dziewczynę i spojrzał na zegarek. Kanał kończył się schodami prowadzącymi w górę.

Nana otuliła się szczelnie szlafrokiem i wbiegła na schody. Od czasu do czasu czuła na swoich pośladkach lufę pistoletu maszynowego. Toni przypominał dziewczynie, że nie powinna zapominać, kto tu rządzi. Na samej górze odnalazł drzwi zamknięte na dwie duże zasuwki. Ostrożnie je odsunął i wyjrzał na zewnątrz. Popchnął w bok metalowy regał na kółkach. Leżały na nim pudełka z częściami samochodowymi, butelki, puszki ze smarami i opony. Porywacz nasłuchiwał odgłosów dobiegających z ciemności. Wreszcie uznał, że jest bezpiecznie i pierwszy wyszedł na zewnątrz. Znajdowali się w pomieszczeniu, które przypominało stary, dawno nieużywany magazyn. Toni pociągnął Nanę ku sobie i zamknął drzwi do kanału. Zasunął bardzo starannie regał i przez chwilę uważnie nasłuchiwał. Wokoło było cicho i nic nie zapowiadało ponownej strzelaniny. Dziewczyna drżała z zimna i ze strachu. Nie rozumiała, co się stało. Obawiała się, że jej sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje.

W magazynie znajdował się samochód przykryty grubą plandeką. Toni ściągnął ją na podłogę i zajrzał do środka. Kluczyk tkwił w stacyjce, jakby od dawna był przygotowany do nagłego użycia.

- Wsiadaj koło mnie - rozkazał Toni, pokazując spojrzeniem czarnego mercedesa.

Nana posłusznie otworzyła drzwi i usiadła w skórzanym fotelu. Toni zatrzasnął drzwi samochodu, uruchomił silnik, sięgnął po pilota. Po chwili brama do magazynu zaczęła się otwierać. Dziewczyna słyszała ciche skrzypienie. Miała nadzieję, że ktoś je usłyszy. Było jej coraz zimniej. Zakasłała i zaczęła pociągać nosem.

- Włączyłem ogrzewanie - powiedział uspokajająco Toni. - Siedzenia też podgrzałem...

Wjechali wprost w żwirową aleję wśród wysokich topoli. Porywacz prowadził ostrożnie, a jego pistolet tkwił wciśnięty za pasek od spodni. Obrzucił dziewczynę pochmurnym spojrzeniem i zatrzymał się przed wjazdem na szosę. O tej porze ruch był niewielki - obok nich przejechały tylko trzy samochody dostawcze i dwa osobowe. Na niebie pojawiły się pierwsze oznaki świtu, ale przesłaniały go ciężkie, deszczowe chmury. Zapowiadał się kolejny brzydki jesienny dzień.

Wjechali w dzielnicę domków jednorodzinnych. Toni poruszał się w tej okolicy pewnie i widać było, że wie, dokąd jedzie. Dziewczyna miała nadzieję, że uda jej się uciec na jakimś skrzyżowaniu, ale porywacz zablokował wszystkie drzwi i przy pierwszej próbie wyskoczenia z samochodu tylko się roześmiał.

- Ja nie oddaję swoich zabawek, kochanie - odezwał się, patrząc zimno w oczy Nany. - Należysz do mnie... Jesteś moją polisą na życie.

- A więc jednak chodzi o pieniądze - wtrąciła, z nadzieją w głosie. - Mówiłam już, że ojciec za mnie zapłaci...

- W każdej chwili - potwierdził Toni. - Na razie musisz robić to, co każe twój klient. Lubisz go trochę?

- Jest miły, ale nigdy ze mną nie rozmawia - szepnęła dziewczyna.

Chciało jej się spać. Znowu wpadła w apatię. Przez okno zauważyła kilka osób idących do pracy, ale w ogóle na nią nie spojrzali. Z pochylonymi głowami i postawionymi kołnierzami, osłaniając się przed wiatrem, kierowały się do przystanku.

- On tak dużo za mnie płaci, że nie chce pan miliona euro mojego ojca? - zapytała, czując przyjemne ciepło płynące z podgrzewanego fotela.

- Dużo więcej - potwierdził.

- Nie rozumiem. Jest przecież tyle ładnych dziewczyn. - Nana powiedziała to, nie patrząc w stronę Toniego. - Nawet te w waszych filmach... Dlaczego ja?

- Widocznie masz coś, czego inne nie mają - głos Toniego znów był spokojny i chłodny. Jak zwykle udało mu się uniknąć niebezpieczeństwa, uciec.

Nagle samochód skręcił w boczną drogę dojazdową do szarego, nieforemnego domu

wśród drzew. Wjazd nie miał bramy, a cała działka była porośnięta krzakami i zaniedbana. Budynek z lat siedemdziesiątych przypominał klocek z oknami, z których schodziła farba. Mercedes zatrzymał się dopiero w garażu. Toni odblokował drzwi, pozwalając Nanie wysiąść. Odnalazł klucz pod wycieraczką i otworzył odrapane drzwi. Tym razem wszedł pierwszy, zapalił światło, a potem rozejrzał się po dużym pomieszczeniu z piecem do centralnego ogrzewania i koksem usypanym pod ścianą. Nana posłusznie poszła za nim do kotłowni. Z lękiem rzuciła wzrokiem na brudne ściany. W pomieszczeniu nie było okien, a sufit wydawał się zawieszony niemalże nad głową. Nana nie miała wątpliwości, że człowiek chory na klaustrofobię mógł w takim miejscu oszaleć.

Toni podniósł z podłogi szuflę i zaczął odgarniać koks. Nana przyglądała się temu ze zdziwieniem, ale nie odważyła się odezwać. Po chwili w betonowej podłodze pojawiła się metalowa klapa z wielką zasuwą. Grubość klapy pozwalała sądzić, że wymontowano ją z jakiegoś przeciwbombowego schronu. Toni uniósł z wysiłkiem wieko i pokazał Nanie wąż z metalową drabiną umocowaną w ścianie.

- Wchodź - wskazał zdecydowanym ruchem ręki ciemny otwór.

- Po co? - zapytała, cofając się w stronę drzwi. Wtedy sięgnął po pistolet.

- Jak nie wejdiesz, to strzelę ci w kolano i sam wrzucę do tej dziury - zagroził z irytacją pomieszaną ze znudzeniem. Dziewczyna posłusznie zaczęła schodzić po drabinie, w dół ciemnego wężu.

- Na dole jest wszystko, co potrzeba - poinformował ją, patrząc z góry. - Na ścianie znajdziesz włącznik światła. Jedzenia wystarczy ci na dwa tygodnie.

- Jak długo tu będę? - Z dołu rozległ się przerażony głos dziewczyny. Toni zauważył, że w pomieszczeniu na dole zapaliło się światło. Najwyraźniej nie chciało mu się dłużej rozmawiać, bo zatrzasnął klapę, zasunął zasuwę i ponownie zaczął zasypywać ją koksem.

Nana słyszała szcęk łopaty i wydawało jej się, że po raz kolejny umiera. Nagle do dziewczyny dotarło, że została zasypana pod ziemią i nikt nie będzie w stanie jej odnaleźć. Może w przyszłości, kiedy ktoś zechce wyburzyć dom, przypadkowo natkną się na jej kości. Zanim to jednak nastąpi, Nanę czekało niewyobrażalne cierpienie i strach. Toniemu już nie wierzyła. Podejrzewała, że nie chciał jej zabijać osobiście, więc zamknął ją w tym miejscu. Być może w ten sposób chciał oczyścić swoje sumienie. Każdy odgłos spadającego koksu dziewczyna odbierała niemalże jak uderzenie w twarz. Zaczęła krzyczeć, ale nikogo to już nie obchodziło, nikt nie słyszał wołania o pomoc. Stopniowo krzyk Nany przerodził się w histeryczne wycie, dzikie i nieopanowane, prawie zwierzęce, przywodzące na myśl czasy, kiedy ludzie nie umieli mówić.



Kiedy Toni uznał, że właz został dostatecznie zamaskowany, odrzucił łopatę i wyszedł z kotłowni. Zamknął za sobą drzwi, schował klucz pod wycieraczkę i umył ręce pod kranem zamontowanym w garażu. Popatrzył na siebie krytycznie, poprawił ubranie, pokiwał głową, a potem wsiadł do samochodu. Jeśli ktokolwiek myślał, że nocny napad na jedną z jego agencji towarzyskich przestraszył go, był w błędzie. Toni nigdy się nie bał - na tym właśnie polegała tajemnica jego sukcesu. Ryzykował i zawsze miał szczęście. Tak jak tej nocy.

Od najwcześniejszych lat rzucał się na większych od siebie i często wygrywał. Nikt całkowicie normalny nie ryzykował konfliktu z dzieckiem, które nie poddawało się żadnym rygorom. Niektórzy podejrzewali nawet, że Toni, wówczas jeszcze znany wyłącznie jako Jerzy Tank, pozbywał się swoich wrogów w wyjątkowo podstępny sposób. Takich przykładów było wiele. Kiedyś nauczyciel, który wytargał go w szkole za uszy, przewrócił się po wyjściu z własnego mieszkania i ze wstrząsem mózgu wyładował w szpitalu. Okazało się, że przed jego drzwiami znajdowała się duża plama oleju. Innym razem wychowawczyni Toniego z domu dziecka spadła ze schodów i połamała sobie obie ręce. Ktoś zepchnął ją z nich nocą, gdy szła do ubikacji. Niektórzy łączyli to nieśmiało z zakazem wychodzenia na podwórko, jaki kilka dni wcześniej otrzymał Toni. Niejasna była też śmierć koleżanki, która nie chciała spotykać się z Tonim w ostatniej klasie liceum. Została znaleziona w piwnicy domu dziecka z głową roztrzaskaną metalową rurką. Nikt jednak nigdy nie udowodnił chłopakowi udziału w tych tragediach. Jerzy Tank był zbyt sprytny i zdolny, by dać się złapać. Dostawał dobre stopnie i bez trudu dostał się na studia. W normalnym świecie to właśnie liczyło się najbardziej, a Jerzy Tank, noszący pseudonim Toni, dobrze o tym wiedział.

## ROZDZIAŁ 20

Dlaczego tego gnoja jeszcze nikt nie złapał? - zapytałem, popijając kawę w moim biurze. - Policja zna jego zdjęcie, pokazały je media... Tak trudno namierzyć faceta, którego każdy widział?

Walewski, który wyciągnął mnie z łóżka o siódmej rano, siorbnął duży łyk kawy i rozparł się wygodnie w fotelu. Wyglądał gorzej niż zwykle - blady, pomarszczony, siny pod oczami, na dodatek w ubraniu pomiętym jak bibuła.

- Przebiera się, maskuje, zmienia dokumenty - wyjaśnił zmęczonym głosem były policjant. - Dobra charakteryzacja i papiery mogą gościa ukryć na całe życie.

- Skąd policja wiedziała, gdzie przetrzymują Nanę? - zapytałem, choć dobrze wiedziałem, jaka będzie odpowiedź. Prawdę mówiąc, byłem wściekły i chciałem usłyszeć coś przekonującego.

- Ja im powiedziałem - przyznał się Walewski i zapalił papierosa. Palił najtańsze papierosy, co oznaczało, że każdy normalny człowiek mógł przez niego wylądować na toksykologii. - Musiałem, bo inaczej miałby szef kłopoty. Zatajenie i utrudnianie śledztwa...

- No i pańscy koledzy spisali się - przerwałem z irytacją. Niby go rozumiałem, ale nadal odczuwałem złość. W końcu chodziło o forszę, która ustawiała człowieka w kolejce do dziedziczenia Pałacu Buckingham.

- Nie jest źle - Walewski wypuścił kłąb dymu w stronę sufitu. - Zabili dwóch sutenerów, uratowali trzy dziewczyny i dowiedzieli się, że Nana Radwan tam była...

- Ale jej nie znaleźli - wtrąciłem. - A teraz dziewczyna może już ziemię gryzie. No i nie wiadomo, którą wyszła.

- Chłopaki znajdą to wyjście. Niech się szef nie martwi. - Głos mojego współpracownika-kabla zabrzmiał wyjątkowo kojąco. Jeszcze ze dwie takie akcje i ten policyjny nygus zostanie spowiednikiem. - Ważne, że on tam był i ją ze sobą zabrał. Dziewczyna żyje i na razie nikt nie chce jej zabić. Szukamy dalej, szefie. Będzie dobrze...

Oj, plاتفusie, pocieszasz mnie, żyjesz z mojej krwawicy, ale służysz innemu panu.

Ciekawe, do czego nas to doprowadzi. W sekretariacie rozległ się dźwięk otwieranych drzwi i pojawiła się Susan. Mimo wczesnej pory wyglądała lepiej od pięćdziesięcioletniej starki. Spódnica i zakiet były wzorowo opięte, bluzkę wykonano z materiału, w którego skład na pewno wchodziły hormony, a buty, nie powiem, ceną mogły rywalizować z porcelanowymi zębami. Pomachała mi i usiadła przy swoim biurku.

- Mam bułka i szynka - zawołała na tyle głośno, że Walewski też usłyszał.

- Można by coś zjeść. - Mój współpracownik był niezwykle bezpośredni. Nie ma to jak najęść się na krzywy ryj. Chwilę potem Susan postawiła przed nami talerzyki z chrupiącymi bułkami. Gotów byłem się założyć, że w całej Warszawie nikt nie trenował w ten sposób łakomstwa. Susan usiadła przy nas i wbiła swoje kształtne ząbki w jedną z bułek.

- Dzisiaj będę miał informacje o bilingach...

- A co z Radwanem? - poruszyłem najbardziej drażliwy temat. - Miał go pan śledzić, a skończyło się na wycyckaniu policji. Ptaszek spokojnie odjechał i wrócił do domku.

- Nie można było przewidzieć, że zatrzyma się koło bramy, postoi chwilę i odjedzie - Walewski posmutniał. Jego psi charakter cierpiał i domagał się gnata do gryzienia. - Był sprytny i mógł coś zwąchać.

- Na pewno pana zauważył - dopiekłem żarłokowi do żywego. Właśnie wgryzał się w drugą bułkę i w ten sposób musiałem zadowolić się jedną.

- Nie wiem, jak to możliwe, ale coś tu śmierdzi - przytaknął. W tym momencie zadzwonił jego telefon. Spojrzał na numer i rozpromienił się. Ktoś coś powiedział, a po chwili dowiedzieliśmy się, że mamy jeszcze jeden kłopot.

- Chcieli zdjąć Radwana za dziecięcą pornografię, ale komputer był czysty - poinformował mnie Walewski. - Ktoś wyjął stację dysków i zamienił na nową...

- Czyli nie można niczego odtworzyć, tak? - upewniłem się niezupełnie spokojnie. Wielkimi krokami szedł do mnie morderczy wujek Afekt. Zanosilo się na to, że za jakieś pięć minut zaczną przegryzać ludziom gardła.

- Ano nie można - potwierdził filozoficznie Walewski.

- No i co z tego wynika? - zapytałem i podszedłem do okna. Dym z papierosa już nas prawie uwędził, mimo to postanowiłem wytrwać. Pewni ludzie byli niereformowalni, a ja niestety nie mogłem zrezygnować ze współpracy z nimi. Kimś takim był właśnie postkomunistyczny policjant, w istocie zwykły burak, Walewski. Susan patrzyła na nas z pogodnym wyrazem twarzy i od czasu do czasu poprawiała swoją fryzurę. Nadmienię, że od tego poprawiania łatwo można było zejść w ciążę.

- Mamy kreta - stwierdził sucho były policjant.

- Przecież to pan o wszystkim powiedział policji - zaznaczyłem skrupulatnie, jakbym był notariuszem.

- No właśnie. Albo u nich, albo u Radwana jest kret - przyznał i zgasił papierosa. Nie w popielniczce, o nie, zrobił to w doniczce z jedynym kwiatkiem, jaki stał na parapecie w moim biurze. Udałem, że tego nie zauważyłem, ale w sensie naszych relacji: pracownik - pracodawca, sprawa była rozwojowa. Prostaka nie tłumaczył nawet odruch.

- A u nas? - łypnąłem na niego krzywo. Susan też podniosła brwi.

- To możliwe - zgodził się. - Na przykład pani Susan może być kretem...

- Nie rozumiem - przerwała Susan. Widać było, że Walewski ją zdenerwował i gotowa była pozwać go przed Trybunał Europejski.

- Pan Walewski uważa, że być może donosiłaś Radwanowi - wyjaśniłem ze ściśniętym gardłem. Gdyby to była prawda, depresja mogłaby mówić do mnie „tato”.

- Nie kabelować nigdy na firma - odpowiedziała cicho. - Można sprawdzać moje wszystko.

- W grę wchodzi też podsłuch - dywagował Walewski. - Mogli tu coś wetkać.

- Policja? - zapytałem.

- Wiedziałbym - zaprzeczył. Chciał zapalić, ale chyba się rozmyślił, bo cofnął rękę. - Sprawdzimy...

Walewski wziął się do roboty i po godzinie wykryliśmy w biurze cztery pluskwy. Standardowe i bardzo małe. Ktoś zainwestował, żeby dowiedzieć się, co u mnie słychać.

- Radwan? - powiedziałem głośno, kiedy Walewski zmiażdżył pluskwy swoim butem.

- Raczej ten prywatny detektyw, ten Rudy - dopowiedział. - Albo jakiś inny... Nasz klient lubi wszystko wiedzieć i kontrolować. Wynajęcie kilku agencji w różnym celu to dla niego betka. Wie pan, złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma...

- Trzeba pogadać z policją. - Sam nie wiem, jak mi to przeszło przez gardło. Pewnie nie byłem zbyt twardy, a może tak działały na mnie przysłowia?

Zabrałem Walewskiego do samochodu i ruszyliśmy w kierunku komendy. Komisarz Surman już na nas czekał. Był tak samo ubrany jak przed tygodniem, dwoma tygodniami i prawdopodobnie przed rokiem. Fajny chłop - w lato w sandałach i w skarpetkach, a na jesieni w kozakach na plastikowych podszewkach. I pomyśleć, że jego głos ważył w wyborach tyle co mój. To dopiero były jaja.

Pokonaliśmy policyjne korytarze, przedstawiając się po drodze każdemu, kto nosił mundur. Potem były wysiedziane krzesła u komisarza i kawa, po której miałem ochotę uwić sobie gniazdo pod okapem jakiejś stodoły. Do tego dwa papierosy i zamknięte okno, bo - jak

powiedział komisarz - „zimno”. Walewski odczekał kilka minut, jakby zbierał siły, po czym chrząknął i zapytał:

- Coś nowego, Zbychu?

- Znaleźliśmy ukryte przejście - odparł komisarz. - Niestety, zdążyli uciec... A Radwana musieliśmy przeprosić za najazd. Rozmawiałem z jego żoną. Potwierdziła, że w komputerze były zdjęcia nagich dzieci. Podejrzewa, że jej mąż kazał zamienić dysk. Ten właściwy pewnie poszedł pod młotek...

- Nic innego nie macie? - wtrąciłem, żeby się przypomnieć.

- Radwan zeznał, że pojechał do willi w nocy, bo ktoś do niego zadzwonił i powiedział, że tam trzymają Nanę. Na miejscu przestraszył się, więc postanowił zawiadomić policję - wyjaśnił komisarz.

- Ale jakoś do tego nie doszło - zareagował Walewski i skrzywił się cynicznie. - Informację dostaliście ode mnie.

- A co z bilingami telefonu Radwana? Podobno były nocne połączenia z okolic Puszczy Białowieskiej...

- Fakt - potwierdził komisarz. Efektownym ruchem ręki dał znak zaglądnącej do nas sekretarce, żeby się wynosiła, bo przeszkadza. - Były łączenia, ale nikt nic nie mówił...

- Jak to nie mówił? - Walewski jęknął. Przygotowałem się, że być może będę musiał starucha reanimować.

- Dzwonił do swojego szefa ochrony, tamten odbierał, ale rozmowy nie było - wyjaśnił komisarz. Cierpliwy był jak domofon. - Najważniejsze, że lokalizacja odpowiada miejscu przetrzymywania dziewczyny. Facet jest podejrzany, ale brak dowodów. Te, które mamy, to słabizna.

- A szef jego ochrony? - zapytałem z irytacją. - Nic nie powiedział?

- A co miał powiedzieć? - zdziwił się komisarz. - Facet odbiera w nocy telefon, nikt się nie odzywa, to odkłada słuchawkę i śpi dalej...

- A identyfikator telefonu w komórce? - genialnie podsunął Walewski. Jeszcze chwila i z podziwu obejmę go w pasie.

- Radwan go wyłączył - odpowiedział komisarz. Trzeci papieros poszedł w ruch, a ja podszedłem do okna, otworzyłem je i zaczerpnąłem powietrza. Obaj policjanci spojrzeli po sobie wymownie, co miało oznaczać, że jeśli się jeszcze waham, to teraz powinienem skoczyć. Wysokość powinna załatwić sprawę.

- Na czym stało? - zapytałem, żeby sprawdzić, czy jeszcze mogę się wysłowić.

- Obserwujemy, podsłuchujemy i tyle - podsumował cierpko komisarz. Nie

wiedziałem dlaczego, ale coraz bardziej przypominał mi człowieka z chronicznym bólem głowy. Innymi słowy, sprawa poszukiwań Nany Radwan stała w miejscu, a główny podejrzany czuł się świetnie. Nadal nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego chciał mi zapłacić milion euro za odnalezienie córki, którą prawdopodobnie sam więził. Czyżby był tak sprytny i bogaty, że zastosował najdroższą zasłonę dymną na świecie? Mimo wszystko nie chciało mi się w to wierzyć.

Postanowiłem raz jeszcze porozmawiać z żoną Stefana Radwana, panią Arietą Sosnowską-Radwanową. Skoro nie było żadnego dojścia do jej męża i wszyscy wiedzieli, że są obserwowani, ostatnia szansa znalezienia dziewczyny kryła się w inteligentnej inwigilacji domu. Pani Radwanowa wydała mi się kobietą na tyle sprytną, iż zdecydowałem się powierzyć jej los mojego honorarium.

Opuściłem komendę i z samochodu zadzwoniłem do pani Radwanowej. Odebrała prawie natychmiast, co źle świadczyło o stanie jej nerwów. Umówiliśmy się w Ikei na Targówku. Jej ochroniarz został w samochodzie, a my mieliśmy okazję potajemnie spotkać się w tamtejszej restauracji. Po drodze sprawdzałem, czy nie jedzie za mną detektyw Rudy, ale nikogo nie zauważyłem. Albo Rudy wykonywał inne zadanie, albo stał się niewidzialny i o wszystkim wkrótce doniesie Radwanowi. To był powód, dla którego zdecydowałem się zgłupieć. W toalecie Ikei ucharakteryzowałem się na długowłosego artystę w okularach i obwisłym ubraniu z bazaru. Byłem nie do poznania. Klasyczny łajza pozujący na posiadacza mózgu większego niż ten narysowany w atlasie anatomicznym. Gdybym kogoś takiego spotkał w metrze, natychmiast wykupiłbym w kiosku wszystkie gazety. A może nawet książki, kto wie? Inaczej byśmy nie pogadali na poziomie.

Usiadłem przy stoliku i zacząłem siorbać cienką herbatę z kubeczka. Wziąłem też ciastko, które co pewien czas nadgryzałem. Pani Radwanowa usiadła przy mnie ze swoją kawą i sałatką. Sprawiała wrażenie podnieconej i silniejszej niż poprzednio. Oby, bo nadchodziły ciężkie chwile.

- Jak się pani czuje? - zadałem standardowe pytanie detektywów.

- A jak mam się czuć? Jestem wykończona, łykam tabletki na uspokojenie, nie mogę spać - westchnęła kobieta. - Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie to piekło, gdy nie zna się losu własnego dziecka.

- Wiemy, że prawdopodobnie żyje - wtrąciłem cicho. Nie chciałem, żeby wpadła w histerię, dlatego to powiedziałem.

- Jest pan pewny? - dosłownie przeszła mnie wzrokiem. Aż ciary przeszły mi po plecach. Dobrze, że to nie ja byłem jej mężem, oj, dobrze.

- Nikt nie może być pewny, ale są szanse, że ją uratujemy...

- Pan coś wie i nie chce powiedzieć - przerwała mi. Jeszcze chwila i pani Radwanowa wyciśnie ze mnie obietnicę raju.

- Wierzę w to, a to nie to samo, co wiem - sparowałem jej natarcie, bo robiło się zbyt optymistycznie.

- A już miałam nadzieję... - uspokoiła się, choć nadal drżały jej dłonie.

- Musi pani nagrać rozmowy męża - poleciłem, nie tracąc czasu. - Dam pani trzy małe dyktafony. Proszę zostawiać je w pokojach, gdzie przebywa pan Radwan.

- A jak je zobaczy? - Pani Radwanowa miała głowę nie od parady. Jej ręce obejmowały w tym momencie kubek i prawie się nie poruszały. Na własne oczy zobaczyłem przykład narodzin stalowych nerwów po wypiciu kawy.

- Dyktafony proszę przykrywać kartką, gazetą albo serwetką - kontynuowałem. - W razie wpadki niech się pani nie przyznaje, że to pani sprzęt. Musimy zaryzykować, bo inaczej Nana z tego nie wyjdzie.

- Spróbuję - zgodziła się, a jej usta wpiły się w kubek z kawą. Niezłe miała ssanie jak na fałszywą kalekę. Po chwili wstała, wyrzuciła naczynko i wzięła z krzesła torebkę, do której wsunąłem dyktafony. Idź, babuniu, idź szybko do domu i nagraj, co trzeba, bo robię się niecierpliwy.

## ROZDZIAŁ 21

Trzy dni później, kiedy za oknami pojawił się pierwszy śnieg, sytuacja skomplikowała się bardziej, niż przed drugą wojną światową. Wstałem właśnie z łóżka po udanym pocałunku z Susan, gdy usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Byliśmy w moim mieszkaniu, zatem pofatygowałem się osobiście do wejścia. Nie muszę podkreślać, że narzuciłem na siebie szlafrok. Najciszej jak umiałem, podkradłem się do drzwi i zerknąłem przez wizjer. Walewski kiwał mi ręką w twarz, jakby wiedział, że właśnie go oglądam. Otworzyłem z irytacją. Instykt podpowiadał mi, że dobrze zrobiłem. Mój współpracownik wszedł do środka, mruknąwszy na powitanie coś, co przypominało warknięcie bulteriera. Od razu zagłębił się w moim ulubionym fotelu i sięgnął po papierosy. Dopiero kiedy zobaczył ruch mojego palca wskazującego, schował paczkę do kieszeni kurtki. Czapkę z daszkiem położył na stoliku i wymownie popatrzył na drzwi mojej sypialni. Chyba zwąchał płęć przeciwną, bo z uznaniem pokiwał głową.

- Coś się stało? - przerwałem milczenie. Zanosilo się, że facet zostanie do obiadu.

- Radwan dostał napisany na komputerze list od porywacza - odpowiedział Walewski.

- Do aresztu, żeby było jasne. Gnój żąda miliona euro za uwolnienie dziewczyny.

- Namierzyli go?

- List? - Było to pytanie z gatunku: „czy ja wyglądam na idiotę?”. No i klaniał się w pas pan Alzheimer.

- Nie, porywacza - wyjaśniłem cierpliwie.

- Nic nie mają - westchnął. - Radwana właśnie wypuścili. Ma dostarczyć pieniądze jutro o osiemnastej.

- Gdzie?

- Tamten zadzwoni i mu powie - odpowiedział Walewski. Woda z jego butów spływała wprost na mój puszysty jasny dywan, a pieniędzy na pralnię jak nie widziałem, tak nie widziałem.

- Policja kogoś podejrzewa? - zapytałem na wszelki wypadek. Walewski pokręcił



przecząco głową. Cały czas łypał na drzwi mojej sypialni. Niby nic, a wyczuwało się w powietrzu hormony. Stałem koło okna, oparty o parapet i grzałem sobie siedzenie kaloryferem. Wtedy Walewski odebrał telefon, po którym w ciągu kilku minut znaleźliśmy się w moim subaru. Zadzwoił jeden z policjantów i nieoficjalnie poinformował, że są na tropie porywacza. Oniemiałem. Takie przełomy w śledztwie znałem do tej pory tylko z filmów. Jednak sprawy nie zbagatelizowałem. Okazało się, że właśnie szykowano obławę w okolicach Żółtych Tarasów - do akcji wkraczało kilkunastu tajniaków. Porywacz zadzwonił i kazał dostarczyć pieniądze do jednego ze sklepów. Podał nawet nazwisko sprzedawcy. Gotówka miała być dostarczona w metalowej walizce z szyfrowym zamkiem. Kazał też Radwanowi natychmiast oddzwonić z telefonu stacjonarnego najbliższego sąsiada i osobiście potwierdzić, że wszystko jest jasne. Najwyraźniej chciał przeczołgać tatusia.

Zaparkowałem przed Pałacem Kultury, płacąc za tę przyjemność sporą forszę. Dochodziła dziesiąta, a ja jeszcze nie jadłem śniadania, co w moim wieku nie powinno się zdarzyć. Szedłem za Walewskim, a moje nozdrza atakował zatęchły zapach jego kurtki. On chyba nic nie czuł. Obejrzeliśmy sobie sklep, w którym Radwan miał zostawić pieniądze, po czym rozstaliśmy się na mniej więcej godzinę. Ja poszedłem na górę zjeść śniadanie w jednym z barków, a mój współpracownik został, żeby obserwować sklep. Wyglądało na to, że dobry policjant był po śniadaniu niezależnie od pory dnia.

Podgrzana bułka z serem i kawa ze śmietanką uspokoiły mnie. Zjadłem i obserwowałem mijających mnie ludzi. Niektórzy dopiero zapowiadali się na obywateli świadomych dziedzictwa narodowego, a inni najwyraźniej chcieli trafić kiedyś do więzienia, bo ubierali się za drogo i za wesoło, co nie podobało się urzędnikom państwowym. Zastanawiałem się, w jaki sposób porywacz zamierzał odebrać okup i zniknąć. Od czasu do czasu wydawało mi się, że rozpoznaję policyjnych tajniaków, ale pewności nie miałem. Klienci też chyba niczego nie zauważyli, bo szli przed siebie z wysoko podniesionymi głowami, zapatrzeni w wystawy i dobrobyt. Kiedy już zaczynałem się niepokoić o życie Walewskiego, dostałem sms z wiadomością, że Radwan zostawił pieniądze u jednego ze sprzedawców. Wstałem pospiesznie, położyłem parę monet na stoliku i poszedłem w stronę sklepu. W końcu chodziło o moją przyszłość.

Było kilka minut po jedenastej. Tłum coraz bardziej gęstniał. Siedzieliśmy z Walewskim przy stoliku w pobliskiej kawiarni i obserwowaliśmy wejście do sklepu. Stefan Radwan odjechał, zostawiając życie córki w rękach policji. Na mnie już prawdopodobnie przestał liczyć, bo nawet nie zadzwonił.

- Był z ochroniarzem? - zapytałem, popijając coca-colę z lodem. Wierzyłem, że

wyglądam na faceta, który właśnie zleca hydraulikowi przykręcenie złotego kranu w ubikacji. Martwił mnie tylko mój niekompletny strój - w pośpiechu nie zdążyłem założyć skarpetek, co o tej porze roku na pewno zwracało uwagę.

- Był, jak zawsze - potwierdził Walewski. - Z szefem swojej ochrony. Obaj zostawili forszę w sklepie i wyszli.

- Tak po prostu? - zdziwiłem się, bo nie chodziło przecież o sto dolarów. Coś mi tu nie grało. - Może kogoś tu zostawili?

- Chyba nie - zaprzeczył Walewski. - Wiedzą, że policja ma sklep na oku. Nas też już zauważyli...

Pobyty w kawiarni przedłużał się. Kelnerka już po raz piąty podawała nam kawę i wyglądała na taką, co to wie o nas wszystko. A miała bestia nie więcej niż dwadzieścia lat. Rzuciła w naszą stronę wzrokiem zbyt często, żebym tego nie zauważył. Dwa razy się do niej uśmiechnąłem, ale odpowiedziała mi czymś w rodzaju modlitwy za moją duszę. Wal się, gówniaro, pomyślałem z irytacją i przestałem być miły. Z teorii wiedziałem, że najtrudniejsze w pracy prywatnego detektywa jest czekanie. Teraz w praktyce dowiadywałem się, że samo czekanie może być jeszcze gorsze od teorii czekania. Czas dosłownie gryzł człowieka w cierpliwość, można było zwariować. Walewski znosił to o wiele lepiej ode mnie. Gapił się przed siebie i głośno siorbał kawę. Od razu było słychać, że nikt go nie wychowywał. Dobrze, że moja mama nas nie widziała, bo musiałbym się gęsto tłumaczyć z tej znajomości. Walewski przypominał człowieka, którego przygniotło nieszczęście o wadze co najmniej tony. W końcu, po trzech godzinach siedzenia w kawiarni, zadzwonił mój telefon. Pani Radwanowa z poświęceniem walczyła o moje honorarium. Wstałem od stolika i odszedłem na bok.

- Dzień dobry panu - przywitała się ze mną lekko zdyszana. Wykluczyłem fitness i seks, wydedukowałem, że była po prostu zdenerwowana. - Mam to, o co pan prosił... Mogę być za godzinę w osiedlowym sklepie. Przyjedzie pan? Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

- Za godzinę będę na miejscu - potwierdziłem spokojnym głosem, mimo iż gotów byłem wyć z radości. Nareszcie coś się ruszyło i to nie ja znajdowałem się na bocznic, ale policja. Pożegnałem Walewskiego i jak najszybciej skierowałem się do sklepu, którego nie widziałem na oczy. Mogłem sobie tylko wyobrazić jego lokalizację.

Zanim się przedarłem przez korki, upłynęła prawie godzina. Miejsce spotkania rozpoznałem oczywiście po tablicy z napisem „sklep spożywczy”. W trakcie jazdy w skrócie zreferowałem Susan co się dzieje i kazałem pilnować interesów w biurze. Obiecała, że wszystkiego dopilnuje, a ja mam zadbać o odnalezienie Nany Radwan. Idealna kobieta,

pomyślałem, wszystko rozumie, a na dodatek nigdy nie boli ją głowa. Zaparkowałem za sklepem i jak każdy miejscowy klient wszedłem do środka. Nie był to ani hipermarket, ani hurtownia. Raczej podręczny magazyn części zamiennych pierwszej potrzeby. Na półkach leżały chleby, bułki, soki, konserwy i słodycze. Sprzedawca stał przy kasie i witał wszystkich jak rodzinę, w tym także mnie. Oglądanie towaru zajęło mi dobre dziesięć minut. Pani Radwanowa zjawiała się na własnych nogach, ale nie zapomniała efektownie chwiać się na boki. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że w każdej chwili grozi jej śmiertelny upadek, a mimo to ona nie poddaje się i dzielnie walczy z chorobą aż do końca. Za sklepowym regałem pani Arieta wręczyła mi pospiesznie dwa dyktafony i szepnęła, nie patrząc w moją stronę:

- Jak coś jeszcze nagram, zadzwonię.

W samochodzie odsłuchałem nagranie z pierwszego dyktafonu i włosy stanęły mi na głowie. Rozpoznałem zdenerwowany głos Stefana Radwana: „Kiedy odzyskam córkę?... Dobrze, żadnej policji... Obiecał pan, że szybko wróci do domu... Jestem spokojny, ale chcę mieć pewność... Zostawiam pieniądze w sklepie. Tak, tak, w tym sklepie... Gdzie ona jest? Chcę z nią porozmawiać... Muszę, bo panu nie wierzę... Tak, czekam”. Usłyszałem trzaski, jakby ktoś łamał plastik. Po chwili znów rozległ się dzwonek telefonu i głos Radwana: „Słyszę... Nana? Boże, ty żyjesz... Nic się nie martw... Tak, wiem, że wszystko jest w porządku... Czekam na jej powrót. Dotrzymam swojej części umowy. Dostanie pan milion euro, jak obiecałem... Kiedy córka wróci do domu? Dobrze, czekam...”. Domyśliłem się, że obaj rozmawiali przez jednorazowe karty telefoniczne i w ten sposób byli nie do namierzenia. Dlatego bilingi nie mogły naprowadzić policji na jakikolwiek trop. Dowiedziałem się najważniejszego - ojczym Nany nie był porywaczem i naprawdę chciał odzyskać córkę. Nie podobały mi się tylko zdjęcia pornograficzne w jego komputerze. Nadal musiałem go podejrzewać o skłonności pedofilskie.

Sięgnąłem po drugi dyktafon. Włączyłem go i usłyszałem znajomy głos. Nie mogłem sobie przypomnieć, do kogo należał, ale byłem pewien, że już go gdzieś słyszałem: „To ja... Nie tak miało być... Miałeś czekać na moją decyzję... Tak, ale te nowe okoliczności... Spotkajmy się... Dobrze, na Starym Mieście... Tak, tam gdzie zwykle. O dwudziestej...”. Nagranie zostało przerwane i znów usłyszałem trzask plastiku. Tym razem nabrałem pewności, że w ten sposób były usuwane i niszczone jednorazowe karty telefoniczne. Mniej więcej w połowie rozmowy przypomniałem sobie głos szefa ochrony Stefana Radwana. O ile pamiętałem, Walewski położył mi kiedyś na biurku pełną listę wszystkich ochroniarzy miliardera. Szef ochrony nazywał się Michał Gabryś. Jego życiorys był bardzo interesujący. Gabryś najpierw uczył się fachu w Polsce, potem w komunistycznej Rosji, w końcu u

Amerykanów. Przez jakiś czas służył w jednostkach specjalnych, a potem jako instruktor w wojskach powietrzno-desantowych. Miał też kilkuletni epizod w trzech ambasadach. Od przenoszenia papierów z pokoju do pokoju tak mu się wzmocniły mięśnie, że teraz mógł bez wysiłku podnieść stukilową sztangę. Nawet nie chciałem sobie wyobrazić, że przez ręce tego człowieka prześlizgnęli się najbardziej kłopotliwi dla komunistów dysydenci. Gabryś mógł być tym, który pierwszy odnotowywał ich nagłe zgony. Oczywiście na serce, bo kto z emigrantów politycznych miałby czas umrzeć inaczej, prawda? Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że sprawa zaczynała mocno śmierdzieć. Nie mogłem jeszcze skojarzyć niektórych informacji, ale obraz stopniowo się wyostrzał. Najwyraźniej szef ochrony na własną rękę usiłował ratować córkę swojego szefa. Tylko dlaczego?

Przez następnych kilka godzin siedziałem w biurze i czekałem na telefon od Walewskiego. Susan przytuliła się do mnie aż dwa razy i oboje mieliśmy z tego powodu dużo radości. Trzeba przyznać, że świeże związki miały nad starymi tę przewagę, iż człowiek angażował się w nie tak, jak stał. Potem, w miarę upływu czasu, stopniowo znajdował czas na rozbieranie i ubieranie, na rozmowę, na jej brak, aż w końcu w ogóle przestawał się rozbierać i ubierać. Susan odsłuchiwała rozmowy na dyktafonie i była wyraźnie poruszona.

- A więc ojciec Nany nie ma żadnego wina - stwierdziła, a ja wywnioskowałem z tego, że według niej Radwan jest po prostu niewinny.

- Pozostaje kwestia zdjęć - powiedziałem to na wpół do siebie. Piłem kolejną kawę i zastanawiałem się, jakim cudem ojczym dzwonił z Puszczy Białowieskiej, z domu, gdzie więziono Nanę, do swojego szefa ochrony. I po co, skoro się nie odezwał? Dlaczego nie skorzystał z jednorazowej karty? No i gdzie nagle zniknęły zdjęcia z komputera? Kto zamienił twarde dyski?

- Co myślisz o tym szefie ochrony? - zapytałem Susan, która w kolorowej sukience i butach na wysokich obcasach wyglądała lepiej od wszystkich przymiotników świata.

- Coś pracuje na prywatnie - odpowiedziała. - To cwaniak i zna roboty policjanta. Nie wiem, co knuje, darling...

Po słowie darling zwykle wychodziłem z siebie, ale tym razem spasowałem. Co za dużo, to niezdrowo. Susan poinformowała mnie nagle, że idzie do sklepu po kawę i bułki na kolację, po czym zostałem sam. Dwadzieścia pompek i tyle samo przysiadów sprawiło, iż napięcie mięśni minęło, a senność zamieniła się w coś na kształt nadciśnienia. Dziwne uczucie, gdyby ktoś nie wiedział. Niby wiemy, że jesteśmy rozgrzani, a z drugiej strony organizm woła, iż nie ma już ochoty pracować za trzech. Podeszedłem do okna i szeroko je otworzyłem. Zimne powietrze natychmiast wypełniło biuro. Po chwili zrobiło mi się zimno.

Kiedy sięgnąłem do okiennej klamki, poczułem bolesne uderzenie w ramię i wylądowałem na podłodze. Przez moment nie wiedziałem, co się stało, ale wystarczyło jedno spojrzenie, abym zorientował się, że zostałem postrzelony. Cóż, z pewnością zaszła jakaś pomyłka - ktoś po prostu zaczął polowanie w mieście zamiast w lesie. Krwawiłem jak na wojnie, a ból palił mnie żywym ogniem. Z wysiłkiem dźwignąłem się z podłogi i wykręciłem numer do Borga.

- Dostałem i krwawię - zacząłem od najważniejszego. - Leżę w biurze na podłodze...  
Wezwij karetkę...

- Zaraz będę - usłyszałem głos mojego drugiego współpracownika.

Przewiązałem ramię ręcznikiem i usiadłem na podłodze w sekretariacie. Nawet Nicolas Cage mógłby u mnie pobierać lekcje zachowywania się po postrzale. W gaciach pełno, ale twarz kamienna jak serce komornika.

## ROZDZIAŁ 22

Marek Borg nadjechał równolegle z karetką. Ludzie z pogotowia wbiegli do biura, rozebrali mnie do pasa i robili takie rzeczy, że lepiej o tym zapomnieć. Borg sprawdzał w tym czasie dziurę w ścianie i wydłubywał kulę. Wyrzwał też przez okno. Widać było, że kombinuje, skąd do mnie strzelano. Lekarz zrobił co trzeba i okazało się, że wcale nie muszę iść do szpitala. Dobry był z niego człowiek. Kula przebiła mięsień, nie naruszyła kości ani nerwów i - krótko mówiąc - zachowała się jak najlepszy przyjaciel. Bandaż trochę mnie usztywniał, ale nie na tyle, żebym chciał jechać do sanatorium. Zawiadomiliśmy oczywiście policję i wcale nie musieliśmy długo czekać na zainteresowanie. Zeznałem, co trzeba, a oni wzięli się za mierzenie, wachanie i mlaskanie, że aż zrobiło się intymnie. Borg skinął głową w moją stronę i po chwili mogliśmy zakończyć tę scenę. Biuro zostało zamknięte na klucz, a my udaliśmy się na Stare Miasto. Zanim tam dojechałem, Borg powiedział, co o tym wszystkim myśli, przy okazji prowadząc mój wóz, jakby znali się od dziecka.

- Snajper - stwierdził. - I to dobry. Mógł strzelać z WA 2000...

- Brzmi nieźle, ale co to jest? - przerwałem mu.

- Karabin. Niektórzy uważają go bardziej za wyczynowy niż wojskowy - odparł. - Znam lepsze, ale z tego też można zabić.

- Niewiele brakowało - podsumowałem smętnie. Ramię zaczynało coraz bardziej boleć.

- Gdyby chciał pana sprzątnąć, już mielibyśmy pogrzeb. Nabój był szwajcarski... To kaliber 7,5.

- Nie chciał mnie zabić? - zdziwiłem się.

- Ano nie - odpowiedział antyterrorysta. - Takiej amunicji używają tylko zawodowcy. Może chcą szefa tylko nastraszyć?

- Mnie nie można nastraszyć - warknąłem, bo znieczulenie naprawdę przestawało działać. Spojrzał na mnie jak na piwnicę przed sprzątaniem.

- To jest nas już dwóch - podsumował optymistycznie, ale spojrzenie mu się nie

zmieniło. - Z tej broni może strzelać też mańkut...

- Nie rozumiem.

- Tak jest zrobiona - wyjaśnił. - Łatwo ją dostosować.

- Ale nie mamy pewności, że to mańkut, prawda?

- Ano nie mamy - westchnął naprawdę ciężko.

Zaparkowaliśmy na Podwalu i po krótkim marszu przez Piekarską wyłonił się przed nami rynek Starego Miasta. Wiał wiatr, gdzieś w półmroku snuli się nieliczni turyści i okoliczni mieszkańcy, światła zapalały się w kolejnych oknach, wszystko przygotowywało się na nadejście chłodnej nocy. Zatrzymałem się na rogu rynku i obserwowałem zbliżających się ludzi. Jak na razie nikt nie przypominał szefa ochrony Stefana Radwana. Borg oddalił się dyskretnie i po swojemu sprawdzał teren. Zeszyte ramię bolało mnie już na całego, ale udawałem, że nic się nie dzieje. Mimo zimna byłem spocony, jakbym miał gorączkę. Michał Gabryś pojawił się kilka minut przed dwudziestą. Trzeba przyznać, że był cholernie przystojny. W długim płaszczu wyglądał jak skrzyżowanie Jamesa Bonda z Robocopem. Siła spokoju, ot co.

Wszedł do jednej z restauracji i po chwili wyszedł. Najwidoczniej coś go zdenerwowało, bo zaczął spacerować raz w jedną, raz w drugą stronę. Zapalił papierosa, co mogło oznaczać, że z kondycją było u niego krucho. Borg stał kilka metrów dalej. Gdyby nie okoliczności, poznałbym panów w jednej chwili. Nagle koło Gabryśia wyłonił się wysoki młody mężczyzna koło trzydziestki. Dawno nie widziałem kogoś tak starannie ubranego. Jeśli bez garnituru można wyglądać doskonale, ten mężczyzna był tego idealnym przykładem. Kurtka, golf, buty, włosy i szalik przerzucony przez ramię nawet w zapadających ciemnościach przyciągały uwagę. Ich właściciel miał długie czarne włosy pokryte lśniącem żelem, wystylizowaną brodę i wąsy oraz okulary, na widok których człowiek łapał się za portfel. Ochroniarz przywitał się z nieznajomym, zamienili kilka zdań i skierowali się w stronę parkingu przy Kapitulnej. Ruszyłem za nimi, nie podchodząc za blisko, bo Gabryś łatwo by mnie rozpoznał. Borg mógł sobie pozwolić na większą śmiałość, szedł kilka kroków za nimi. Nie starał się nawet ukrywać; przy jego wzroście i sylwetce było to raczej niemożliwe. Po prostu szedł sobie z ręką w kieszeni i udawał, że rozmawia przez telefon. A dając słowo, wcale do niego nie dzwoniłem.

Gabryś i nieznajomy wsiedli na parkingu do sportowej toyoty, ale nie uruchomili silnika. Najwyraźniej dzielili się jakimiś ważnymi przemyśleniami. Po dwudziestu minutach ochroniarz wysiadł i kuląc się przed wiatrem, poszedł w stronę placu Zamkowego. Elegant wyjechał z parkingu, a my za nim. Mój subaru sunął niczym cień za toyotą. Ruch był spory,

wzmagał się wiatr, a krople deszczu na szybach wcale nie ułatwiały śledzenia. Na szczęście Borg zasługiwał na pieniądze, jakie mu płaciłem. Jechał inteligentnie raz jednym, raz drugim pasem, chowając się za innymi samochodami. Byłem bardzo ciekawy, dokąd nas ta podróż zaprowadzi.

Po dłuższej jeździe znaleźliśmy się w okolicach Wawra. Minęliśmy po prawej stronie stację benzynową i po chwili znaleźliśmy się na willowych peryferiach dużego miasta. Sportowa toyota poruszała się zgodnie z przepisami do tego stopnia, że robiło się niedobrze. Gdyby wszyscy jeździli w ten sposób, Warszawa szybko stanęłaby w miejscu i po prostu umarła. Na jednej z uliczek pomiędzy prywatnymi domami toyota skręciła w prawo, znikając wśród drzew i krzaków. Zaparkowaliśmy na ulicy i pobiegliśmy zaniedbaną drogą w stronę ciemnego kształtu domu w ogrodzie. Nieznajomy parkował właśnie przed schodami. Światła jego samochodu omiotły ciemne okna. Prawdę mówiąc, atmosfera zrobiła się ciężka jak na egzaminie. Borg zatrzymał się pod grubym drzewem, więc zrobiłem to samo. Mijały sekundy, a nasz nieznajomy nie wychodził z samochodu. Gdybym nie znał życia, powiedziałbym, że gość odwalił kitę. Na pewno nie było to dobre miejsce na kontemplowanie czegokolwiek. Upłynęło kilka minut i nic. Wieje wiatr, pada deszcz, robi się coraz chłodniej, a my czekamy na występ faceta, o którym wiemy tylko tyle, że jest cholernie przystojny. W końcu Borg ruszył powoli w kierunku toyoty. Dał znak, że mam pozostać na miejscu. Rozumiałem go - gdyby dostał kulkę, ja miałem uratować mu życie. Dobry plan.

Mniej więcej po pięciu minutach wiedzieliśmy już, że jesteśmy cienkimi Bolkami. Borg zajrzał dyskretnie do toyoty, po czym błyskawicznie otworzył drzwi i wycelował z beretty w fotel kierowcy. Podbiegłem do niego, ale nic to nie dało. Zdarzył się cud i byliśmy tego świadkami. Nieznajomy zniknął. Ani Borg, ani ja nie mieliśmy pojęcia, jak to zrobił. Były antyterrorysta był wściekły i chyba zawstydzony. Zbadał niewyraźne ślady na podjeździe, sprawdził światło w samochodzie, po czym z rezygnacją pokiwał głową. Ani chybi zaraz pójdą w ruch prochy albo będę świadkiem wybuchu hysterii.

- Zwiął - stwierdziłem na wszelki wypadek. Oglądałem terapię w różnych filmach i w tym sensie czułem się wykwalifikowanym psychoterapeutą. Postawiłem na rozmowę.

- Rozłączył światło, żeby się nie zapaliło, kiedy otwierał drzwi - wyjaśnił Borg. - Albo nas zauważył w ostatniej chwili, albo ktoś go ostrzegł...

- Jest taki jeden - przypomniało mi się spotkanie z detektywem Rudym. - Na zlecenie Radwana śledzi nas pewien prywatny detektyw. On rzeczywiście mógł nas zauważyć i zadzwonić.

- Do Radwana - dokończył Borg. - Urwę gnojowi łeb.



- Ktoś musiał go podsłuchać i ostrzegł tego tutaj - pokazałem wzrokiem na siedzenie kierowcy toyoty. - Jak znam życie, to na pewno korzystał z jednorazowej karty. Zero śladów...

- Może pogadamy z tym Rudym?

- Facet obserwuje tylko naszą agencję - uspokoiłem go, bo gotów był zmienić kierunek naszych poszukiwań. - Wie tylko to, co widział u nas. Takie ma zlecenie i tego musi się trzymać.

- Ale położył nam robotę - warknął Borg. Wyjął telefon i zadzwonił na policję. Poprosił o sprawdzenie numerów i poinformował o porzuconym samochodzie. Deszcz zaczął padać jeszcze mocniej. Policja musiała dokładnie sprawdzić wóz i pozdejmować odciski palców. Zastanawiałem się, co krył niezamieszkały dom.

- Może to Jerzy Tank? - zapytałem nagle.

- Ten porywacz?

- Wszystko pasuje - potwierdziłem. - Przystojny, wiek się zgadza, cwany... Przydałoby się zajrzeć do tego domu.

Nie zdążyłem. W tym momencie pojawiły się dwa radiowozy. Oczywiście oślepiły nas niebieskim światłem. Na szczęście obyło się bez syreny i budzenia okolicznych mieszkańców. Samochody zahamowały z piskiem i od razu dowiedzieliśmy się, gdzie nasze miejsce. Aspirant Marian Kukułas obrzucił nas nieufnym spojrzeniem i wziął się do roboty. Najpierw kazał jednemu ze swoich ludzi zabrać toyotę do laboratorium. Tamten wsiadł za kierownicę w gumowych rękawiczkach, przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał. Pozostali rozeszli się, obstawiając teren wokół domu. Aspirant Kukułas zaprosił mnie i Borga do radiowozu na tylne siedzenie i cierpliwie wysłuchał moich wyjaśnień. Nie wiem, czy go przekonałem, ale obecność byłego antyterrorysty na pewno mi nie zaszkodziła. Pies wyczuł psa i wszyscy byliśmy zadowoleni.

- Weszliście do środka? - zapytał przytomnie policjant.

- Nie zdążyliśmy - wyjaśniłem. - Może wejdziemy teraz?

Zgodnie z moją sugestią weszliśmy do willi. Jeden z policjantów otworzył zamek w drzwiach, a ja dzięki temu nabrałem wiary w ludzi. Chałupa była nasza, jakby nie powiedzieć. Standardowy rozkład z lat siedemdziesiątych mógł przygnębić każdego. Szaro, ciasno i smutno. Politura, sklejka i niegustowne kafelki. Ktoś zbudował ten bunkier i najprawdopodobniej nigdy w nim nie mieszkał. Wszystko zalatywało tu fuzerką, tymczasowością i klimatami pod wynajem. Obeszliśmy cały dom, ale poza kurzem i pajęczynami niczego nie znaleźliśmy. Wyglądało na to, że nieznajomy mężczyzna z toyoty

wjechał tutaj przypadkiem albo po prostu chciał nas zgubić. Obejrzelśmy garaż, piwnicę i kotłownię, ale - Bóg mi świadkiem - nic fajnego tam się nie działo. Ekipa aspiranta Kukułasa sprawdziła dom dwukrotnie. Wynik oględzin za każdym razem był podobny. Policjant splunął przez zęby i pogwizdując cicho, dał sygnał do odwrotu.

- Sprawdzimy właściciela domu i samochodu - odezwał się w korytarzu, przy drzwiach wyjściowych.

- Zadzwoisz? - Najwyraźniej Borg był „na ty” ze wszystkimi policjantami. Jakies kilkadziesiąt tysięcy ludzi, dla ścisłości.

- Się wie - potwierdził Kukułasa. Obaj pożegnali się mocnym uściskiem dłoni. Ja zostałem potraktowany oficjalnie: „dobranoc” i salut jak na defiladzie. Radiowozy odjechały, a my ruszyliśmy w stronę subaru. Deszcz przestał padać i wydawało się, że za jakieś dziesięć minut rozpocznie się wiosna, a to przecież rozkręcał się listopad, niestety.

Telefon Borga zadzwonił, kiedy byliśmy w drodze do centrum. Oparłem się o zagłówek i zacisnąłem zęby. Moje ramię dopiero teraz naprawdę zaczęło boleć. Poza tym czułem, że mam gorączkę.

- Jest ranny - Borg informował kogoś o mojej dolegliwości, jakby chodziło o godzinę.  
- Wyrolował nas, bo chyba dostał cynk, że za nim jedziemy... Tak, zadzwoń jutro - dokończył. - Walewski... Martwi się o pana.

- Znalazł coś?

- Nic, ale na pewno znajdzie. Dokąd pana zawieźć?

- Do domu - jęknąłem. - Muszę się położyć.

Potem był drugi telefon. Dziwny, bo mój współpracownik nie odezwał się ani słowem, tylko słuchał. Ktoś chyba cierpiał na słowotok. Monolog trwał ze trzy minuty. W trakcie tej relacji Borg niemiłosiernie żyłował silnik, od czasu do czasu mruczał coś pod nosem i ogólnie sprawiał wrażenie wielkiego przygłupa. W pewnym momencie skrzywił usta, co miało oznaczać uśmiech. Kiedy schował telefon do kieszeni kurtki, zamieniłem się w słuch.

- Dupa mokra - nawiązał do zajęć z anatomii. - Dom jest wynajęty jakiemuś bezdomnemu figurantowi, a samochód ma fałszywe numery. Możemy sobie szukać faceta do oporu.

- Tylko dlaczego tam pojechał? - zapytałem cicho. - Nie męczy cię to?

Były antyterrorysta obrzucił mnie wiele mówiącym spojrzeniem i zaprzeczył ruchem głowy.

- Może jechał do innego domu, dowiedział się, że za nim jedziemy i skrzywił w pierwszą lepszą drogę? - zacytował mi fragment z jakiejś powieści kryminalnej. - Nic nie

wymyślmy, szefie. Szkoda głowy...

Nie odezwałem się. Coś mi nie grało i nie zamierzałem tego lekceważyć. Gdybym nie ufał instynktowi, byłbym nikim w dziennikarstwie śledczym. Musiałem zaryzykować i poddać się przeczuciu. Wiedziałem, że w sprawie Nany Radwan w każdej chwili może nastąpić przełom. Poza tym nie bardzo chciało mi się wierzyć, że Tank przyjechał pod opuszczony dom ot tak sobie. Cała dzielnica wydała mi się w tej sprawie ważniejsza, niż początkowo myślałem.

## ROZDZIAŁ 23

Nana zjadła resztki sardynek z puszki, przełknęła ostatni kęs suchara i popiła herbatą. Nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc. Bała się. Straciła kontrolę nad upływem czasu. Co kilka godzin wyłączała męczące światło jarzeniówki. Pomieszczenie było duże i zakurzone, ale urządzenia i meble nowe. Zauważyła, że ktoś kupił wszystko w Ikei i ze smakiem zaaranżował pomieszczenie. Lodówka, pralka i łazienka również nie budziły jej sprzeciwu. Pysznic, wanna, sedes, kafelki i baterie zostały dobrane zgodnie z najnowocześniejszymi trendami. Wywietrzniki umieszczone w ścianach działały sprawnie, więc powietrze było stosunkowo świeże. Zamocowano tu też elektryczne kaloryfery. Telewizora ani radia nie udało jej się włączyć, ponieważ ktoś celowo zabrał wszystkie kable. Gdyby nie brak okien, całość nadawałaby się do zupełnie znośnego życia.

Nana miała już za sobą pierwszą histerię i paraliżujący strach. Teraz skupiła się na analizie sytuacji bez wyjścia. Od najmłodszych lat odnajdywała w sobie siłę, o którą trudno byłoby ją podejrzewać. Przyjaźnie i miłości nigdy nie wywoływały u niej tak silnych emocji jak u koleżanek. One potrafiły płakać całymi godzinami, skarżyć się, omawiać każdy najdrobniejszy szczegół nieszczęśliwej miłości, a Nana niemalże od razu zapominała o niepowodzeniu i skupiała się na przyszłości. Ten naturalny optymizm uratował ją przed wieloma błędami dojrzewania i związkami z łowcami majątku jej ojca. Niektórzy z nich chcieli, aby zaszła z nimi w ciążę. Liczyli na wejście do rodziny i łatwe życie. Dlatego, gdy ktokolwiek wzbudzał jej podejrzenia lub przestawał bawić, zegnała go, zanim zdołał cokolwiek wyjaśnić. Bawiła się, cieszyła życiem i beztroską, ale dopiero po porwaniu, a szczególnie teraz, w piwnicy odciętej od świata, uświadomiła sobie siłę własnego charakteru.

Przez pierwsze kilka nocy próbowała krzyczeć i wspinać się do otworów wentylacyjnych. Uderzała także pokrywką o garnek, ale i to nie pomagało. Nikt jej nie usłyszał. W końcu zajęła się sprzątaniami i gimnastyką. Za wszelką cenę postanowiła nie poddawać się i zachować formę na wypadek, gdyby musiała walczyć o życie. Wmawiała sobie, że w końcu ktoś po nią przyjdzie i była zdecydowana walczyć z Tonim. Zdarzało się,

że robiła sobie wyrzuty za niepowodzenie wcześniejszej próby ucieczki. Wypominała sobie, że nie działała z odpowiednią determinacją, że panicznie bała się konsekwencji po ewentualnym schwytaniu. Teraz była gotowa nawet umrzeć i wydawało jej się to czymś prawie naturalnym. Chętnie też wspominała odwiedziny tajemniczego kochanka. Nie wiedziała dlaczego, ale tęskniła za jego dotykiem i zapachem, za delikatnością i czułością, jakimi ją obdarzał. Próbowwała zgadywać, czy mogłaby go pokochać, jak wygląda, co robi i dlaczego się nią zabawiał. Przypuszczalnie nic nie wiedział o jej losie. Mimo to wierzyła, że zaniepokojony brakiem spotkań na pewno już jej szuka. Milczący mężczyzna - wbrew logice - stopniowo stawał się dla Nany kimś ważnym. Marzyła o nim, wspominała go, smakowała każdą chwilę z nim spędzoną. W ten sposób łatwiej zapominała o uwięzieniu i podtrzymywała w sobie nadzieję.

## ROZDZIAŁ 24

Śpiąca obok Susan dała mi tym razem spokój. Czekala na mnie w moim mieszkaniu z kolacją. Na dodatek różniła się od Susan, jaką znałem; tym razem ubrała się w dres, a jej uczesanie i makijaż upodabniały ją co najwyżej do zakonnicy. Swój seksapil schowała tak głęboko, iż wymagał naprawdę sporej wyobraźni. Jeśli chodzi o mnie, byłem zmęczony i nie ruszały mnie żadne wdzięki.

Rano obudziłem się kilka minut po ósmej i od razu poczułem zapach jajecznicy na boczku. Konkretnie śniadanie dla konkretnego faceta. Ramię co prawda bolało, ale po tabletkach przeciwbólowych i twardym śnie wracałem do formy. Susan śpiewała jakąś dynamiczną piosenkę przy wtórze radia, a przez żaluzje widać było jasne światło dnia. Wstałem i wyjrzałem przez okno. Po wczorajszym deszczu i wietrze nie było śladu. Na niebie świeciło słońce, a powietrze było ostre i mroźne. Szron malował delikatne wzorki na szybach. Kilka minut później dowiedziałem się, że policja dała ciała i milion euro wyparował w niewiadomym kierunku. Zadzwoił Walewski, a jego głos zdradzał niemalże rodzinny związek ze sprawą.

- Szefie, ktoś zwinął okup - zawołał na powitanie.

- Pod okiem policji? - zapytałem z niezamierzonym przekąsem.

- No tak... - potwierdził. - Pilnowali walizki i gościa w sklepie, a okazało się, że forsa została w torbie w samochodzie Radwana. Nasz klient po prostu oszukał policję i oddał szmal porywaczowi. Co pan na to?

- Dobry numer - stwierdziłem, siadając na łóżku. - Domyślam się, że policja nie ma żadnego śladu, tak?

- Zero, szefie - zgodził się ze mną, ale nie tracił wiary w swoich kolegów. - Szukają go...

- Kogo?

- Jerzego Tanka - wyjaśnił. - Teraz poszli na całość. Wszyscy policjanci i inne służby dostali jego zdjęcie. Odciski w toyocie należały do niego. Gość się nie wymknie. Żadne

przebieranki ani operacje plastyczne mu nie pomogą...

- Nie rozpoznałem go - przerwałem. - Co prawda na rynku było ciemno, ale powinienem go rozpoznać. Broda, wąsy, długie włosy, okulary...

- Znajdziemy go, szefie - pocieszył mnie Walewski. - Z taką forszą się nie przemknie...

- Obawiam się, że właśnie z taką forszą gdzieś się zaszyje i będzie po ptakach - zaprzeczyłem gwałtownie.

- Dziewczyna pewnie już gryzie ziemię - wtrącił Walewski. - Do tej pory jej nie wypuścił, a miał na to całą noc.

- Nic nie wiadomo - odparłem filozoficznie. Niech wie, że drzemie we mnie ktoś lepszy.

- Jeśli Nana żyje, gdzieś muszą ją trzymać - Walewski przechodził sam siebie. - Może nawet w jakiejś dziupli, żeby nie było świadków...

- Pomyślę o tym - zakończyłem rozmowę. - Niech pan pojeździ za Gabrysiem... Kojarzy go pan? Szef ochrony Radwana.

Potem Susan zamieniła się w mojego kierowcę. Pojechaliśmy do biura, a ja nie mogłem przestać myśleć o pustym domu w Wawrze. Zdecydowałem się zadzwonić do właściciela tajemniczej posesji i sprawdzić, o co w tym wszystkim chodziło. Susan bez trudu zdobyła numer i mogłem dowalić do pieca. Ostre zimowe słońce za oknem nastrajało mnie wyjątkowo optymistycznie. Nie zamartwiałem się nawet o mój oddalający się milion euro. Popijałem zieloną herbatę i spokojnie wykręcałem numer do Pruszkowa. Po chwili usłyszałem cienki głosik - ani męski, ani żeński.

- Czy mogę rozmawiać z panem Czesławem Figlem? - Na wszelki wypadek zacząłem bardzo ostrożnie.

- Przy telefonie... - Trafiłem, choć byłem bliski parsknięcia śmiechem. Dla równowagi wzięłem łyk herbaty, przedstawiłem się i przeszedłem do rzeczy.

- Zna pan człowieka, któremu wynajął pan dom?

- Już mówiłem policji, że go nie znam - wyjaśnił z wyraźnym niezadowoleniem pan Figiel. - Dom wynajął starszy człowiek o nazwisku Czochraj. Ja, proszę pana, mam dobrą pamięć do nazwisk...

- Powiedział pan, że był stary...

- Tak, i zaniedbany - potwierdził mój rozmówca. - No i trochę śmierdział. Wie pan... Tak, jakby się nie mył. Przypominał tych bezdomnych z Dworca Centralnego.

- Zapłacił?

- Za trzy lata z góry. - Cienki głosik stał się jeszcze cieńszy. Jego właściciel musiał

być delikatny jak ołówek.

- I nigdy pan tam nie był? - spróbowałem z innej strony.

- A po co? Facet zapłacił i nic mi do niego - obruszył się pan Figiel.

- A gdyby coś zniszczył, nielegalnie przebudował lub ukradł? - podsunąłem mu scenariusz. Nawet nie westchnął.

- Nie ma co gdybać - uciął. - Czy to wszystko? Jeśli tak, to do widzenia. Mam robotę...

Kilka minut później zasnąłem w fotelu przy biurku. Osłabiony organizm najwyraźniej buntował się przeciwko mojej nadmiernej aktywności. Ramię nadal bolało, ale udawałem twardziela. Obudził mnie telefon od Walewskiego. Za oknami było szaro, co oznaczało, że przespałem środek dnia i jeszcze trochę.

- Coś się dzieje - zawołał do słuchawki były policjant. - Porywacz wyjechał z Warszawy i kieruje się na zachód...

- Nie rozumiem. Goni kogoś, ucieka z kraju, chce odwiedzić kuzyna? - zapytałem, oszołomiony inicjatywą Walewskiego. Miałem nadzieję, że nie zwariował.

- Jesteśmy kilka kilometrów za Poznaniem - wysapał. - Chyba kogoś goni...

- Kogo?

- Nie wiem. Może faceta w czarnym volvo, może w niebieskim jaguarze, a może...

- Panie Walewski, co się z panem dzieje? - zapytałem po ojcowsku.

- A dzieje się, dzieje, szefie - Walewski w ogóle nie przejął się moim zdenerwowaniem. Gdybym stał obok niego, pewnie położyłby mi na ramieniu rękę i zapytał, czego się napiję. - On gdzieś jedzie i czuję, że coś się szykuje...

Rozłączyłem się, bo zanosilo się na rotaty. Po czymś takim człowiek do własnego ojca mówił szeptem. Nie zdążyłem pomyśleć, gdy Walewski zadzwonił po raz drugi.

- Szefie, jest jeszcze jedna sprawa - kontynuował jakby nigdy nic. - Policja znalazła twardego dysk Radwana. Ten ze zdjęciami dzieci... To czysta pornografia. Już po niego jadą...

- Gdzie znalazła dysk? - przerwałem, bo nie wierzyłem w cuda.

- W oponie w garażu - wyjaśnił Walewski. - Takiej na feldze, żeby wyglądała na używaną. Sprytny numer... Była tylko trochę nacięta. Tak, żeby wepchnąć dysk do środka. Za godzinę powinni gościa złapać.

- W porządku, panie Walewski - pochwaliłem go za kawał dobrej roboty. - Proszę dzwonić i informować mnie na bieżąco co z Tankiem.

Wyłączyłem telefon i kątem oka zobaczyłem Susan. Poprawiała rajstopy, co samo w sobie nie było dziwne, ale w jej wykonaniu przypominało taniec łabędzia. Już miałem zamiar namiętnie gęgnąć, ale ból w ramieniu ostudził moje zapały. Wstałem i ruszyłem w stronę



drzwi. Martwiła mnie sytuacja Radwana. Zanosiło się na długi areszt i jeszcze dłuższy proces. Oto milioner-pedofil skrzywdził własne dziecko i upozorował jego porwanie. Zapłacił nawet okrągły milion, który i tak do niego wrócił. Misterna robótka, powiedziałaby jakiś filmowy bohater. Wyglądało na to, że mój instynkt dziennikarski tym razem zawiódł.

- Jak się czujesz? - zapytała Susan, a jej spojrzenie załaskotało mnie jak należy. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Męczy mnie ta sprawa - odparłem. Szkoda, że nie powiedziałem, że męczy mnie w ogóle robota. Może wywróżyłaby mi duży kredyt i jego natychmiastowe umorzenie.

- Chcesz pojechać do domu? - zbliżyła się i objęła mnie w pasie. Ładnie pachniała - inaczej niż ludzie w tramwaju. Jej włosy łaskotały mnie w nos, ale wytrzymałem. Kto to widział? Mieliśmy początek zimy, a ja zachowywałem się jak hutniczy piec: poczerwieniałem z gorąca. Potem ona runęła nagle na kolana, skupiła się i odleciałem na parę minut w kosmos. Na szczęście nikt w tym czasie nie zajrzał do agencji, bo mielibyśmy sprawę o nieobyczajne zachowanie w miejscu publicznym. Pół godziny później byliśmy w drodze do policyjnego aresztu. Susan kierowała, a ja obserwowałem światła w oknach domów i biur. Korek, w jaki wpadliśmy, denerwował mnie bardziej od podatków.

Coś mi nie grało w sprawie porwania Nany Radwan. Kiedy zajechaliśmy przed komendę, wiedziałem już, że mój klient dostał się w dobre ręce i nie zdążył wezwać prawnika. Po odpowiednim telefonie zostałem wpuszczony i zaprowadzony do celi Radwana. Gość był zdenerwowany. Widać było, że chciałby stamtąd wyjść. Przyglądałem się jego przystojnej twarzy, zadbanej sylwetce i nie mogłem zrozumieć, dlaczego lubił dobierać się do dzieci. Metalowe łóżko, jedno krzesło i kilka innych fantastycznych sprzętów stanowiły wyposażenie aresztu. Drzwi z judaszem nie różniły się od tych na filmach. Radwan przywitał mnie skinieniem ręki, pokazując na krzesło. Sam siedział na łóżku i patrzył w podłogę. Zakratowane okno w ogóle go nie interesowało.

- Wierzy im pan? - zapytał sucho na przywitanie.

- Nie wierzę - skłamałem, żeby mnie polubił. Żałowałem, że nie miałem ośmiu lat - wtedy na pewno byłby dla mnie miłszy i wszystko by się szybko wydało.

- To dobrze - stwierdził z ironicznym wyrazem twarzy. - Jest pan uprzejmy, ale obaj wiemy, że dowody są mocne. Mój komputer, mój twardy dysk, mój garaż i moja opona... Nad czym się tu zastanawiać. Trzeba zboczeńca natychmiast zapuszkować, zrobić mu pokazowy proces i zesłać do najgorszego więzienia w kraju. A tam już się nim zajmą spece od więziennego pedalstwa... - cedził słowo po słowie.

- Zapłacił pan porywaczowi - zmieniłem temat. - Oszukał pan policję i dał mu

pieniądze, tak?

- A co miałem zrobić? Czekać, aż przysła mi córkę w kawałkach albo obejrzę serię filmów pornograficznych z jej udziałem w Internecie? - odpowiedział, tracąc spokój. - Policja, jak widać, często się myli. Aresztowali mnie za nic. Tak się składa, że ja wiem najlepiej, jakie mam upodobania seksualne. Proszę mi wierzyć, nie interesują mnie ani małe dziewczynki, ani mali chłopcy.

- Pana żona też jest zaskoczona... - podsunąłem mu oryginalną myśl.

- Moja żona nie spała ze mną od trzech lat - wybuchnął. - Jest chora, wszystko można jej wmówić.

- Twierdzi, że Nana nie jest pańską biologiczną córką - powiedziałem, nie patrząc mu w oczy. Odwalałem Marlona Brando w każdej sekundzie tej rozmowy. Jednak w celi było o jednego aktora za dużo i atmosfera coraz bardziej gęstniała.

- Tak? - uśmiechnął się smutno. - Co nie oznacza, że jej nie kocham i nie wychowałem.

- I trzymał pan w komputerze jej nagie zdjęcia - dodałem. - Panie Radwan, czy pan nie rozumie, że w pana prywatnej skrzynce było kilkadziesiąt zdjęć pornograficznych z udziałem małych dzieci? W tym pana córki. Skąd się tam wzięły? Czyżby z pana komputera korzystali ludzie z ulicy?

- W moim domu pojawia się dużo ludzi - przerwał mi wspaniałą serię pytań. - Niektórzy w nim mieszkają...

- Sugeruje pan, że zdjęcia ściągnął ktoś z domowników?

- A jest to niemożliwe? - odpowiedział, bestia, bardzo inteligentnie. Dawniej za takie riposty więzień trafiał na trzydzieści lat na galery i mógł sobie wszystko przemyśleć. Musiałem jednak przyznać, że Radwan miał rację. Postanowiłem, że ostatnia partia w tej rozgrywce będzie należała do mnie, a milion euro nie przesłoni mi jasności myślenia.

- A zdjęcia nagiej córki? - wykonałem retoryczne salto nad jego głową.

- Nie wiem, skąd się wzięły - odparł spokojnie. - Nigdy ich nie widziałem...

- Ma pan dowody? - dobiłem go, bo wymykał mi się z rąk. - Kto mógł robić zdjęcia pana córce w wannie, sypialni, szatni? Bywali tam jacyś obcy ludzie? - dodałem cynicznie.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział. - A jednak ktoś te zdjęcia zrobił...

- No właśnie. Czy nasza umowa jest aktualna? - zapytałem.

- Oczywiście - potwierdził. - Chcę odzyskać córkę. Zgodnie z umową zdeponowałem dla pana w banku milion euro.

- Mimo że już pan milion wydał - zaznaczyłem z pewnym niepokojem.

- To nie ma znaczenia. Jeden milion w tę czy w tamtą, nie robi mi różnicy - odparł. - I tak do końca życia nie wydam tego, co mam. Ja nie zbieram pieniędzy dla samego zbierania, panie Brandt. Ja je zarabiam i wydaję. Nie jestem biznesmenem inwestującym dla samego inwestowania. Swoje już zarobiłem i teraz interes sam się kręci.

- Przekonał mnie pan - pożegnałem go pełen ciepłych uczuć. Moja życzliwość dla tego człowieka była naprawdę szczerą.

Kiedy wsiadłem do subaru, a Susan włączyła silnik, zakręciło mi się w głowie i musiałem opuścić oparcie. Tym razem jechaliśmy powoli. Milczeliśmy. Mimo chłodnego amerykańskiego wychowania, Susan potrafiła się zachować. Czekala, aż wrócą mi siły i sam się odezwę. Wiedziała, co robi. Orzeł mógł latać naprawdę wysoko. Przymknąłem oczy i delectowałem się dźwiękiem silnika.

Kiedy położyłem się do łóżka i zamierzałem się zdrzemnąć, Susan postanowiła zrobić zakupy. Klasyczny, dobry podział ról. Ja śpię, a ona bobruje po półkach, wybierając co smaczniejsze kąski. Potem siadamy razem do stołu i wzmacniamy więzi partnerskie. Po piętnastu minutach wiedziałem, że nie zasnę. Mimo zmęczenia i osłabienia po mojej głowie tłukły się rozmaite myśli. Nie pozwalały zapomnieć, że Nana Radwan nadal znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Włączyłem telewizor i obejrzałem fragment jakiegoś programu informacyjnego. Prezenterce nic już nie mogło pomóc - jej wygląd przywodził na myśl mocno przeterminowany towar, a styl przekazywania informacji był tak zasadniczy, że nadawał się w sam raz do jakiegoś urzędu. Dziewczę paplało z poważną miną o sprawach, które już za chwilę miałem mieć w głębokim poważaniu. Podatki, podwyżki, kłótnie o władzę i awanse, spazmatyczne oskarżenia o przyjmowanie łapówek wypełniały w dwóch trzecich ekran telewizora. Jedną trzecią stanowiły napisy, których i tak nikt nie czytał, bo w tym czasie przeważnie słuchał. A jeśli akurat czytał, to oczywiście nie mógł słuchać. Sławna na cały świat ludzka podzielność uwagi tak naprawdę była ogromnym neonem: dom wariatów. Pełny profesjonalizm, jak mawiał pewien fryzjer, sięgając po brzytwę.

I wtedy właśnie zadzwoniła mama.

- Kochanie, słyszałam, że w Warszawie dzieją się jakieś straszne rzeczy...

- Od kogo to słyszałaś, mamo?

- Od naszych sąsiadów z Mokotowa. Specjalnie do mnie zadzwonili. Powiedzieli, że porwali jakąś dziewczynę, a ty bierzesz w tym udział...

- Mamo, ja jej szukam - przerwałem, bo mama gotowa była poprosić, żebym potrząsnął kajdanami. - Jestem prywatnym detektywem i szukam porwanej dziewczyny. Czy już się uspokoiłaś?

- A więc mój syn został detektywem... - usłyszałem. - To jest raczej niebezpieczne zajęcie.

- Mamo, jestem teraz o wiele bardziej bezpieczny niż kiedyś. Jako reporter prawie ciągle się komuś narażałem - wysapałem, z trudem zachowując spokój. - Do widzenia. Muszę kończyć - dodałem pośpiesznie i rozłączyłem się.

Bogu dzięki, że Susan nie była świadkiem tej rozmowy. Z pewnością porzuciłaby mnie z prędkością światła. Mama potrafiła być groźniejsza od powodzi - nigdy się nie cofała.

Około dwudziestej zadzwonił Walewski. Poinformował mnie, że policja drogowa chciała przejąć Jerzego Tanka przed granicą, ale nie zatrzymał się i od dwóch godzin trwał pościg. Porzucony samochód policjanci znaleźli pod Poznaniem. Wyglądało na to, że gość miotał się po Polsce jak bila bilardowa. Nikt nie wiedział, gdzie mógł się zaszyć. Policja zmobilizowała wszystkie siły, ale Tank przepadł jak kamień w wodzie. Walewski chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w aparacie rozległo się głuchoe stuknięcie, jęk i ciche trzaśnięcie drzwi. Wołałem do słuchawki. Nikt się nie odzywał. Zacząłem nasłuchiwać, ale dolatywały do mnie tylko odgłosy jadących samochodów i klaksonów. Nie rozłączyłem się, lecz wstałem z łóżka i zadzwoniłem z aparatu stacjonarnego na policję. Podałem im numer Walewskiego i dokładnie wyjaśniłem, o co chodzi. Obyło się bez podziękowań. Zastanawiałem się, czy mój współpracownik był wierzący i czy powinienem skontaktować się z jakimś księdzem. Zanosilo się na to, że nigdy już go nie zobaczę.

## ROZDZIAŁ 25

Nana Radwan umierała. Jedzenie w jednej z puszek najwyraźniej było zepsute i pewnej nocy pojawiła się gorączka, wymioty, biegunka i bóle mięśni. Dziewczyna leżała na łóżku. Starła się pić jak najwięcej wody. Zagotowała cały czajnik i stopniowo go opróżniała. Najpierw jeden, potem drugi, a po czterech dobach już nie liczyła. Jej organizm był tak odwodniony, że z trudem dochodziła do łazienki. Zapas sucharów, które starła się jeść, coraz bardziej się wyczerpywał. Przestała liczyć dni i noce, przygotowywała się na najgorsze. Miała jeszcze nadzieję, że w pomieszczeniu, w jakim ją trzymano, rozlegnie się gdzieś dźwięk telefonu, zostawionego przezornie przez bandytów w jakiejś skrytce. Niestety, nic takiego się nie stało. Nana była całkowicie odcięta od świata.

Przypomniała sobie o Bogu i modlitwie. Mimo że była niewierząca, podobnie jak jej rodzice, próbowała sobie przypomnieć słowa zapamiętane na lekcjach religii. Chodziła na nie tylko dlatego, żeby się nie wyróżniać. Nic jej to nie dawało; jak sądziła, co najwyżej był to jeszcze jeden powód do nudzenia się i unikania mszy w kościele. Teraz wszystko się zmieniło. Chwyciła się ostatniej nadziei i ku swojemu zdziwieniu uwierzyła, że Bóg może ją ocalić. Niedawną obojętność zastąpiły słowa żarliwej modlitwy. Nana Radwan prosiła Boga o łaskę życia. Obiecywała, że jeśli wyjdzie cało z tego koszmaru, stanie się wierną katoliczką i nigdy już nie zwątpi. Płakała, głośno błagała o ratunek, a nawet próbowała śpiewać słowa zapamiętanych kościelnych pieśni, głównie kolęd.

Kiedy zaczęło jej się kręcić w głowie i z trudem doczołgała się do łazienki, uznała, że powinna się modlić jeszcze żarliwiej, aby Bóg mógł ją usłyszeć wśród milionów innych cierpiących. W końcu nie miała już siły czołgać się. Leżała na podłodze w pobliżu sedesu. Zobojętniała. Dawne wymagania i pewność siebie zniknęły. Godzinami patrzyła na białe kafelki łazienki i z lękiem oczekiwała na kolejny atak biegunki.

Przed jej oczami przesuwały się obrazy z dzieciństwa: zabawy z rodzicami, wyjazdy w góry i nad morze, nauka gry na pianinie, lekcje języka z czarnoskórym Amerykaninem i zabawki znalezione pod choinką. Przypominała sobie rozmaite wesołe sytuacje i odruchowo

zaczynała się uśmiechać. Szczególnie wzruszające były wspomnienia związane z ojcem, który po lasach, górach i wielu miastach przeszedł z nią dziesiątki kilometrów. Oboje uwielbiali wędrowki, zwiedzanie nowych miejsc. Matka wolała w tym czasie zostawać w domu, czytać gazety, oglądać telewizję lub spotykać się z przyjaciółkami. Kiedy Nana była mała i zaczynała narzekać, że bołą ją nogi, ojciec brał ją na plecy i szli dalej. Później, kiedy podrosła, zarządzał odpoczynek. Wówczas rozpalali ognisko, przy którym rozmawiali, pili herbatę z termosu i jedli kanapki. Ojciec miał dla niej tak wiele cierpliwości, iż dopiero teraz, umierając, zrozumiała, jak bardzo była szczęśliwa. Wyrzucała sobie, że nie potrafiła tego docenić, że nie zdawała sobie sprawy, iż jej bez troska i poczucie bezpieczeństwa wiązały się z poświęceniem rodziców, a szczególnie ojca. Brał na siebie wszystkie problemy i nigdy się nie skarżył. Nana rozplakała się, przypominając sobie niektóre kłótnie z ojcem i jego zasmuconą twarz. Wspomnienia pozwalały dziewczynie zapomnieć na chwilę o cierpieniu i słabości. W tym momencie nie widziała nawet bieli kafelków, które miały być świadkami jej śmierci.

## ROZDZIAŁ 26

Około godziny pierwszej w nocy zdecydowałem się sprawdzić własne przecucia. Wstałem z łóżka i najciszej jak potrafiłem zacząłem się ubierać. Kiedy skończyłem myć zęby, obudziła się Susan. Za chwilę trzymała w ręku dwie kanapki z żółtym serem i termos z kawą - przeżytki epoki naszych dziadków.

- Co to jest? - zapytała ze zdziwieniem. - Ty jedziesz ode mnie już? W nocy? Czy tam nie będzie żadna kafejka?

- Muszę coś załatwić - odparłem z pewnym rozdrażnieniem. Nie byłem przyzwyczajony do tłumaczenia się, a tym bardziej kochance. Znałem facetów, którym weszło to w krew i potem musieli leczyć się piwem.

- Co załatwić? - Susan stała na progu mojej łazienki i wdzięcznie opierała się jedną ręką o framugę. Jeśli były piękniejsze widoki na świecie, to na pewno nie w tej chwili. Nocna koszulka zasłaniała akurat tyle, żebym chciał rozmnażać się aż do późnej starości. Ten atawizm nie oszczędzał nawet ludzi postrzelonych w ramię. Pocieszałem się, że najnowsze badania udowodniały, że mężczyźni przede wszystkim lubili na kobiety patrzeć, mając w tym swój cel. Kobiety, widząc samca, koncentrowały się na pytaniu: „co mi z jego strony zagraża?”. Oczywiście diagnoza ta świadczyła o moim ogromnym upośledzeniu. Po prostu wymagałem szerokiego łóżka, oddania i bezustannego dokarmiania piersią.

- Muszę poobserwować ten dom w Wawrze - odgoniłem popędy. - Porywacz nie przyjechał tam bez powodu...

- Ale teraz? W nocy? - Susan nadal nie wierzyła. - Czy ty rzucasz mnie?

- Nie chodzi o nas - szepnąłem przekonująco. Wydawało się, że trochę zmiękła. Kiedy jednak zrobiłem krok w jej kierunku, odwróciła się i wyszła z łazienki. Szkoda, a mogło być tak pięknie. Niestety, w taki właśnie sposób rozpadały się związki. Mężczyzna idealny, taki jak ja, zostawał odrzucony, mimo iż miał szczerze zamiary uszczęśliwienia kobiety.

W samochodzie włączyłem muzykę i na wszelki wypadek przygotowałem gaz pieprzowy. W tej robocie żarty skończyły się mniej więcej parę tysięcy lat temu, kiedy

wymyślono maczugę. Pobawiłem się skalą radia i natrafiłem na serwis informacyjny. Dowiedziałem się z niego, że nadal trwał pościg za kierowcą, który nie zatrzymał się na wezwanie policji. Innymi słowy, porywacz Jerzy Tank miał kłopoty. Gorzej, że policja wciąż nie wiedziała, gdzie się schował.

O tej porze jazda ulicami Warszawy przypominała masaż relaksujący. Spokój, nastrój, cisza i unosząca się w powietrzu obietnica niezapomnianych wrażeń. Mogłem bezkarnie dodać gazu, ale z obolałym ramieniem nie zaryzykowałem. Jechałem powoli i dostojnie, prawie jak do ślubu.

Willa w Wawrze była mroczna, a okoliczne domy stały zbyt daleko, aby ich właściciele mogli cokolwiek zobaczyć. Drzewa i krzaki osiągnęły tutaj najwyższy poziom rozwoju. Było to doskonałe miejsce na morderstwo. Kiedy zaparkowałem przed drzwiami willi, zaczął padać śnieg. Po chwili wokoło zrobiło się białe, a ja na własnej skórze odczułem spadającą temperaturę. Okazało się, że obserwacja willi nie jest wcale łatwa. Żeby nie zamarznąć musiałem co chwila włączać i wyłączać silnik. Po godzinie zrobiłem się senny, a po dwóch byłem gotów wracać do domu. Na szczęście około piątej zadzwonił mój telefon. Usłyszałem głos Walewskiego:

- Szeffie, żyję i jadę do domu. Mam trochę szczęścia, bo facet był leworęczny i źle się zamierzył...

- Skąd wiadomo, że był leworęczny? - zapytałem, bo z czymś mi się to skojarzyło.

- Tak powiedział lekarz - wyjaśnił zdziwionym głosem Walewski. - Gdyby łobuz był praworęczny, trafiłby mnie o wiele celniej. Zaatakował od tyłu. Dostałem w prawą stronę głowy. Dobrze, że zabrakło mu miejsca na rozmach. Cholera, gdzie pan jest, szefie? W domu?

- Koło willi w Wawrze - odparłem. - Obserwuję ją. To miejsce ma jakieś znaczenie i z daleka...

- Jadę do pana...

- Nie, nie - przerwałem mu. - Proszę się wyspać i przyjechać tu o ósmej. Zamienimy się, będzie miał pan dyżur w dzień.

- A może namówię na to chłopaków z policji? - Walewski aż się palił do tej roboty. Zapomniał tylko, że chodzi o zarabianie forsy, a nie o fundację charytatywną. Epokę rozdawnictwa i dzielenia się każdym skretem mieliśmy już dawno za sobą. - Będę wcześniej - dorzucił i rozłączył się. Wzór posłuszeństwa, jak widać.

Około wpół do szóstej wiedziałem już, że źle zrobiłem. Przed willę zajechało nagle czarne BMW z najnowszej serii i zanim zdążyłem pomyśleć, wylądowałem w ramionach



gościa przypominającego kontener. Nawet nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Za to on bardzo się mną zainteresował, bo psiknął mi w twarz moim własnym gazem pieprzowym i upchnął w bagażniku subaru. Ba, przykrył mnie kocem i zakleił usta taśmą, abym nie musiał wdychać mroźnego powietrza. Przy okazji zadbał o rozrywkę, bo nucił pod nosem melodię z horroru *Dziecko Rosemary* Romana Polańskiego. Nie muszę dodawać, że taśma klejąca oplotła szczelnie moje nogi i ręce. Potem zapadła cisza. Kiedy już myślałem, że umarłem, bagażnik otworzył się i przez załzawione oczy zobaczyłem mojego współpracownika, Marka Borga. Bez słowa wyswobodził mnie ze splotów taśmy i pomógł wyjść z bagażnika. Wokoło było jeszcze szaro. Spojrzałem na zegarek - dochodziła szósta.

- Sefie, to jest spluwa - odezwał się Borg, wręczając mi magnum. - Umie pan z tego strzelać?

- Umiem - potwierdziłem, ale chyba mi nie uwierzył, bo dodał:

- Najlepiej celować w korpus. Niech się pan oswoja z tym cackiem w samochodzie, a ja zobaczę, co słyhać w środku...

- Policja wie?

- Już jadą - przytaknął i ruszył w kierunku uchylonych drzwi willi. Rozejrzałem się. Dopiero teraz zrozumiałem, że dzięki mnie na podjeździe doszło do ważnego spotkania. Aż trzy samochody ożywiły senną atmosferę tego miejsca. Z bagażnika nowego BMW dochodziły jakieś odgłosy, ale wołałem tego nie sprawdzać, bo mogło się okazać, że mości się tam ktoś z telewizji. Moje ramię było lekko zakrwawione, mimo to czułem się nieźle. Gaz pieprzowy przestawał działać i dochodziłem do siebie. Poza tym, bandzior prysnął mi bardziej w czoło niż w oczy i dzięki temu mogłem teraz obserwować wschód słońca.

Nie wiedziałem jeszcze, że mniej więcej w tym samym czasie na chodniku przy dworcu kolejowym Warszawa-Ochota kula kaliber 7,5 z karabinu WA 2000 trafiła w głowę Jerzego Tanka. Ktoś uznał, że na świecie musi być o jednego przystojniaka mniej. Nie trzeba dodawać, że porywacz zginął na miejscu, a świadkowie nie widzieli mordercy. W ten sposób świat rozstawał się z człowiekiem, który zainwestował swoje zdolności w brudny interes. Nie miałem wątpliwości, że ucieczka porywacza, oryginalne miotanie się od granicy do granicy, świadczyła o skrajnym optymizmie. Absolwent politechniki nie mógł być przecież idiotą i w dodatku cierpieć na depresję. Jego euforyczny stan ducha powinno się aplikować tuż po porodzie każdemu noworodkowi. Cóż, okazało się jednak, że uciekinier przypłacił swój optymizm brakiem uczuć. Defektem, za który można zapłacić więcej, niż sobie wyobrażał.

Policyjna brygada antyterrorystyczna znalazła mnie szybciej, niż ją zauważyłem. Na wszelki wypadek nie chwaliłem się magnum i pokazałem legitymację detektywa. Któryś z

chłopaków poznał mnie z telewizji, bo osobiście potwierdził moją tożsamość. Może dzięki temu nie obszukali mnie i kazali zostać w samochodzie. Było ich sześciu i wszyscy zamaskowani - prawie Ku-Klux-Klan. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie posiadali żadnego samochodu, żadnej syreny ani świateł. Całkiem prawdopodobne, że ze względu na oszczędności przyjechali autobusem, przebiegli się ze trzy kilometry, żeby rozgrzać mięśnie i zaatakować z krzaków jak Indianie. Jeden, chyba najmniejszy z nich, został na zewnątrz i przyczał się za drzewem.

Potem w budynku rozegrały się dramatyczne sceny, ale ja na szczęście w nich nie uczestniczyłem. Można powiedzieć, że dowodziłem jednym antyterrorystą na zewnątrz. Bardzo ważna rola. Po piętnastu minutach drzwi willi otworzyły się i pojawił się dym. No, no, no - ładnie się chłopaki pobawili zapalkami, pomyślałem. Najpierw wyszedł jeden z antyterrorystów. Na twarzy miał maskę gazową. Potem wytoczyli się dwaj bandyci. Kasłali głośno i zakrywali twarze rękami. Do kompletu brakowało jednego. Na końcu wyszli pozostali czterej policjanci. Ten za drzewem pozostał na miejscu, jakby nadal spodziewał się wybuchu wojny. Zaniepokoiłem się o Borga, ale nie było powodu. Wyszedł zza budynku z rękami w górze. Antyterrorysty obrzucili go nerwowymi spojrzeniami, ale nie zareagowali - swoich poznawali nawet przez ścianę. Borg podszedł do dowódcy i wskazał mój samochód. Tamten pokiwał głową, co miało oznaczać, że dobrze wybrałem stanowisko dowodzenia. Zdecydowałem się wysiąść dopiero wtedy, gdy dwaj przestępcy zostali skuci i rozciągnięci na śniegu.

- Nie znaleźliście dziewczyny? - zapytałem dowódcę antyterrorystów. Obrzucił mnie dziwnym wzrokiem i pokręcił przecząco głową. Odszedł na bok. Rozmawiał z centralą. Nawet jako detektyw nie byłem dla niego dostatecznie interesujący.

- Nikogo tam nie ma, szefie - odezwał się Borg.

- Mogę ich zapytać? - pokazałem palcem mocno już zahibernowanych bandytów.

- Moment - odparł i podszedł do dowódcy. Nigdy nie myślałem, że można się tak szybko dogadywać. Tamten po prostu mrugnął oczami i sprawa była załatwiona. Podszedłem do tego, który mnie potraktował gazem. Leżał, łypiąc na mnie wściekłymi ślepiami. Zimno i wiatr stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Musiałem się śpieszyć, bo antyterrorysta zza drzewa zdecydował się dołączyć do oddziału. Zanosilo się na szybką ewakuację naszych wybawców.

- Gdzie ona jest? - zapytałem, trącając go czubkiem buta.

- Spier... - odpowiedział.

- Mogę poświadczyć, że byłeś grzeczny - podpowiedziałem mu linię obrony. -

Powiem, że wzięłeś mnie w ramiona, a gaz pieprzowy sam psiknął mi w oczy. Co ty na to?

- Nie cwaniakuj - podsumował chłodno. Zaczynał myśleć, a to zawsze mi się podobało.

- Mówię poważnie - kontynuowałem. Z daleka słychać było policyjny bus. - Śpiesz się, bo za chwilę ci nie pomogę...

- „Radło” nas zwołał, znał sprawę - odpowiedział przytomniej. - Mielśmy zabrać stąd jakąś panienkę i gdzieś dostarczyć. Tyle wiem...

- A gdzie jest „Radło”? - zapytałem, zaintrygowany pseudonimem gościa. Podobała mi się ta ksywa - dostatecznie rolnicza, żeby posadzić na niej kwiatki. No i wykrakałem.

- Nie żyje - stwierdził pan kontener. - Dostał w szyję... Sam widziałem.

- I żaden z was nie wie, gdzie jest dziewczyna? - Zaczynałem tracić nadzieję. - Czy ona jest w tym domu, czy ktoś miał ją przywieźć?

- Nie mam pojęcia...

W tym momencie antyterrorysty poderwali go w górę i jak snopek wepchnęli do busa. Przykuli go do jakiejś rury w podłodze. Było po rozmowie. Bandyta patrzył na mnie wymownie, co miało oznaczać, że jestem mu coś winien. Pomachałem ręką i drzwi raz na zawsze odcięły nas od siebie. Żegnaj, bracie. Pojawili się mundurowi. Całe podwórko zaroilo się od nieznanym mi ludzi. Zauważyłem, jak wynoszą w worku zwłoki zastrzelonego bandyty. Na razie nie mogłem wejść do środka, chociaż bardzo się starałem. Nawet Borg musiał się poddać i cierpliwie czekać. Wsiedliśmy więc do subaru, włączyliśmy silnik i zaczęliśmy się rozgrzewać. Zauważyłem w lusterku, że pojawił się Walewski. Witał się, szczęściarz, prawie z każdym. Miałem wrażenie, że albo on służył pod wszystkimi, albo odwrotnie. Do mnie podszedł na końcu, gdy nacieszył się kolegami. Wyglądał naprawdę źle, ale zawsze mogło być gorzej. Na jego skroni widniał spory krwiał wjeżdżający na powiekę. Głowa z jednej strony wydawała się nieforemna. Walewski dosiadł się do nas i zatrzasnął drzwi samochodu.

- Nic nie znaleźli - powiedział cichym głosem, a potem oparł się o zagłówek. Był blady jak po malowaniu sufitu.

- A co mówią? - zapytałem z irytacją.

- Chłopcy przyjechali tutaj, bo mieli odebrać stąd dziewczynę - wyjaśnił Walewski. Podrapał się w wystający brzuch i ziewnął. - Dziewczyny tu nie ma, a dowódca porywaczy zginął. Może inni jego ludzie coś zwąchali i po prostu jej nie przywieźli. W końcu chodziło o dużą forszę.

Nie odezwałem się. Obserwowałem słońce, przebijające się właśnie przez chmury i

rozlewające się po świeżym śniegu. Temperatura spadała. Na samochodowym termometrze pojawiła się cyfra 17, co mogło oznaczać jeszcze większe kłopoty. Być może życie Nany Radwan zależało właśnie od temperatury. W powietrzu unosiła się para z oddechów policjantów. Stopniowo zwijali sprzęt, wychodzili z budynku i odjeżdżali. Jeden z nich, w mundurze i z bronią, podszedł do nas i zapukał w szybę. Kiedy ją uchyliłem, uśmiechnął się szczerze i powiedział:

- Nic tu po nas. Sprawdziliśmy wszystko, ale nikogo nie znaleźliśmy. Nasi specjaliści nawet sobie nieźle pokrzyczeli. Bez odzewu. Porwana musi być gdzie indziej. Możecie szukać dalej, ale według mnie to strata czasu. Skurwysyny wzięli forszę, a dziewczynę pewnie już dawno gdzieś zakopali. Gdybyście na coś wpadli, dzwońcie. Cześć. - To ostatnie było do Walewskiego i Borga. Ja nie zostałem ani przywitany, ani pożegnany.

Na podjeździe zostały tylko ślady samochodów. Wielkie śnieżne czapy tworzyły świąteczny nastrój. Staraliśmy się tego nie zauważać. Kiedy wchodziliśmy do willi, zadzwoniła Susan. Dopytywała się o porwaną. Co by nie mówić, była to twarda biznesowa reakcja. Każdy Amerykanin pytał najpierw o forszę, a dopiero potem o zdrowie. Uspokoiłem ją i wysłałem do biura. Ktoś przecież musiał przyjmować zgłoszenia i odbierać telefony. W każdej chwili mógł przyjść kolejny milioner, prosząc o odnalezienie córki za nie mniej niż milion euro.

- Mam ochota dojechać dla ciebie. - Moja dziewczyna miewała o tej porze oryginalne pomysły. Poza tym, gdybym nie znał jej sposobu konstruowania wypowiedzi, pomyślałbym, że ktoś mi właśnie zagraża, a Susan po prostu chce go kropnąć.

- Kochanie, jedź do firmy i pilnuj interesu - zaproponowałem. - To jest teraz najważniejsze...

- Interes się kręci, że na całą parę - spróbowała raz jeszcze mnie przekonać.

- Ale trzeba dowalić do pieca - odpowiedziałem slangiem i okazało się, że Susan zrozumiała.

- No to niech to będzie tak. Czekać na ciebie, darling - szepnęła i w słuchawce zapanowała cisza. Dobrze jednak wiedziałem, że Susan nadal jest po drugiej stronie linii. Prawdziwa cwaniara. Nasłuchiwałem i udawałem, że mnie nie ma. Wreszcie amerykański produkt eksportowy numer jeden westchnął ciężko i rozłączył się. Najwyraźniej Susan wolałaby być w tej chwili przy mnie i przeszukiwać pusty dom.

Po godzinie łązenia mieliśmy dość. Zimno wciskało się pod ubranie każdą szczeliną, a szron na oknach zaciemniał i tak ponure pomieszczenia. Zastanawiałem się, co bym zrobił, gdybym chciał ukryć w takim miejscu swoją ofiarę. Najpierw wpadłem na pomysł, że

najlepiej i byłoby ją zamurować. Ponownie zaczęliśmy przeszukiwać poddasze, pokoje, garaż i piwnicę. Sprawdzaliśmy farbę, szukaliśmy za szafkami, regałami i w korytarzach. Mierzyliśmy grubość ścian i wnęk. Na próżno - wszystko wydawało się idealnie stare, zwyczajne.

Mniej więcej po dwóch godzinach Walewski przewrócił się i zemdlął. Tak jak należy - fik na plery i wio w zaświaty. Wezwaliśmy pogotowie. Po piętnastu minutach przed willą znów zrobiło się tłoczno. Miałem wrażenie, że przynajmniej od dziesięciu lat miejsce to nie cieszyło się takim powodzeniem. Jak dobrze pójdzie, ktoś wyprawi tu jeszcze wesele. Kiedy lekarz zobaczył Walewskiego i dowiedział się, co zaszło ostatniej nocy, przestraszył się i natychmiast zabrał mojego współpracownika do szpitala. Borg też nie palił się do poszukiwań. Chyba stracił nadzieję. Ominęła go strzelanina, antyterrorysty zrobili porządek bez niego, czuł się pokrzywdzony. Pochylił się, skurczył, zamilkł i smętnie patrzył na nosze z umierającym Walewskim.

- Niech pan z nim jedzie - poradziłem. - Może to nie koniec polowania? Może ktoś naprawdę chce go załatwić? - dodałem ciszej, bo kierowca karetki przyglądał się nam spode łba. Borg od razu odżył. W ciągu kilku sekund usadowił się w karetce. Lekarz nie zaprotestował - widocznie w trudnych chwilach lubił mieć przy sobie wielkich facetów. Odjechali na sygnale, a ja miałem czas na rozgrzanie zmarzniętego ciała. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie było mi tak zimno. Jeszcze trochę i byłoby po mnie. W samochodzie spędziłem następne pół godziny. Kiedy poczułem, że wewnątrz subaru zamienia się w saunę, postanowiłem szukać dalej. Szósty zmysł podpowiadał mi, że nie wolno rezygnować, że willa jest kluczem do tajemnicy porwania córki milionera.

Dwadzieścia minut później zadzwonił Borg. Był spokojny. Jak na mój gust aż nazbyt spokojny, a to mogło oznaczać najgorsze. Stałem akurat przy wielkim piecu do centralnego ogrzewania i przyglądałem się odchodzącym od niego rurom.

- Szefie, coś mi nie gra - poinformował Borg. - Widziałem naszą Susan. Wychodziła z aresztu przy Rakowieckiej...

- To na pewno ona? - przerwałem, ale w garach już mi grało. Pani Adrenalina budziła się do życia.

- Na pewno - potwierdził. - Takich lasek się nie zapomina, szefie.

- Myślisz to, co ja? - Było to pytanie z gatunku tych, po których nie ma już żadnych pytań.

- Głowy nie dam, ale chyba nas wystawiła. Sprawdziłem... Odwiedziła starego Radwana. Co robimy?

- Powiem, jak wrócę - wyszeptalem przez zaciśnięte zęby. Rozłączyłem się, ale to mnie wcale nie uspokoiło. Susan Smith została podstawiona przez Stefana Radwana i wywiązała się ze swojego zadania doskonale. Czułem, że moje męskie ego rozpada się na kawałki, że tracę coś bardzo ważnego. Przez moment chciałem zadzwonić do niej i powiedzieć, co o tym myślę, ale obudził się we mnie ten drugi - cynik i egoista. Uratował mnie. Patrzyłem na rury centralnego ogrzewania i chciało mi się wyć z wściekłości. W końcu nie wytrzymałem. Poszedłem na całość. Chwyciłem łopatę i jak w amoku zacząłem przerzucać koks. W ten sposób zostaje się mężczyzną roku, że tak powiem. Oj, rozgrzałem się, zaparowałem jak szyba, zaczerwieniłem, a rana w ramieniu przestała odgrywać w moim życiu jakąkolwiek rolę. Potrzebowałem wojny, którą mógłbym wygrać. Krzyczałem, przeklinałem, miotałem się z łopatą w rękę i rozrzucałem koks po całej piwnicy. Nie czułem, że na moich dłoniach pojawiły się bąble, a po pewnym czasie krew. Zostałem zdradzony, a to w mojej rodzinie oznaczało igrzyska. Kiedy wypruwałem z siebie resztki sił, a piwnica zaczęła przypominać pole bitwy, zacząłem grzmocić łopatą w podłogę. Wylazł ze mnie Conan Barbarzyńca i nie chciał wleźć z powrotem. Waliłem, aż do rozpadnięcia się łopaty. Potem runąłem na podłogę i zacząłem wspaniale dyszeć.

## ROZDZIAŁ 27

Nana odzyskała przytomność i usiłowała się podnieść. Przez chwilę miała wrażenie, że coś słyszy. Podłoga w łazience była twarda, a ona nie pamiętała, kiedy na nią upadła. Bolała ją głowa i chciało jej się wymiotować. Ostrożnie wstała. Podpierając się rękami, szła wzdłuż ściany w stronę łóżka. Ból brzucha, rozwolnienie i torsje sprawiły, że nie była w stanie utrzymać równowagi. Kiedy zbliżyła się do łóżka, usłyszała głuchoe odgłosy uderzeń. Dobiegały z góry. Z trudem uniosła głowę, zaczęła nasłuchiwać. Odgłosy zamilkły na chwilę, po czym rozległy się znowu. Poczowała gwałtowny dreszcz i przyływ sił. Próbowwała krzyżeć, ale głos uwiązł jej w gardle. Była za słaba, by wydobyć z siebie coś więcej prócz serii słabych jęków. Ruszyła pospiesznie do włazu, w którym kryła się drabina prowadząca na górę. Zapaliła światło i zaczęła się wspinać. Nie było to łatwe. Nogi odmawiały posłuszeństwa, mięśnie drżały, a dłonie zaledwie obejmowały metalowe pręty. Odpoczywała i nasłuchiwała. Odgłosy uderzeń stawały się coraz wyraźniejsze. Nieregularne, rozproszone, to znów skupione w jednym miejscu. Tak, jakby ktoś zupełnie tego nie kontrolował, jakby - po dziecinnemu - bawiło go samo uderzanie.

Dziewczyna dotarła do metalowej kłapy i spróbowała w nią uderzać. Robiła to jednak zbyt słabo. Uderzenia odbijały się od ścian włazu, nie wychodząc na zewnątrz. Ze zdrętwiałych ust wydobył się cichy krzyk. Nana zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czym mogłaby zwrócić uwagę człowieka na górze. Była ubrana w rozchełstany szlafrok, pod którym od paru dni nie nosiła nawet bielizny. Jej włosy i twarz były wyblakłe, nijakie. Brak jedzenia i odwodnienie organizmu szybko zrobiły swoje. Zamieniała się w osobę niezdarną i o wiele starszą niż w rzeczywistości. Pukanie w kłapę i histeryczne próby krzyku nie spowodowały żadnego cudu. Nikt jej nie usłyszał, nikt jej nie uwolnił. Oparła się z całej siły o drabinę i zaczęła płakać. Odgłosy umilkły. Nana przestała wierzyć w swoją szansę. Teraz naprawdę zaczynała umierać.

W przeblasku świadomości pomyślała o swoim tajemniczym kochanku. Dlaczego ją tu zostawił? Kim był? A może po prostu zabili go i nie mógł jej uratować? Wyobraziła sobie,

że ją kochał i nie miał zamiaru jej skrzywdzić. Chciała myśleć, że był dobry i kazał ją porwać z miłości. W tym momencie za nic nie uwierzyłaby, że ten milczący mężczyzna modlił się właśnie, aby jej nigdy nie odnaleziono i starannie zacierał ślady swojego działania.



## ROZDZIAŁ 28

Rana na moim ramieniu znów zaczęła krwawić, ale w ogóle mnie to nie obchodziło. Czułem się oszukany przez kobietę, która wydawała się uczciwa i zakochana we mnie. Nie mogłem pogodzić się z własną naiwnością. Najchętniej, po dawnemu, na oczach tłumu, który lubił taką sprawiedliwość, wybatożyłbym Susan na rynku Starego Miasta. Po chwili złość mi przeszła. Zamiast batożenia wolałbym jej przebaczyć. Gdy znów opanowały mnie żądza zemsty i wściekłość, chciałem sukę zwyczajnie ukamienować. Z takimi zmiennymi nastrojami walczyłem jeszcze z pół godziny. W końcu zrobiło mi się zimno i wstałem z koksu rozsypanego na betonowej podłodze. Dopiero teraz mogłem ocenić, jaki kawał roboty wykonałem. Z wściekłości przerzuciłem całą hałdę, a było tego dobre trzy tony. W starym miejscu pozostały zaledwie dwa niewielkie pagórki koksu. Reszta chrzęściła pod moimi nogami. W mdłym świetle piwnicy rozejrzałem się za portfelem, który w trakcie ataku furii wysunął mi się z kieszeni i leżał nie wiadomo gdzie. Oj, niełatwo będzie go znaleźć, pomyślałem. Kiedy wydawało mi się, że go widzę, dotarło do mnie, że patrzę na metalowy wąż. Początkowo nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Opadłem na kolana i zacząłem rozgarniać kawałki koksu. Po chwili ukazała się masywna kłapa. Niestety, wielka zasuwa nie pozwalała jej otworzyć. Chwyciłem za wystający fragment i pociągnąłem w bok. Zachrobotało przeraźliwie i po raz pierwszy od wielu tygodni uśmiechnąłem się sam do siebie. Kłapa była ciężka, ale nie miałem zamiaru się poddawać. Mimo osłabienia, podniosłem ją. Wtedy zobaczyłem zjawę, która z szeroko otwartymi oczami, blada i w kompletnej ciszy po prostu się na mnie patrzyła.

Wpatrywaliśmy się w siebie z odległości zaledwie pół metra. Trwało to ładnych parę minut. Dłużej dekorowano chyba tylko komunistycznych generałów. Nana Radwan, którą rozpoznałem, zobaczyła moją twarz umazaną koksem i krwią, włosy w stanie przypominającym nielegalny wyrąb lasu i ubranie nadające się do wycierania podłóg. I pomyśleć, że tak wyglądał jej wymarzony wybawiciel. Dopiero po chwili chwyciłem ją za rękę i wyciągnąłem z wążu. Nigdy wcześniej nikt nie przytulił się do mnie z taką siłą. Gdyby

nie doświadczenie, prawdopodobnie byłoby po mnie.

- Jesteś chora? - zapytałem.

- Jestem... - wyszeptała dziewczyna, a ja ułożyłem ją ostrożnie na koksie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałem cicho i wystukałem drżącymi palcami numer Walewskiego. Kiedy poinformowałem go o znalezieniu Nany, zaklął brzydko i obiecał wziąć się do roboty. Przynajmniej to miałem z głowy. Musiałem wykonać jeszcze jeden telefon - do ojca dziewczyny, który siedział w areszcie.

Głos strażnika nie był ani miły, ani niemiły. Powiedziałem mu, o co chodzi, a on poinformował mnie, że na przekazanie wiadomości aresztantowi muszę mieć zgodę tego, tamtego, owego i jeszcze jednego fajnego urzędnika państwowego. Wytrzymałem tę argumentację i powtórzyłem wszystko raz jeszcze. Tym razem strażnik zrozumiał i obiecał przekazać ojcu wiadomość o odnalezieniu żywej Nany Radwan. Dopiero kilka lat później, zupełnie przypadkowo, dowiedziałem się, że strażnik zrobił to tylko dlatego, że przypomniał sobie mój program telewizyjny na temat innego porwania. Poza tym oglądał moje reportaże o braku wody w Sudanie, o marzeniach młodocianych więźniów, cierpieniach porzuconych mężów i nowoczesnych operacjach mózgu. W ten właśnie sposób niektórzy strażnicy więzienni wiązali się z dziennikarzami niemalże więzami krwi.

Potem zrobiło się jeszcze weselej. Najpierw zemdlałem ja, potem dziewczyna. Borg, policja i pogotowie znaleźli nas w takiej właśnie kolejności. Kiedy odwożono nas do tego samego szpitala, pojawili się dziennikarze. Nie wiadomo skąd, jak spod ziemi. Walewski z półtonowym wdziękiem wziął ich na siebie.

Kiedy obudziłem się rano, ku mojemu zaskoczeniu, nie czułem się wcale osłabiony. Jak się okazało, ćwiczenia z łopata bardzo mnie wzmocniły. W szpitalnym uniformie udałem się na poszukiwania Nany Radwan. Tym razem obyło się bez zmuszonego dochodzenia - tabun reporterów czaił się w okolicach oddziału intensywnej terapii. Mnie zresztą też dopadli, ale na szczęście Walewski zaspokoił ich ciekawość poprzedniej nocy i poprosił mnie o odpowiedź tylko na czterdzieści trzy pytania. Przekrzykiwali się przy tym profesjonalnie, więc cała zabawa trwała dość krótko. Niektórych znałem osobiście, innych z widzenia, a jeszcze innych, tych po studiach, nie znałem wcale. Oznaczało to, że redakcja reportaży, z której mnie zwolniono, została całkowicie zrestrukturyzowana. Miałem tylko nadzieję, że prezesi nauczyli młodych odróżniać trupy od żywych ludzi. Wbrew pozorom niektórzy reporterzy mieli z tym spore problemy. Z jednym z tych młodzieńców uciałem sobie nawet pogawędkę.

- Kto pana uczył tej roboty? - zapytałem, poprawiając szlafrok, bo za dużo mogliby zobaczyć.

- Nie rozumiem - odpowiedział rezolutnie. - Dali mi kamerę i kręcimy...
- A powiedzieli panu, co myślą o tym kręceniu? - drażyłem temat.
- A po co? Szefowa jest zadowolona i wystarczy - wyjaśnił młody reporter.
- A szefowa pracowała wcześniej w telewizji?
- Chyba nie - zastanowił się. - Nie, na pewno nie pracowała. Przyszła chyba z jakiejś gazety.

- Niech ją pan zapyta, jakie zna plany filmowe i co w telewizji buduje napięcie - skrzywiłem paszczę, żeby wyglądać jeszcze wredniej. - Jak nie odpowie, proszę ją kopnąć w dupę. Najlepiej z czuba. Za karę, że zgodziła się kierować czymś, na czym się nie zna. Tak dla zasady, proszę to zrobić. Potem oczywiście pana zwolnią, ale jak pan zdąży, proszę przywalić także najgłupszemu z prezesów...

Chłopak zaczerwienił się i odsunął do tyłu, jakby brzydził się prawdą. Rozumiałem go - on sam zgodził się zostać reporterem, ufając w swój talent. Cóż, w końcu nikt nie był lepszym recenzentem samego siebie niż sam zainteresowany.

Po udzieleniu informacji wszedłem na oddział intensywnej terapii i udałem się w kierunku sali Nany Radwan. Dziennikarze nie mieli szans z siostrą oddziałową i musieli warować przy drzwiach. Gdyby było inaczej, dziewczyna mogłaby zostać po prostu zdeptana. Przed salą siedział młody policjant w mundurze i czytał gazetę. Podeszedłem i zagadnąłem, jakbyśmy byli braćmi:

- Jak się czuje?
- A pan kto? - odparł nieufnie.
- Znalazłem ją i uratowałem - odpowiedziałem.
- Aaaa... To pan - zrozumiał zaszczyt, jaki go spotkał. Natychmiast go polubiłem. - Jest przytomna, ale nikt nie może do niej wchodzić...

- Nawet ja? - Przybrałem pozę śmiertelnie urażonego człowieka. Zawahał się, rozejrzał i w końcu skinął głową.

- Tylko krótko, żeby lekarz nie widział - zgodził się. Słodkie były te młodzieńcze podchody - znów miałem czternaście lat.

Nana leżała pod kroplówką, otoczona monitorami, rurkami i kabelkami. Budujący widok, zważywszy na koszt takiego leczenia. Umyta wyglądała inaczej niż poprzedniej nocy. Mimo bladości i wychudzenia nadal była niezwykle piękna. Przy takiej kobiecie mężczyzna mógł zapomnieć o kłopotach i podlewać ogródek nawet sto razy dziennie. Spojrzała na mnie przytomnym wzrokiem i uśmiechnęła się. Poczulem, że doszedłem już do zdrowia i oboje powinniśmy szybko opuścić szpital. Zatrzymałem się obok łóżka, prezentując wyprostowaną

sylwetkę. Musiałem wyrzucić na niej dobre wrażenie, bo uśmiechnęła się jeszcze bardziej.

- Udało się - zacząłem naszą pierwszą, prawdziwą rozmowę. Popatrzyła mi w oczy i wcale nie miała zamiaru przestać. Coś mi tu nie grało. Poprawiłem włosy, chrząknąłem. Miało to oznaczać: „nie ze mną takie numery, mała”. Wypadło inaczej, bo odezwała się cicho:

- Dziękuję... Jak masz na imię?

- Artur.

- Kim jesteś?

- Prywatnym detektywem...

- Ojciec cię wynajął? - dodała i schowała dłonie pod kołdrę. Domyśliłem się, że wstydziła się wyglądu swoich brudnych, połamanych paznokci. Widocznie stawałem się w jej życiu kimś ważnym.

- Tak, wynajął mnie za milion euro - potwierdziłem. - Jestem więc dobrym kandydatem na męża, jeśli o to ci chodzi...

Zaśmialiśmy się oboje. Ja oczywiście głośniej, bo byłem autorem żartu.

- Dlaczego go tu nie ma? Matki też nie widzę...

Wtedy właśnie ją zobaczyła. Arieta Sosnowska-Radwanowa wtargnęła do sali jak taran. Za nią wbiegł lekarz, pielęgniarka i policjant. Gdyby jej nie przytrzymali, zwałaby się na chorą córkę i wydusiła z niej całą kroplówkę. Wszyscy sobie trochę pogadali, po czym dyskretnie opuścili salę. Obejrzałem się w progu i zobaczyłem wlepione w siebie spojrzenie Nany. Oj, robiło się naprawdę obiecująco.

Kilka godzin później Stefan Radwan został zwolniony z aresztu. Córka zeznała, że ojciec nigdy jej nie molestował, a wszystkie zarzuty wobec niego uważa za idiotyczne. Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, otrzymałem potwierdzenie z banku, że na moim koncie znalazł się milion euro. Żegnajcie problemy, żegnajcie podatki, żegnajcie zależności i wy, tacy owacy zawistnicy. Przespałem jeszcze jedną noc w szpitalu i rano zostałem wypisany. Lekarz, który oczywiście nie miał pojęcia, że stał przed nim nowy potentat finansowy, kazał mi na siebie uważać. Na parkingu stali za to moi ludzie: Walewski i Borg, a tuż przy nich subaru. Susan nie było, nie odezwała się. Miałem nadzieję, że przynajmniej zatrzasnęła za sobą drzwi mojego mieszkania i już więcej jej nie zobaczę. Klucze do biura mogła przecież odesłać pocztą. Bez słowa wsiedliśmy do samochodu. Muszę przyznać, że grzałem jak wariat i zasługiwałem na mandat długości rolki papieru toaletowego.

W biurze usiedliśmy jak ludzie przy kawie i drożdżówkach ze Słodko-Gorzkiego. Nastrój był sielski, choć wiedzieliśmy, że sprawa nie została jeszcze wyjaśniona. Ktoś

przecież do mnie strzelał, ktoś sprzątnął Jerzego Tanka, ktoś chciał zrobić Stefana Radwana w pedofilię i ktoś o mało nie zabił Walewskiego. Policja robiła swoje, ale nigdy nie wiadomo, co to naprawdę oznaczało. Równie dobrze śledczy mogli oszczędzać benzynę lub tylko pisać podania o jej przydział.

- Jest pan bogatym człowiekiem, szefie - zainicjował rozmowę Walewski. O wszystkim wiedział, mimo iż w mieście nie informował o tym żaden plakat.

- Jestem - potwierdziłem. - A wy dostaniecie premię, żeby nie miał wyrzutów sumienia.

- Ile tego będzie, szefie? - Walewskiemu z ciekawości prawie kapalo z pyska.

- Po dziesięć tysięcy euro - odpowiedziałem bez wahania. Pokiwali obaj głowami, jakby chodziło o trampki na lekcję wuefu. Rozparłem się wygodnie i westchnąłem teatralnie. Nie spuszcza mi z oczu. Oddani współpracownicy, którzy za jedno euro gotowi byli człowieka wskrzesić.

- Szefie, wężymy dalej? - Walewski na pewno nadawał się do Discovery.

Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewałem. Zadzwoił mój telefon i usłyszałem głos detektywa Rudego. Prędzej spodziewałbym się prezentu od Fidela Castro.

- Aresztowali szefa ochrony Radwana - poinformował mnie Rudy.

- Michała Gabrysia? - upewniłem się.

- No, jego - potwierdził. - Zaraz będą go przesłuchiwać...

- Za co? - Udałem, że jestem inteligentny.

- Policja twierdzi, że to on stał za porwaniem. Szykuje się grubsza sprawa - relacjonował detektyw. - Dzwonię, żeby nie było między nami kwasu...

- Dzięki - odparłem i wyłączyłem telefon.

Powtórzyłem moim współpracownikom treść rozmowy i wstałem, żeby zapażyć jeszcze jedną kawę. Obserwowali mnie w milczeniu, ale ja wiedziałem, że myślą. W końcu Walewski odezwał się z wdziękiem kata:

- To on chciał szefa sprzątnąć. Teraz sobie przypominam, że poszedłem kiedyś za nim na strzelnicę. Nie wiedział, kim jestem... Gość strzela z lewej ręki. Jak znam życie, to wykończył też porywacza.

Po godzinie zostałem sam, a Borg i Walewski pojechali, by poznać szczegóły aresztowania. Nie miałem pojęcia, jaki mógł być motyw porwania. Jeśli chodziło o pieniądze, to już dawno Gabrys mógł je dostać i wypuścić Nanę Radwan. Po co nagrano z nią film pornograficzny i jaka w tym była rola zamordowanego Jerzego Tanka? Przypomniałem sobie, że zginął od uderzenia mańkuta. Fakty pasowały do Gabrysia. Zaczynałem podejrzewać, że

facet był zwykłym psychopata i poza forsa rajcowała go zabawa.

## ROZDZIAŁ 29

Czułem się na tyle dobrze, że poszedłem pokopać w worki treningowe do znajomego trenera karate. Milionerzy, jak wiadomo, mają swoje kaprysy. Kiedy po dwóch godzinach wychodziłem z klubu, zobaczyłem Susan. Rozmawiała z jakimś panem na motocyklu i najwyraźniej dobrze się czuła, zdradliwa suka. Nie zmieniało to faktu, że wyglądała świetnie. Mimo mrozu ubrała się w spódnicę, która podkreślała krajobraz przed bitwą. Na szczęście moje uczucie do niej wygasło i teraz widziałem tylko sztukę. Minałem ją obojętnie, jak się mija słup, i wsiadłem do mojego subaru. W lusterku zauważyłem, że obejrzała się, ale nic ponadto. Kiedy zaparkowałem blisko Galerii Centrum i skierowałem na Chmielną, żeby coś zjeść, podbiegł do mnie dziesięciolatek i szepnął:

- Ona chce z panem pogadać - pokazał palcem pobliską kawiarnię. Za szybą zobaczyłem Nanę Radwan. Była sama i smutno się do mnie uśmiechała. Poznałem ją mimo przyciemnianych okularów i żalobnego stroju. Pomachała mi ręką, ale niezbyt pewnie. Cóż, nie należałem do łatwych mężczyzn. Sięgnąłem do kieszeni po drobne, ale chłopak gdzieś zniknął. Wyglądało na to, że w tym wieku człowiek z natury jest iluzjonistą.

Wszedłem do restauracji i powiesiłem kurtkę na wieszaku. Pachniało tu kawą, ciastkami i pizzą. Podeszedłem do Nany i uścisnęliśmy sobie dłonie. Jej była delikatna, wychudła, a moja twarda i jeszcze przed przejściem na wegetarianizm. Dziewczyna wyglądała znacznie lepiej niż przed dwoma tygodniami w szpitalu, jednak widać było, że nie czuła się dobrze. Uśmiechnąłem się. Jej uroda ostatecznie przyćmiła niedawne spotkanie z Susan. Żegnaj, lalczko, teraz kto inny będzie mi prał skarpety i robił pianę w wannie.

- Dziękuję, że pan przyszedł - odezwała się słabym głosem.  
- Artur - poprawiłem ją. - Cieszę się, że dochodzisz do siebie.  
- Jest źle - powiedziała ze łzami w oczach. - Nie lubię się... Chodzę na terapię, ale niewiele mi to pomaga. Ciągle o wszystkim pamiętam.  
- Na czym to polega? - zapytałem, aby mogła się wygadać.  
- Terapeuta mówi, że jak będziemy o tym rozmawiać, to zobojętnieję i zacznę o tym

myśleć jak o śniadaniu. Jednak na razie wolę myśleć o śniadaniu... - stwierdziła ze smutkiem.

- Czy każe ci krzyczeć? - rozdrapywałem ranę, ale Nana nie pogniewała się.

- Często - przytaknęła. - To mi pomaga.

- Mam pomysł - przypomniałem sobie reportaż, który osiem lat temu kręciłem w szpitalu psychiatrycznym. - Spróbuj przy tym przeklinać...

- Nie za bardzo umiem - przerwała mi, chociaż widać było, że ją to zainteresowało.

- Ja bym tak zrobił - wycofałem się, bo nie był ze mnie żaden psychiatra. - Ale ja jestem tylko znachorem - dorzuciłem i zawiesiłem wzrok na jej ustach. Dokładnie tak, jak pewien ryży policjant w serialu *Kryminalne zagadki Miami*.

- Spróbuję - szepnęła tak ślicznie, że mimowolnie rozejrzałem się za czymś słodkim.

- Obgryzasz paznokcie? - zapytałem ją z niewinnym wyrazem twarzy. Po raz pierwszy uśmiechnęła się. Co za zęby! Każdy ortodonta chciałby ich dotknąć i to nie raz.

- Wie pan, że to on... Nasz szef ochrony...

- Wiem - potwierdziłem. - Dwie pizze i dwie cole - złożyłem zamówienie u kelnerki z artystycznie potarganymi włosami. Nana zgodziła się bez słowa, jakbyśmy właśnie obchodzili diamentowe gody.

- To on przychodził do mnie i musiałam się z nim kochać - powiedziała, zaciskając pięści. - Napisał do mnie list z więzienia.

- Nie rozumiem - odparłem, ale dobrze wiedziałem, gdzie faceta bolało. Zasmakował białego mięsa i kasza mu nie pasowała.

- Mówi, że mnie kocha, że zawsze mnie kochał i chce się ze mną ożenić...

- A to ciekawa historia - stwierdziłem lekko zaskoczony. - Czy ślub zaplanował w więzieniu? Bo za zamordowanie swojego kumpla, porywacza Tanka, grozi mu dożywocie. Mnie też chciał sprzątnąć.

- Boję się - szepnęła i delikatnie złapała mnie za rękę. Znów popatrzyła mi w oczy, jakby była tam garderoba. Oddałem uścisk i nie cofnąłem dłoni. Namydlała mnie, zaraza, krok po kroku. Chyba wiedziała, że po zamknięciu agencji stałem się rentierem i potrzebowałem nowych bodźców.

- Czy wyjaśniła się sprawa zdjęć na komputerze twojego ojca?

- Policja twierdzi, że do komputera mieli dostęp tylko domownicy - odpowiedziała. - Podejrzewają Gabrysia, ale on się nie przyznaje. Do niczego się nie przyznaje, ale ja wiem, że to on. Poznałam go po zapachu...

- Wąchałaś go w celi? - zapytałem jak ostatni dureń, ale nie obraziła się. Nawet trochę uśmiechnęła.



- Byłam na przesłuchaniu i zgodziłam się na jego obecność - przytaknęła. - On ma tam wszystko, co chce. Ma skądś pieniądze i kupuje strażników. Reprezentuje go najdroższy adwokat w mieście. Wyobrażasz to sobie? Nie mam wątpliwości... Gabrys pachniał tak samo jak tamten, który do mnie przychodził. To na pewno on.

- Możesz się mylić...

- Zgodziłam się na próbę - dodała cicho. Policja ustawiła pięciu mężczyzn, a ja z zasłoniętymi oczami miałam rozpoznać dotykiem, który z nich był moim kochankiem.

- Zgodziłaś się na to? - Nie wierzyłem własnym uszom. Ta dziewczyna jadła kamienie i popijała je rozpuszczalnikiem. Skinęła głową.

- Musiałam. Inaczej by mi nie uwierzyli. Rozpoznałam go.

- Wróciłaś na uczelnię? - zmieniłem temat.

- Próbuję - odparła, ale niezbyt przekonująco. - Pozwolili mi zaliczyć ten rok eksternistycznie.

- A koledzy, koleżanki? Odwiedzają cię, spotykacie się, chodzicie na dyskoteki? - zadałem serię ojcowskich pytań. Zaprzeczyła ruchem głowy. Nie mogłem uwierzyć, że dziewczyna o takiej urodzie i charakterze rozkleja się właśnie teraz, kiedy już jest wolna i może o wszystkim zapomnieć.

- Matka chce się rozwieść z ojcem - wtrąciła nagle. - Ojciec nie chce się zgodzić, bo ją kocha. Powiedział, że nie da jej pieniędzy, a ona wynajęła prawników. Mam w domu piekło.

Kelnerka postawiła przed nami colę i pizzę, po czym zadała nieśmiertelnie pytanie:

- Podać coś jeszcze?

- Nie, dziękuję - odprawiłem ją i skierowałem wzrok na Nanę. - Chcesz się wyprowadzić?

- Nie mam gdzie - westchnęła. - Wszyscy moi znajomi obejrżeli sobie pornosa z moim udziałem nawet po kilka razy. Jestem skończona... Chłopaki patrzą na mnie jak na dziwkę i wcale im się nie dziwię. A dziewczyny po prostu się cieszą, chociaż głośno tego nie powiedzą. Wiesz, one nadal żyją tak, jak ja kiedyś...

- A co z twoim chłopakiem? - wycodziłem przez zęby.

- Nie ma go - odparła obojętnie. - Nie odwiedził mnie ani razu. Pewnie się wstydzi...

- Kochasz go? - przywaliłem z grubej rury, ale w dobrej wierze.

- Nigdy go nie kochałam - wyznała, sięgając po colę.

- Możesz zamieszkać ze mną - zaproponowałem bez zastanowienia. Miałem ku temu swoje powody. Jeszcze o nich nie wiedziałem, ale na pewno jakieś były. - Mam niezłe mieszkanie. Proponuję ci pokój...

- Jesteś gościnnie - podsumowała moje dobre serce.

Kiedy wychodziliśmy z kawiarni, Nana trzymała mnie za rękę. Nie powiem, przyjemne uczucie. Ludożerka łapała na nas spod oka, bo byliśmy ładną parą, a oni nie. Czulem zapach włosów Nany i coraz bardziej zapomniałem, że jest ode mnie o kilka lat młodsza. Policzki dziewczyny zaróżowiły się od mrozu, ale mnie wcale nie było zimno. Coś mi mówiło, że odnalazłem swoje dwadzieścia lat. Testosteron pulsował w żyłach i gotów byłem wybaczyć światu wszystkie grzechy. Może dlatego pozdrowiłem byłego już prezesa telewizji, Andrzeja Rosochę, który z wrażenia o mało nie nadział się na rusztowanie. W jego oczach zobaczyłem zazdrość i podziw. Dzięki Ci, Boże, za wywyższenie i sprawiedliwość, za karę, jaka spotyka złych ludzi.

Mój subaru nie był przyzwyczajony do takich czułości. Zero seksu, za to ocean miłości jak przed okresem dojrzewania. Nana przytuliła się do mnie i nie pozwoliła mi włożyć kluczyka do stacyjki. Zaczął padać śnieg. Zrobiło się naprawdę pięknie. Z milionem euro i najpiękniejszą dziewczyną na świecie u boku czulem się bardzo dobrze.

## EPILOG

Z więzienia wyszedłem kilka minut po piętnastej. Upał wbił mnie w chodnik, ale mąż młodej żony nie takie rzeczy może znieść. Półgodzinna rozmowa z Arietą Sosnowską-Radwanową nie należała do moich ulubionych. W więziennym stroju kobieta wyglądała lepiej niż przed aresztowaniem. Jakby wbrew złym doświadczeniom tryskała energią i pewnością siebie. W pobliżu nie zobaczyłem żadnego wózka inwalidzkiego. Co to z człowieka może zrobić radykalna zmiana warunków życia.

- Prosiłem panią o spotkanie, ponieważ chciałem o coś zapytać - zacząłem ostrożnie.

- No więc? - odpowiedziała dość obcesowo. Nie lubiła mnie, bo to ja podsunąłem policji trop.

- Dlaczego?

- Co „dlaczego”? - warknęła, ale na jej twarzy pojawił się krzywy uśmiech.

- Dlaczego pani to zrobiła?

- Był pan kiedyś od kogoś zależny? Tak naprawdę... - zaczęła poważnie. Nie patrzyła na mnie, lecz gdzieś w ścianę nad głowami innych więźniów. W ogóle nie okazywała zdenerwowania, w czym przypominała najtwardszych prezydentów Stanów Zjednoczonych. Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Ja byłem - kontynuowała. - Bez pieniędzy, bez pewności, bez dziecka, któremu mogłabym się poświęcić...

- A Nana? - przerwałem, bo kobieta zaczynała popadać w demencję.

- Dojdę i do tego - uspokoiła mnie. - Tak więc byłem nikim, panie Brandt. O pieniądze musiałam prosić, na wakacje nie mogłam pojechać wtedy, kiedy chciałam, tylko wtedy, gdy mój mąż miał akurat czas. Gdyby mu się coś nagle odmieniło, gdyby na przykład zakochał się w jakiejś młódce, zostałabym na lodzie. Miał dość pieniędzy, żeby jego prawnicy puścili mnie z torbami. Dlatego najpierw zaczęłam udawać chorą, a potem wymyśliłam, że zabezpieczę się dzięki porwaniu Nany...

- Własnego dziecka? - wtrąciłem, otwierając efektownie usta ze zdziwienia. Panie i

panowie, przed wami Artur Brandt, najlepszy uczeń Marlona Brando.

- Pewnego dnia zauważyłam, że szef naszej ochrony zakochał się w Nanie i reszta poszła już łatwo. - Była pani Sosnowska-Radwanowa chyba nie usłyszała mojego pytania. - Kiedy powiedziałam mu o moim planie, ucieszył się i powiedział, że wszystko zorganizuje...

- Tylko z miłości? - zadrwiłem jak na filmie.

- Obiecałam mu, że jak wykończy mojego męża i odziedziczy cały majątek, dam mu pięć milionów euro i będzie mógł się ożenić z Naną. Poza tym, był napalony. Nie mógł już spokojnie patrzeć na jej cycki i tyłek na naszym basenie. To się nazywa chuć, panie Brandt.

- Chce mi pani powiedzieć, że poświęciła pani córkę dla pieniędzy?

- Dla niezależności - odparła i spojrzała na mnie tak, jakbym miał się zaraz okocić. - Co dla pana jest najważniejsze, panie Brandt? Co pan lubi robić najbardziej? - No, no, no, a więc kradło się teraz pytania starożytnym filozofom.

- Miłość - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Skwitowała to znaczącą miną.

- Przemija - odparła. - Chyba że ma pan na myśli wyłącznie świeże związki. To rozumiem. Ale i tak nie będzie pan wtedy niezależny. Ja wierzę w prawdziwą niezależność, a nie mrzonki. Chciałam mieć wszystkie pieniądze mojego męża i robić to, na co mam ochotę. Chciałam kochać się z mężczyznami, których wybiorę, chciałam całkowicie rządzić swoim życiem. Czy pan to rozumie?

- Rozumiem - skłamałem. - Od kiedy pani mąż wypłacił mi milion euro za znalezienie córki, czuję się niezależny. Nie muszę pracować i myśleć o utrzymaniu się na powierzchni. Teraz naprawdę żyję, proszę pani. Dlatego panią rozumiem. Wciąż jednak nie odpowiedziała mi pani na pytanie... Jak można było wyrzec się własnego dziecka?

- Nana nie jest moją córką - odpowiedziała obojętnie, a mnie przeszły po plecach ciarki. - Adoptowałam ją zaraz po urodzeniu. W papierach nic na ten temat nie ma, ale taka jest prawda. Można zresztą zbadać naszą krew. To dla mnie obca osoba, panie Brandt. Odbierała mi męża, przeszkadzała i zmuszała do zajmowania się sobą. Tak naprawdę to on ją wychowywał. Miał na jej punkcie świra...

Po tych słowach wstałem i odszedłem bez pożegnania. Arieta Sosnowska-Radwanowa przestała dla mnie istnieć. Wracalem moim klimatyzowanym subaru do mieszkania, w którym czekała Nana. Tajemnica jej prawdziwego pochodzenia miała pozostać ze mną na zawsze. Gotów byłem to znieść. Za kilka minut czekała mnie największa przyjemność świata. Cała reszta po prostu się nie liczyła.

KONIEC

## SPIS TREŚCI

Prolog .....	3
Rozdział 1.....	6
Rozdział 2.....	8
Rozdział 3.....	11
Rozdział 4.....	24
Rozdział 5.....	29
Rozdział 6.....	39
Rozdział 7.....	43
Rozdział 8.....	52
Rozdział 9.....	56
Rozdział 10.....	61
Rozdział 11.....	66
Rozdział 12.....	72
Rozdział 13.....	78
Rozdział 14.....	86
Rozdział 15.....	93
Rozdział 16.....	101
Rozdział 17.....	105
Rozdział 18.....	111
Rozdział 19.....	117
Rozdział 20.....	122
Rozdział 21.....	128
Rozdział 22.....	134
Rozdział 23.....	140
Rozdział 24.....	142
Rozdział 25.....	149
Rozdział 26.....	151
Rozdział 27.....	159
Rozdział 28.....	161
Rozdział 29.....	167
Epilog .....	171